Raymond F. Jones

Obcy

(The Alien)

World Editions, Inc. (Galaxy Science Fiction Novel #6), 1951
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W przestrzeni, za orbitą Marsa, „Lavoisier" przedzierał się ostrożnie przez pola asteroid. Niewielu tylko członków stałej Ekspedycji Asteroidowej Smithsona na pokładzie statku laboratoryjnego wiedziało, że pozostawały one w nieustannym ruchu. Mimo że żyli w ich obrębie przez rok lub dwa, bez przerwy, bardzo niewiele rzeczy do nich docierało, poza kwestiami związanymi z cywilizacją sprzed pół miliona lat, której rozproszone szczątki otaczały ich ze wszystkich stron.

Jedynym kontaktem z Ziemią było w tej chwili łącze radiowe, przez które dr Delmar Underwood połączył się z doktor Illią Morov z Ziemskiego Centrum Medycznego.

Jasne, starannie uczesane włosy Illii, błyszczały lekko złotem na tle surowej bieli jej fartucha lekarskiego, który ciągle miała na sobie, kiedy odebrała połączenie. Oczy rozszerzyły jej się z wyrazem zadowolenia, kiedy obraz na ekranie wyostrzył się i rozpoznała Underwooda.

— Del! Myślałam już, że zapadłeś w sen razem z tymi twoimi kosmicznymi mumiami! Minął już ponad miesiąc od czasu twojego ostatniego telefonu. Co nowego?

— Niewiele. Terry znalazł parę nowych śladów Stroid III. Phyfe ma nowy kawał blachy z inskrypcjami, no i znaleźli jeszcze coś, co wygląda niemalże tak jak lampa elektronowa sprzed pięciuset tysięcy lat. Pracuję teraz nad nią. Poza tym, panuje tu kompletny spokój, i to wspaniale!

— Ciągle jesteś zdeklarowanym pustelnikiem? — Z oczu Illii zniknęło nieco wesołości, ale ani odrobinę czułości.

— Tu, w kosmosie jest więcej spokoju i zadowolenia, niż śmiałem marzyć, że znajdę. Chciałbym żebyś tu przyleciała, Illia. Wybrałabyś się na miesiąc. Jeśli nie będziesz chciała zostać i wyjść za mnie, to wrócisz na Ziemię, a ja nie powiem ci ani jednego złego słowa.

Pokręciła głową ze stanowczością i zdecydowaniem.

— Ziemia rozpaczliwie potrzebuje naukowców. Zbyt wielu już stąd uciekło. Mówi się, że dzięki temu kolonie wenusjańskie rozkwitają, ale ja powiedziałam ci już rok temu, że taka prosta ucieczka niczego nie rozwiązuje. Miałam nadzieję, że do tej pory sam już się o tym przekonałeś.

— A ja rok temu powiedziałem ci — równie stanowczo odparł Underwood, — że dla rozsądnego człowieka ucieczka jest jedynym wyjściem.

— Del, nie można uciec przed własną cywilizacją. Przecież ekspedycja, która stworzyła ci możliwość pustelniczego życia, jest w pełni zależna od Ziemi. Jeśli Kongres obetnie fundusze Instytutowi, natychmiast znajdziesz się tam, gdzie byłeś przedtem. Nie dasz rady uciec.

— Zawsze pozostają kolonie na Wenus.

— Wiesz, że to niemożliwe, żeby przetrwały niezależnie od Ziemi.

— Nie mówię o nauce i technologii. Mnie chodzi o dezintegrację społeczną. Z pewnością naukowiec nie musi zabierać ze sobą tego zjawiska, kiedy właśnie przed próbuje nim uciec.

— Cywilizacja nie jest temu winna — żarliwie zapewniła go Illia, — ani ludzkość jako taka. Przecież nie można wyśmiewać się z niezdarności dziecka kiedy uczy się ono chodzić.

— Mam nadzieję, że rasa ludzka wyrosła już z czasów dzieciństwa!

— Oględnie mówiąc, nie. Dreyer twierdzi, że obecnie wychodzimy z etapu człowieka jaskiniowego, a tę fazę jak mi się wydaje najtrafniej należałoby określić jako wiek niemowlęcy ludzkości. Dreyer nazywa to etapem „wodzowskim".

— Myślałem, że on jest semantykiem.

— Przekonałbyś się o tym, gdybyś kiedykolwiek z nim porozmawiał. Rozebrałby na części każde słowo, które byś powiedział i odrzucił je ci z powrotem. Jego określenie „wodzowski" jest poprawne, naprawdę. Zgodnie z nim, istoty ludzkie na tym etapie potrzebują jakiegoś przywódcy lub „wodza", silniejszego niż oni sami, aby nimi pokierował, aby było na kogo zrzucić odpowiedzialność i winę, w przypadku niepowodzenia grupy. Te funkcje nigdy w przeszłości nie rozwinęły się w osobowości człowieka na tyle, aby mógł sam podjąć kontrolę własnego ego. Ale to nadchodzi – to najważniejsze przesłanie pracy Dreyera.

— I całe to zamieszanie oraz niestabilność mają niby mieć coś z tym wspólnego?

— To narastało przez całe dekady. Widzieliśmy jak osiąga szczyt w czasie naszego życia. Stare fetysze upadły, przekonano się, że przywódcy są fałszywymi bogami, a pokładana w nich przez ludzi wiara obróciła się w drwinę. Prezydenci, dyktatorzy, rządzący i kapłani – wszyscy oni spadli z piedestałów, a masy ludzkie nie wierzą już nikomu z nich.

— **I** na tym niby ma polegać ten rozwój rasy?

— Tak, ponieważ z tego zamętu wyrosną ludzie, którzy w sobie odnajdą tę siłę, wcześniej poszukiwaną w „wodzu". Dzięki temu powstanie rasa, w której poszczególne osoby będą w stanie przyjmować na siebie odpowiedzialność zawsze składaną w ręce „wodza", a więc „wodzowie" przestaną być potrzebni.

— I co wtedy? Krańcowa anarchia.

— Koncepcja „wodza" ma wiele wspólnego z rządzeniem. Ale pierwszą rzeczą, o której muszą przekonać się ludzie, to, że wcale nie musi tak być. Gdy istoty ludzkie zdolne będą do niezależnego, konstruktywnego

zachowania, po raz pierwszy w historii świata możliwa będzie rzeczywista demokracja.

— Jeśli to wszystko według Dreyera i tak ma się wydarzyć, to dlaczego nie próbować uciec przed szaleństwem okresu przejściowego?

Oczy Illii Morov zwęziły się z zakłopotania, kiedy przyglądała mu się z kompletnym brakiem zrozumienia.

— Czy nieważny jest fakt, że rasa ludzka staje przed jednym z największych kryzysów w całej swojej historii? Czy nie liczy się to, że posiadasz umiejętności o ogromnym znaczeniu w tych czasach? Interesujące jest, że to właśnie wy, przedstawiciele nauk fizycznych, uciekacie w tak wielkiej liczbie. Kolonie na Wenus muszą przeżywać wspaniałe czasy, z tym tłumem fizyków depczącymi sobie po uszach – podczas gdy Ziemia jest ich niemalże pozbawiona. Czy nauki fizyczne niszczą wszelkie poczucie zobowiązań społecznych?

— Zapominasz, że ja kompletnie nie akceptuję teorii Dreyera. Dla mnie to wszystko jest tylko gnijącą budowlą, która w końcu zawali się pod wpływem własnego rozkładu wewnętrznego. Nie widzę niczego pozytywnego, co mogłoby z tego wyrosnąć.

— Tak też myślałam. No cóż, miło było, że do mnie zadzwoniłeś, Del. Zawsze chętnie z tobą rozmawiam. Następnym razem, nie czekaj aż tak długo.

— Illia…

Ale ona przerwała połączenie i obraz na ekranie powoli rozpłynął się w szarości, pozostawiając argumenty Underwooda bez odpowiedzi. Z irytacją przełączył się na publiczne kanały informacyjne.

Co złego zrobił? Ostatni rok, od czasu kiedy zaczął pracować dla ekspedycji jako Główny Fizyk, był niemalże rajem w porównaniu z życiem w niestabilnym, nieodpowiedzialnym społeczeństwie, istniejącym na Ziemi. Zdawał sobie sprawę z tego, że takie pragnienie ucieczki, było reakcją czysto neurotyczną. Ale przyczepienie tej etykietki niczego nie rozwiązywało, niczego nie wyjaśniało – i nie niosło ze sobą żadnej stygmatyzacji. Reakcja neurotyczna była normą w tym tak pogmatwanym świecie.

Odwrócił się, kiedy zagrzmiały gwałtownie wiadomości, z ich niezmienną ważnością i pilnością, która powodowała, że dziwił się jak komentatorzy znoszą ten niekończący się zalew kolejnych kryzysów.

Ponownie został odwołany prezydent – już trzeci w trakcie ostatnich sześciu miesięcy.

Nie było żadnych kandydatów na ten urząd.

Kościół został spalony przez parafian.

Dwaj burmistrze zostali zamordowani w kilka godzin po sobie.

Były to takie same wiadomości, jakie słyszał sześć miesięcy temu. Identyczne będą jutro i za miesiąc. Historia planety, która odrzuciła wszelkie przywództwo. Bezprawie gorsze niż anarchia, ponieważ ciągle istniał rząd – rząd sterowany i obijany niepewną łaską tłumu, który go wybrał.

Dreyer nazywał to daremnym poszukiwaniem „wodza”, przez ludzi którzy już nie ufali nikomu ze swego gatunku, że takim „wodzem” mógłby zostać. A Underwood śmiał nie ufać takiemu gładkiemu tłumaczeniu.

Wielu innych ludzi, poza Underwoodem, stwierdziło, że nie są w stanie już dłużej wytrzymać niestabilności swej własnej cywilizacji. Pomiędzy nimi było szereg czołowych naukowców świata. Większość z nich wywędrowało na porośnięte dżunglą lądy Wenus. Ograniczenia naukowe, wiążące się z taką pograniczną egzystencją, powstrzymały Underwooda przed migracją do wenusjańskich kolonii, ale był już bardzo bliski tej decyzji, kiedy otrzymał ofertę objęcia stanowiska Głównego Fizyka ekspedycji Instytutu Smithsona w pola asteroid. Obecnie zastanawiał się czasami, co by zrobił, gdyby taka oferta nie nadeszła.

Zabrzęczał dzwonek interfonu. Underwood wyłączył kanał z wiadomościami, a w tym samym czasie znudzony operator łączności w sterówce oznajmił:

— Doktor Underwood. Połączenie do doktora Underwooda.

Underwood przerwał mu.

— Słucham — rzucił z irytacją.

W pomieszczeniu buchnął głos Terry’ego Bernarda.

— Hej, Del! Czy pozbędziesz się w końcu tych much w nosie i odpowiesz na telefon do ciebie, czy mamy zabalsamować twoje zwłoki i odesłać je z powrotem na Ziemię?

— Terry! Czego chcesz, ty głąbie! Dlaczego nie powiedziałeś, że to ty? Myślałem, że może to ten słoń w składzie porcelany Maynes, z kolejnymi kawałkami miki, które według niego są pałeczkami modlitewnymi.

— Stroidzi nie używali pałeczek modlitewnych.

— No dobra, dajmy spokój. Coś nowego?

— Całe mnóstwo. Możesz wpaść na chwilę? Myślę, że naprawdę coś tutaj mamy.

— Dobrze by było. Zabieramy właśnie statek do Phyfe’a. Gdzie jesteście?

— Asteroida C-428. To jakieś 2 000 mil od was. I weźcie ze sobą wszystkie narzędzia górnicze do pracy w twardych skałach, jakie macie. Nie możemy się do tego dobrać.

— I to wszystko, co ci potrzebne? Użyj swoich podwójnie powlekanych świdrów.

— Zużyliśmy już pięć. Nie ma nawet zadrapania.

— No cóż, to skorzystajcie z Wiązki Atomowej. Nie powinno to uszkodzić artefaktu.

— Od razu mogę ci powiedzieć, że nie uszkodziło. To cholerstwo nawet się nie zagrzało. Jakieś inne pomysły?

Umysł Underwooda, którego jedna połowa ciągle zajęta była dumaniem nad problemami osobistymi, a tylko druga, rozmową z Terrym, wykonał nagłe salto, przeskakując do tego co powiedział archeolog.

— Chcesz powiedzieć, że znaleźliście materiał, którego Wiązka Atomowa nawet nie tknęła? To niemożliwe! Równania Wiązki dowodzą…

— Wiem. Czy teraz przylecicie?

— Dlaczego od razu tego nie powiedziałeś? Zabieram tam cały statek.

Underwood rozłączył się i przełączył na linię do kapitana.

— Kapitan Dawson? Underwood. Czy mógłby pan przemieścić statek w pobliże Asteroidy C-428, tak szybko jak to tylko możliwe?

— Myślałem, że doktor Phyfe…

— Na moją odpowiedzialność. Proszę przemieścić statek.

Kapitan Dawson potwierdził. Jego instrukcje mówiły, że ma kierować statkiem zgodnie z dyspozycjami Underwooda.

Pola dystorsyjne wokół masywnego statku laboratoryjnego bezgłośnie i niewidocznie strzeliły w otaczającą go przestrzeń i „Lavoisier” bez wysiłku ruszył przez kosmos. Perfekcyjna kontrola inercji statku sprawiła, że, za wyjątkiem nawigatorów i pilotów, jego załoga nawet nie zdawała sobie sprawy z tego ruchu. Setki delikatnych urządzeń i przyrządów w laboratoriach Underwooda stały tak stabilnie, jakby osadzono je w tonach stali i betonu, głęboko pod powierzchnią Ziemi.

Dwadzieścia minut później, w zasięgu ich wzroku obracała się już mała, czarna asteroida, połyskująca w świetle odległego Słońca. Odziane w skafandry postaci Terry’ego Bernarda oraz jego asystenta Batcha Fagina, czepiając się powierzchni, przesuwały się jak muchy po poczerniałym, zmrożonym jabłku.

Underwood już czekał w śluzie dla skuterów, siedząc okrakiem na małym skuterze kosmicznym, używanym do transportu między statkami ekspedycji, oraz między asteroidami.

Pilot podprowadził „Lavoisiera” tak blisko, jak to tylko było możliwe i bezpieczne, a następnie przesłał sygnał Underwoodowi. Fizyk nacisnął na dźwignię, otwierającą śluzę na burcie statku. Skuter wystrzelił w kosmos, niosąc go na swoim grzbiecie.

— No dalej, kowboju, gazu! — wrzasnął do interkomu Terry Bernard. Wydał z siebie dzikie kowbojskie wycie, które przeszyło uszy Underwooda. — Uważaj, bo na tym skuterze zaraz zaczną cię wyprzedzać żółwie!

Underwood uśmiechnął się do siebie. Odparł:

— Twoje wrzaski przekonują mnie do długo utrzymującej się teorii, że archeologia wcale nie jest nauką. A jeżeli te twoje historyjki o materiale odpornym na Wiązkę Atomową okażą się bajeczką, to lepiej szykuj sobie jakieś dobre usprawiedliwienia. Phyfe miał dzisiaj coś ważnego do zrobienia na pokładzie.

— Chodź i sam zobacz. Masz to przed sobą.

Kiedy skuter zbliżał się do asteroidy, Underwood mógł rzucić okiem, na to dziwnie wyglądające znalezisko. Wyglądało jakby artefakt był otulony

zwykłym materiałem asteroidowym z gruzu żelazo-niklowego, ale Terry oczyścił z niego ponad połowę jego powierzchni.

Odsłonięta połowa ukazywała lśniący hebanowo-czarny obiekt, o mnóstwie płaskich ścianek i narożników, obrobionych maszynowo, z matematyczną precyzją. Wydawało się, że tylko ta jedna widoczna półkula pokryta była szlifem z co najmniej tysiąca faset.

Już na sam widok znaleziska, Underwood niemalże był w stanie zrozumieć żyłkę odkrywczą, która pchała tych archeologów do zanurzenia się w tajemnicach kosmosu, w poszukiwaniu zaginionych królestw i ras. Ten odkryty przez Terry'ego obiekt był czymś wspaniałym. Zastanawiał się, jak długo krążył on wokół Słońca, od czasu gdy inteligentna rasa, która go stworzyła, zginęła. Żałował teraz, że Terry użył Wiązki Atomowej, ponieważ prawdopodobnie jej działanie zaburzyło właściwe proporcje radu do ołowiu w otulinie skalnej, które mogłyby coś powiedzieć o wieku znaleziska.

Zbliżający się Terry, w milczeniu Underwooda, wyczuł coś z coś z przepełniającego go respektu.

— Co o tym myślisz, Del?

— To jest… piękne — odparł Underwood. — Masz jakieś sugestie, co to może być?

— Kompletnie nic. Nie znalazłem na tym żadnych znaków.

Skuter zwolnił, kiedy Del Underwood skierował go tuż nad powierzchnię asteroidy. Łagodnie wylądował, odpiął pasy i zsiadł z maszyny.

— Za to co tutaj mamy, Phyfe wybaczy nam wszystkie grzechy — powiedział. — Zanim pokażesz mi, że Wiązka Atomowa nie daje rady tego ugryźć, weźmy ukopmy parę ton tej otuliny skalnej i wyślijmy na statek. Może jeszcze uda się jakoś datować to znalezisko. Niemal wszystkie te asteroidy zawierają niewielkie ilości materiałów radioaktywnych. Możemy wyciąć trochę skały z miejsca po przeciwległej stronie, gdzie Wiązka Atomowa najsłabiej na nie oddziaływała.

— Dobry pomysł — zgodził się Terry. — Powinienem był o tym pomyśleć, ale kiedy początkowo znalazłem tylko pojedynczy wystający kawałek obrobionego maszynowo metalu, sądziłem że cały artefakt jest raczej niewielki. Potem, gdy stwierdziłem że Wiązka Atomowa nawet go nie tknęła, trochę zbyt pośpiesznie postanowiłem go odkopać. Nie zdawałem sobie sprawy, że w tym celu będę musiał wypalić niemal całą powierzchnię asteroidy.

— Teraz równie dobrze możemy dokończyć tę pracę i odsłonić obiekt w całości. Wezwę paru moich ludzi ze statku, żeby zaraz tu przylecieli.

Wycinanie i wiercenie próbek, które miały zostać użyte do próby datowania, zajęło im większą część godziny. Potem, aby oczyścić znaleziony obiekt, na pozostałą część asteroidy skierowany został intensywny ogień Wiązki Atomowej.

— Weźmy się lepiej za szukanie jakiegoś słabego miejsca — zasugerował Terry. — Możliwe, że ten obiekt okaże się jednorodny, a Papa Phyfe strasznie by się pieklił, gdybyśmy po znalezieniu takiego artefaktu spalili go na popiół.

Skryty za mocną osłoną, która chroniła go przez promieniowaniem odbitym, wytwarzanym przez Wiązkę Atomową, Delmar Underwood obserwował jak gryzący płomień wcina się między podobny do drogocennego klejnotu obiekt i metaliczne stopy otaczającej go skały. Skała pękała i odpadała wielkimi kawałami, odrzucanymi przez eksplozje materii, kiedy intensywne gorąco niemal w jednej chwili zmieniało ją w parę.

I na niego opadł na niego czar starożytności i nieznanego, wpychając go w objęcia pradawnych tajemnic oraz nieznanych języków. Przywykły do precyzyjnych metod nauk fizycznych, przez długi czas walczył z fascynacją tymi niesamowitymi zagadkami, które starali się zgłębić archeolodzy, ale żaden człowiek nie był w stanie im się długo oprzeć. W spokojnej, usianej gwiazdami czerni kosmosu, wibrowały wspomnienia kipiącej życiem planety, planety dziwnych języków i nieznanych pieśni – planety która zginęła w tak gwałtowny sposób, że przestrzeń nadal usiana była jej pozostałościami – w tak gwałtowny sposób, że gdzieś tam w odległych głębinach kosmosu echo jej śmiertelnej eksplozji ciągle jeszcze musiało dźwięczeć jak dzwon.

Underwood zawsze uważał archeologów za chodzących z głową w chmurach miłośników staroci, grzebiących w starych grobach i stertach śmieci. Teraz jednak widział ich takimi, jakimi byli naprawdę – poeci poszukujący tajemnic. Cytowanie Biblii przez Phyfe'a i przekleństwa rudowłosego Terry'ego Bernarda, były dla niego zaledwie cienką zasłoną dla ich poetycznego romantyzmu.

Underwood obserwował biały płomień Wiązki Atomowej przez ołowiowe szkła swych okularów ochronnych.

— Rozmawiałem dzisiaj z Illią — powiedział. — Ona twierdzi, że uciekłem.

— A nie zrobiłeś tego? — spytał Terry.

— Ja bym tego tak nie nazwał.

— To jak ty byś to nazwał, to nie robi specjalnej różnicy. Kiedyś mieszkałem w apartamencie, mając na górze muzyka, grającego na waltorni. Ćwiczył przez osiem godzin dziennie. Uciekłem stamtąd. Jeśli ten cały bałagan na Ziemi, możemy porównać do całej bandy graczy na rogu, trąbiących ci nieustannie nad głową, to powiedziałbym, że trzeba się wyprowadzić i po co robić wokół tego jakieś zamieszanie? Pewnie sam przyłączyłbym się do chłopaków na Wenus, gdyby moja praca nie trzymała mnie tu, w kosmosie. Oczywiście, ty jesteś w innej sytuacji. To Illię trzeba przekonać – do spółki z twoim własnym sumieniem.

— Ona cytuje Dreyera. To jeden z twoich idoli?

— Nie było lepszego semantyka od niego — stanowczo stwierdził Terry. — Przyjmuje długookresową perspektywę, że wszystko skończy się oczyszczeniem. Zgadzam się z nim, a więc czym się przejmować – wiedząc że możliwe warianty same się wypracują, i nic co mógłbym zrobić nie zostanie ani zauważone, ani pominięte? Dlatego ja osobiście rzadko się

niepokoję swoimi zobowiązaniami wobec ludzkości, jak długo postępuję w miarę zgodnie z prawem. Rób podobnie, Bracie Del, a będziesz żył dłużej, a przynajmniej bardziej szczęśliwie.

Underwood uśmiechnął się szeroko, oświetlony oślepiającym blaskiem Wiązki Atomowej. Szkoda, że życie nie jest takie proste, jak starał się go przekonać Terry. Może byłoby takie, pomyślał – gdyby takie było dla Illii.

Kiedy przesuwał swoją osłonę powoli do przodu, w ślad za kruszoną skałą, myśli Underwooda wróciły do pytań: kto zbudował tę konstrukcję, którą miał pod nogami i do jakich to swoich obcych celów. Jej czarne, nieprzeniknione ściany świadczyły o doskonałych umiejętnościach obróbki mechanicznej, a tylko najbardziej rozwinięta wiedza naukowa potrafiła stworzyć materiał zdolny do oparcia się Wiązce Atomowej. Kto, pół miliona lat temu, mógł coś takiego zbudować?

Stare, pseudo-naukowe prawo Bodego wskazywało na istnienie brakującej planety, która zgodnie z nim powinna znajdować się w Układzie Słonecznym w okolicy pasa asteroid. Ale prawo Bodego nigdy nie zostało w pełni zaakceptowane przez astronomów – dopóki archeologia międzyplanetarna na licznych asteroidach nie odkryła śladów nieznanej cywilizacji.

Monumentalne zadanie zbadania tej tajemnicy, zostało podjęte już ponad pokolenie temu przez Instytut Smithsona. Chociaż organizacja ta zawsze trapiona była przez niedostatek funduszy, przez cały ten czas udawało się jej utrzymywać tutaj co najmniej jeden statek, jako stałą ekspedycję polową.

Doktor Phyfe, kierownik obecnej grupy, był prawdopodobnie największym znawcą archeologii asteroidowej w Układzie. Młodsi archeolodzy nadali mu z własnej inicjatywy miano Papy Phyfe'a, pomimo jego wybuchowego temperamentu, wywołanego, jak powszechnie żartowano, koniecznością nieustannego przełączania umysłu z odległej o pół miliona lat przeszłości, na teraźniejszość.

Jak odkrył Underwood, jeśli chodzi o korelacje semantyczne, archeolodzy dalece wyprzedzali przedstawicieli nauk ścisłych, ponieważ nieustannie mieli do czynienia ze znacznie poważniejszymi zadaniami dedukcyjnymi, przy próbach definicji pojęć umysłowych innych cywilizacji, na podstawie niewielkich fragmentów maszyn i skrawków dzieł sztuki.

Spośród wszystkich archeologów, których poznał, Underwood najcieplejsze uczucia żywił w stosunku do Terry'ego Bernarda. Pomimo tego, że był bardzo kompetentnym semantykiem i archeologiem, Terry nie traktował siebie nazbyt poważnie. Nie reagował nawet na stałe zaczepki Underwooda, że archeologia nie jest nauką. Utrzymywał zawsze, że dla niego to przede wszystkim jest wielka radocha, i to wszystko, co mu było potrzebne do szczęścia.

W końcu obydwie grupy pracujące po przeciwnych stronach asteroidy zbliżyły się do siebie i połączyły swe siły w zrywaniu resztek skalnego

rumowiska. Kiedy wreszcie wyłączone zostały straszliwe Wiązki Atomowe, naukowcy odwrócili się, żeby popatrzeć na obiekt, który odkopali.

Terry cicho zapytał:

— Rozumiesz już, dlaczego zostałem archeologiem?

— Myślę, że tak… prawie — odparł Underwood.

Znajdująca się u ich stóp konstrukcja o kształtach klejnotu, błyszczała jak wypolerowany heban. Tysiące faset wychwytywało światło odległych gwiazd i odbijało je takim blaskiem, jakby same płonęły jakimś niesamowitym ogniem.

Robotników widocznie również pochwycił czar artefaktu, ponieważ stali na nim w milczeniu, kontemplując tajemnice ludzi, którzy stworzyli takie piękno.

Zaklęcie zostało w końcu przełamane przez jakiś ruch na niebie. Underwood uniósł wzrok

— Papa Phyfe wkroczył na wojenną ścieżkę. Założę się, że ma ochotę wytargać mnie za uszy, za zabranie statku laboratoryjnego bez jego pozwolenia.

— Na statku laboratoryjnym w końcu to ty jesteś szefem, co nie? — zauważył Terry.

— To dosyć elastyczny układ – a przynajmniej według Phyfe’a. Jestem szefem do czasu kiedy on nie zadecyduje, że chce coś zrobić.

Statek główny wyprawy zwolnił i zatrzymał się, otwierając wrota śluzy, z których buchnął ognisty płomień silnika skutera wiozącego ogarniętego gniewem Phyfe’a.

— Proszę posłuchać, panie Underwood! — ze słuchawek doleciał jego szorstki głos. — Domagam się wyjaśnień na temat tego…

W tym momencie urwał, ponieważ dostrzegł obiekt na którym stali ludzie, a który z korzystnego miejsca w jakim się znajdował, jeszcze bardziej wyglądał jak zawieszony na niebie czarny klejnot. Natychmiast zmienił się w gorącokrwistego archeologa, zrzucając maskę administratora wyprawy, którego rolę pełnił ze szczerą niechęcią.

— Co wy tutaj macie? — wyszeptał z przejęciem.

Terry odparł:

— Nie wiemy. Poprosiłem doktora Underwooda o pomoc w odkopaniu artefaktu. Jeśli miał pan z tego powodu jakieś kłopoty, bardzo przepraszam; to była moja wina.

— Phe! — stwierdził Phyfe. — Coś takiego, to rzecz o najwyższym znaczeniu. Powinien pan od razu mnie o tym zawiadomić.

Terry i Underwood wyszczerzyli do siebie zęby. Phyfe dawał reprymendy każdemu archeologowi z ekspedycji, który nie powiadomił go natychmiast o znalezieniu czegokolwiek, począwszy od najdrobniejszego skrawka obrobionego maszynowo metalu, do największych kamiennych monumentów, jakie znaleziono. Gdyby go posłuchano, nie mógłby robić

niczego, poza lataniem od asteroidy do asteroidy, pokonując setki tysięcy mil przestrzeni kosmicznej.

— Był pan zajęty własną pracą — usprawiedliwił się Terry.

Ale Phyfe już lądował, i kiedy zsiadł ze skutera, stanął spoglądając z niekłamanym podziwem. Terry'emu, który znalazł się blisko niego, wydawało się, że przez hełm skafandra dostrzega łzy w oczach starszego mężczyzny.

— To jest przepiękne! — Wyszeptał Phyfe z nabożnym szacunkiem. — Cudowne. Najwspanialsze znalezisko w przeciągu całego stulecia archeologii asteroidalnej. Musimy zorganizować natychmiastowy przewóz artefaktu na Ziemię.

— Jeśli mógłbym coś zasugerować — wtrącił Terry, — to proszę pamiętać, że niektóre artefakty zachowały się w niezbyt dobrym stanie. W wielu przypadkach rozpad rozpoczął się…

— Czy chce mi pan powiedzieć, że to się może rozpaść? — siwa bródka Phyfe'a, w stylu van Dycka, zadrżała gwałtownie.

— Myślałem o kwestii wymiany termicznej. Doktor Underwood pewnie lepiej zna się na tym zagadnieniu, ale wydaje mi się, że w obiekcie o tak dużej masie, spoczywającym w temperaturze absolutnego zera, po znalezieniu się warunkach zbliżonych do ziemskich temperatur mogłyby powstać niezwykłe naprężenia. To prawda, że poddaliśmy go działaniu Wiązki Atomowej, ale jej gorąco nie przeniknęło dostatecznie głęboko, aby wywołać duże naprężenia wewnętrzne.

Phyfe wyglądał na niezdecydowanego. Zwrócił się do Underwooda:

— A jaka jest pańska opinia?

Underwood nie załapał o co chodzi, dopóki nie dostrzegł mrugnięcia Terry'ego za plecami Phyfe'a. Kiedy znalezisko zastanie zabrane z kosmosu i znajdzie się w muzealnym laboratorium, Terry może już nigdy nie dopchać się do pracy nad nim. To był odwieczny problem archeologów pracujących na stanowiskach polowych.

— Myślę, że doktor Bernard zwrócił uwagę na istotną kwestię — potwierdził Underwood. — Radziłbym pozostawić artefakt w kosmosie, do czasu przeprowadzenia gruntownych badań. Przecież na pokładzie „Lavoisiera", mamy wszelkie możliwości, jakie dostępne są na Ziemi.

— Doskonale — zdecydował Phyfe. — Pan może nadal kierować fizycznymi badaniami znaleziska, panie Underwood. Doktor Barnard odpowiedzialny będzie za prowadzone prace z archeologicznego punktu widzenia. Czy to zadowala wszystkich zainteresowanych?

Było to znacznie więcej, niż Terry oczekiwał.

— Będę w stałym kontakcie — dodał Phyfe. — Proszę mnie natychmiast powiadamiać o każdym postępie. — Potem chwilowa maska kierownika znowu spadła z twarzy niewielkiego, starszego naukowca i obrzucił wzrokiem znalezisko z pokorą i podziwem. — To jest przepiękne — wyszeptał ponownie. — Przepiękne.

ROZDZIAŁ DRUGI

Phyfe pozostał w okolicy, zaś Underwood i Terry zagonili swoich ludzi do rutynowych zadań związanych z ważeniem, mierzeniem i fotografowaniem obiektu. Underwood zastanawiał się, co jeszcze można by zrobić.

— Wiesz Terry, ta rzecz wprawia mnie w zakłopotanie. Ponieważ Wiązka Atomowa nawet jej nie tknęła, oznacza to, że nie ma żadnej procedury analitycznej, na którą by zareagowała – a przynajmniej takiej, o której bym wiedział. Czy twoja wiedza o Stroidach i ich metodach działania podpowiada ci coś na temat jej przeznaczenia?

Terry pokręcił przecząco głową. Stał przy iluminatorze statku laboratoryjnego, obserwując pracujących na zewnątrz robotników.

— Jakoś nic mi nie przychodzi do głowy, ale to jeszcze nic nie znaczy. Tak mało wiemy o Stroidach, że niemal wszystko co znajdujemy pełni jakieś funkcje, o których wcześniej nie słyszeliśmy. No i, oczywiście, znaleźliśmy wiele obiektów, których funkcje są zupełnie nieznane. Tak sobie pomyślałem – a co jeżeli okaże się, że to jest tylko jakiś naturalny klejnot z wnętrza planety, być może utworzony w czasie jej rozpadu, tym niemniej jednak obiekt w pełni naturalny, a nie artefakt?

— To byłby największy wytwór krystaliczny jaki kiedykolwiek znaleziono, i także o najbardziej idealnej budowie. Powiedziałbym, że szanse jego naturalnego powstania są pomijalne małe.

— Ale może właśnie mamy do czynienia z tą jedną szansą na miliard miliardów, czy jakkolwiek by tam nie była?

— W takim razie, jego wartość powinna być na tyle duża, by zrównoważyć budżet całej Ziemi. Ja jednak mimo wszystko jestem przekonany, że to musi być sztuczny artefakt, chociaż użyty materiał i sposób jego obróbki, przerastają moją wiedzę. Rozpocznę od analizy radiacyjnej. Być może pozwoli to osiągnąć jakieś wyniki, które dadzą nam dalsze wskazówki.

Kiedy ekipa skończyła rutynowe badania, Underwood skierował wszystkich ludzi do przygotowania różnego rodzaju sprzętu wykorzystywanego w analizie radiacyjnej, który znajdował się na statku. Dzięki niemu możliwe było wygenerowanie promieniowania z nieomal całego zakresu widma, od odpowiadającego pojedynczemu okresowi fali dźwiękowej do twardego promieniowania kosmicznego.

Praca była żmudna i drobiazgowa. Wszystkie emitery po kolei, były powoli aktywowane w całym swoim zakresie działania, a następnie usuwane i zastępowane przez sprzęt o wyższej częstotliwości emisji. Przy

każdej zmianie obiekt starannie fotografowano, aby zarejestrować jego ewentualne reakcje.

Po dwóch dniach przyglądania się tej pracy, Terry znużył się pozornie bezproduktywnymi działaniami.

— Mam nadzieję, że wiesz co robisz, Del — stwierdził. — Ale to chyba prowadzi nas zupełnie donikąd?

Underwood pokręcił przecząco głową.

— Tutaj jest cały plik zdjęć. Będą ci pewnie potrzebne, żeby zilustrować raport. Fasety artefaktu są dokładnie takie same, do tysięcznych ułamków milimetra. Uwierz mi, że to naprawdę jest niezła tolerancja, jak na obiekt takiej wielkości. Powierzchnie mają chropowatość klasy piętnastej, co oznacza, że stanowią płaszczyznę w obrębie stu tysięcznych milimetra. Implikacje tego są oczywiste. Budowniczowie, którzy to stworzyli byli geniuszami mechaniki.

— Czy przeprowadziłeś jakieś datowania promieniotwórcze?

— Wyniki są raczej wątpliwe, ale oznaczenia wskazują na około pół miliona lat.

— To zgadza się z tym, co wiemy o Stroidach.

— Wskazywałoby to, że ich cywilizacja była mniej więcej na poziomie naszej.

— Osobiście uważam, że nas wyprzedzali — powiedział Terry. — A czy ty wiesz, co to oznacza dla archeologii? Po raz pierwszy w historii nauki, mamy do czynienia z pozostałościami cywilizacji na poziomie równym lub wyższym naszej. Problemy mnożą się tysiąckrotnie, kiedy próbujesz wybiegać o krok do przodu, a nie w tył.

— Czy masz jakieś pojęcie, jak Stroidzi wyglądali?

— Nie znaleźliśmy żadnych ich ciał, szkieletów, ani nawet zdjęć, ale myślimy że byli co najmniej w przybliżeniu antropomorficzni. Żyli dalej od Słońca niż my, ale było ono wtedy młodsze i prawdopodobnie dawało im mniej więcej te same ilości ciepła, co nam. Ich planeta była większa i Stroidzi zdawali się być nieco mocniej zbudowani niż my, oceniając po artefaktach, które znaleźliśmy. Ale, jak się wydaje, musieli mieć stosowną atmosferę z tlenu rozpuszczonego w odpowiednich gazach obojętnych.

Przerwało im nagłe pojawienie się technika z laboratorium, który przyniósł najnowsze, dopiero co wysuszone zdjęcie, ciągle ciepłe po wyjściu z ciemni.

Położył je na biurku przed Underwoodem.

— Myślę, że to pana zainteresuje.

Underwood i Terry popatrzyli na nie. Na zdjęciu było widać cały ogromny, podobny do klejnotu artefakt, ale wydawało się że część faset pokrywają jakieś skomplikowane znaki, z krótkich, falistych linii.

Underwood przyjrzał się bliżej obiektowi.

— Co to u diabła jest? Już robiliśmy zdjęcia każdej fasety, i nie było na nich niczego podobnego. Zróbcie mi powiększenie.

— Już zrobiłem.

Asystent położył na biurku kolejne zdjęcie, pokazujące zestaw znaków, sfotografowany jakby z bliskiej podległości. Można było je teraz wyraźnie rozróżnić.

— Co o tym sądzisz? — spytał Underwood.

— Powiedziałbym, że to wygląda jak pismo — odparł Terry. — Ale znaki są odmienne od wszystkich ornamentów Stroidów, jakie wcześniej widziałem – co oczywiście zbyt wiele nie znaczy, bo przecież mogą być tysiące ich znaków, których nie widziałem nigdy. Tylko jak to się stało, że te napisy pojawiły się teraz, a nie zauważyliśmy ich wcześniej?

— Lećmy i rzućmy okiem — zaproponował Underwood. Wziął fotografię i zanotował sobie numery faset, na których pojawiły się znaki.

W kilka chwil później dwóch mężczyzn pędziło na skuterach w stronę znaleziska. Podlecieli nad fasety pokazane na fotografiach i na próżno wypatrywali na nich jakichkolwiek oznaczeń.

— Dzieje się coś dziwnego — stwierdził Terry. — Nic tutaj nie widzę.

— Weźmy, zróbmy sobie rundkę dookoła na skuterach. Chłopcy mogli coś pokręcić przy numerowaniu zdjęć.

Zaczęli powoli krążyć wokół artefaktu, upewniając się, że sprawdzili każdą fasetę z wysokości zaledwie dziesięciu stóp.

— Nie ma ich — w końcu zgodził się Underwood. — Porozmawiajmy z ludźmi, którzy zrobili zdjęcia.

Skierowali się w stronę platformy ze sprzętem, wiszącej swobodnie w kosmosie, z której Mason, jeden ze Starszych Fizyków, kierował wszystkimi działaniami. Kiedy obaj mężczyźni się zbliżyli, Mason machnął ręką, żeby wyłączyć emisję promieniowania.

— Znalazłeś coś, szefie? — spytał Underwooda. — Robimy ci się da, żeby usmażyć to jabłko, ale nic się nie dzieje.

— Coś jednak się wydarzyło. Widziałeś to? — Underwood rozprostował fotografię przy pomocy mechanicznych palców skafandra kosmicznego.

Masson przesunął ją pod światło i przyjrzał się jej.

— Nie widzieliśmy niczego podobnego. I nie ma takiej możliwości, byśmy to przegapili. — Odwrócił się do ludzi ze swojej ekipy. — Czy ktoś widział takie napisy na obiekcie?

Popatrzyli na zdjęcie i pokręcili przecząco głowami.

— Co emitowaliście na obiekt w tym czasie?

Mason zerknął w swoje rejestry.

— Jakieś sto pięćdziesiąt angstremów.

— A więc, te znaki muszą być widoczne tylko w strumieniu promieniowania, mniej więcej o tej długości fali — powiedział Underwood. — Pracujcie dalej i uważajcie, czy nie pojawi się coś innego, oraz czy to się powtórzy po wystawieniu artefaktu na tę samą częstotliwość.

Po powrocie do laboratorium usiedli przy biurku i przejrzeli plik setek zdjęć, które napływały teraz z ciemni szerokim strumieniem.

— Nic poza tym jednym — stwierdził Terry. — Wygląda to jak wiadomość przeznaczona była wyłącznie dla kogoś, kto wie jaka częstotliwość uczyni znaki widocznymi.

Underwood pokręcił głową.

— To brzmi dla mnie trochę za bardzo melodramatycznie. Ale niewykluczone, że mamy do czynienia z jakiegoś rodzaju repozytorium i znaleźliśmy klucz do niego. Ale co to za klucz! Wygląda na to, że aby go użyć, będziemy musieli odczytać język Stroidów.

— Najlepsi naukowcy zajmujący się Stroidami próbowali tego dokonać przez ostatnie siedemdziesiąt pięć lat. Jeśli to właśnie musimy zrobić, to równie dobrze możemy sobie od razu odpuścić.

— Mówiłeś, że to pismo jest niepodobne do innych znaków Stroidów, które kiedykolwiek widziałeś. Być może pochodzi ono z jakiejś innej warstwy kulturowej. Może okazać się łatwiejsze do złamania. Kto jest najlepszy w tej dziedzinie?

— Dreyer z laboratorium semantyki. Ale on tego nie będzie chciał dotknąć. Mówi, że stracił już piętnaście lat życia na inskrypcje Stroidów i to wystarczy.

— Idę o zakład, że jeśli to jest tak nowe jak ci się wydaje, to weźmie się za to. Widziałem już paru podobnych do niego miłośników staroci. Pogadamy z Phyfem, żeby przesłał mu jakieś kopie. A kto jest następny w kolejce?

— Pewnie sam Phyfe.

— Idę o zakład, że nie będzie trudno go namówić, żeby się tym zajął.

I nie było.

Starszy naukowiec wpadł w ekstazę z powodu znalezienia inskrypcji na ogromnym klejnocie. Wziął kopie zdjęć pod lupę i spędził pełne dwa dni na porównywaniu ich z innymi znanymi zapisami.

— To jest zupełnie nowy zestaw znaków — powiedział po zakończeniu wstępnego badania. — Już wcześniej mieliśmy trzy zbiory znaków, które zdawały się w żaden sposób nie łączyć ze sobą. Ten jest czwarty.

— Wysłał pan kopie do Dreyera?

— Tylko dlatego, że panowie mnie o to prosili. Dreyer już dawno temu uznał, że ma dosyć.

W czasie tygodnia, który Phyfe poświęcił na badania, analiza radiacyjna została dokończona. Dała kompletnie negatywne wyniki, poza jednym jedynym wyjątkiem: promieniowaniem o długości 150 A, które powodowało pojawianie się na klejnocie pisma. W każdym innym wypadku, nie odnotowano żadnych dodatkowych efektów, o jakimkolwiek istotnym znaczeniu. Materiał obiektu odbijał niemal całkowicie prawie wszystkie częstotliwości, które na nie skierowano.

Tak więc Underwood znalazł się ponownie w kropce. Niemożliwym było analizowanie materiału, który nie chciał reagować, który opierał się każdej zastosowanej sile.

Underwood oznajmił Terry'emu na zakończenie serii testów chemicznych:

— Jeżeli chcesz zatrzymać ten obiekt dłużej w kosmosie, obawiam się że musisz wymyślić jakieś bardziej efektywne metody jego badania, niż ja jestem w stanie to zrobić. Z fizycznego punktu widzenia ten artefakt jest mniej więcej w takim miejscu, w jakim jest język Stroidów semantycznie – kompletnie niemożliwy do napoczęcia.

— Teraz już się nie boję, że odeślą go do muzeum. Papa Phyfe złapał go w swoje łapy i nie wypuści go, dopóki nie złamie klucza do tego języka.

Underwood nie bardzo wierzył, aby ten problem mógł zostać kiedykolwiek rozwiązany, chyba że szczęśliwym trafem natkną się na coś w rodzaju kamienia z Rosetty, który pomoże przerzucić most nad przepaścią pomiędzy ludzkim umysłem i obcym sposobem myślenia Stroidów. Nawet jeśli Stroidzi byli odrobinę antropomorficzni z wyglądu, jak uważali archeolodzy, to nie było żadnych przesłanek do twierdzenia, że ich umysły nie są tak kompletnie obce, iż przerzucenie takiego mostu nie będzie nawet możliwe.

Underwood naprawdę miał już ochotę zostawić ten problem. Pomimo, że niesamowicie fascynujący, był on w niewiele większym stopniu rozwiązywalny niż kwestia składu chemicznego gwiazd w czasach przed wynalezieniem spektroskopu. Ani archeolodzy, ani semantycy, ani fizycy nie mieli jeszcze narzędzi do złamania problemu Stroidów. Dopóki takie narzędzia nie zostaną opracowane, zagadnienie to po prostu musiało zostać odłożone na bok. Jedynym wyjątkiem była bardzo mglista możliwość znalezienia celowych wskazówek pozostawionych przez Stroidów, ale Underwood nie wierzył w cuda.

Ostatecznego przekonania nabrał, gdy nadeszła zwrotna wiadomość od Dreyera, który odpowiedział: „Gratulacje Phyfe", i odesłał kopie zdjęć znaków Stroidów, z krótką notatką.

— No cóż, to kończy sprawę — stwierdził Underwood.

Phyfe był zniesmaczony odpowiedzią Dreyera.

— Ten człowiek po prostu próbuje podtrzymać swoją kruszącą się reputację, twierdząc że tego problemu nie da się rozwiązać. „Odesłać obiekt do muzeum, i niech tam zaczną nad nim pracować". Ja poświęcę mu cały swój czas. Doktorze Bernard, jeśli pan się zgodzi, pomoże mi pan przy tym.

Sam Terry był trochę speszony ogromem tajemnicy, na jaką się natknęli. Znał upór buldoga Phyfe'a, kiedy ten już na coś się zawziął i nie chciał ugrzęznąć w semantyce na całą resztę okresu trwania ekspedycji.

Underwood pomimo wszystko zagłębił się w prace przy pomocy promieni X, próbując zidentyfikować strukturę molekularną artefaktu od

strony krystalograficznej, aby zorientować się, czy po jej określeniu możliwe będzie jakieś zakłócenie wzorca jej budowy.

Kiedy nad tą pracą minął mu jakiś tydzień, na zakończenie dnia roboczego, do jego laboratorium przybył Terry, będący wyraźnie nie w sosie.

— Wyglądasz, jakby Papa dał ci po uszach — powiedział Underwood. — Skąd ten ponury nastrój?

— Myślę o rezygnacji i powrocie do muzeum. Dalsze prace nad tą łamigłówką wyglądają beznadziejnie.

— A skąd ten wniosek?

— Ponieważ to wszystko nie zgadza się z regułami semantyki w odniesieniu do języków.

— Być może to te reguły wymagają zmiany.

— Nie powinieneś gadać takich głupstw. Posłuchaj, znasz przecież prawo Carnovana równie dobrze jak ja. Mówi ono, że każdy język musi zawierać pewne stałe częstotliwości wystąpień pojęć semantycznych. To jak w przypadku starego prawa częstotliwości znaków, używanego w analizie kryptograficznej, tyle że tysiąc razy bardziej skomplikowane. A jednak próbowaliśmy tysięcy podstawień do skali częstotliwości Carnovana, i nic z tego nie wyszło. Kompletnie nic. Nie ujawniło się żadne pojęcie ego, tożsamości, doskonałości, retrogresji, kontaktów. Jedyną rzeczą, która pojawia się w pewnym minimalnym stopniu, jest pojęcie ruchu, ale nie daje ono żadnego pojedynczego słowa kluczowego. To niemal tak, jakby to w ogóle nie był język.

— Może nie jest.

— A co innego mogłoby to być?

— No wiesz, może ten znaleziony przez nas obiekt to coś w rodzaju pomnika, zaś inskrypcje są zrytualizowanymi hołdami dla martwych bohaterów, czy czymś podobnym. Może w tej całej sprawie z promieniowaniem nie kryje się żadna sztuczka. Może oni używali powszechnie tej właśnie częstotliwości fali do oświetlenia, a napisy zostały przystosowane do tego, by dobrze je było widać w nocy. Problem z wami, ścisłymi semantykami, polega na tym, że zupełnie nie używacie wyobraźni.

— Chciałbyś nam pomóc przy paru sesjach z Papą Phyfe?

— Nie dzięki, ale myślę, że jest jeszcze wiele innych możliwości, które przegapiacie. Nie roszczę sobie pretensji do miana semantyka, ale przypuśćmy, na przykład, że te inskrypcje w ogóle nie są językiem, w żadnym powszechnym tego słowa znaczeniu.

— Ale muszą przecież reprezentować w jakiejś formie, transfer myśli.

— To prawda, jednak popatrz tylko jak wiele istnieje różnych form myśli. Uczepiliście się koncepcji języka, tak jak jest on rozumiany od czasów Korzybskiego. A przynajmniej koncepcji wspieranej przez tych, którzy nie do końca Korzybskiego zrozumieli. Nawet nie wzięliście pod uwagę koncepcji muzyki. Przecież to bardzo realna możliwość, a wydaje się ona pozbawiona znaczenia, bez instrumentu. Rozważmy także… Chwileczkę, Terry! Ależ z nas banda tępogłowych durni!

— O co chodzi?

— Popatrz na geometryczną i mechaniczną doskonałość artefaktu. To implikuję wiedzę matematyczną na wysokim poziomie. Te inskrypcje, to mogą być przecież jakieś formuły matematyczne. Wyjaśniałoby to załamanie się reguł Carnovana. One nie stosują się do matematyki.
— Ale jakie formuły matematyczne mogłyby zostać wypisane na tego rodzaju obiekcie?
— Kto wie? Co nam szkodzi spróbować.

Był to właśnie początek okresu przeznaczonego na sen, ale Terry nakręcił się nagłym przypływem entuzjazmu Underwooda. Przyniósł kompletną kopię wszystkich inskrypcji znalezionych na fasetach czarnego klejnotu. Underwood rozłożył je na dużym stole w tym samym porządku, w jakim pojawiały się na obwodzie kuli.
— Dla mnie to zupełny mętlik — stwierdził Terry. — Jestem najgorszym matematykiem na świecie.
— Popatrz! — zawołał Underwood. — Tutaj jest początek. — Nagle przesunął parę arkuszy, tak że ten który poprzednio był w środku, teraz znalazł się na początku sekwencji. — Coś ci to przypomina?
— Widziałem to już tyle razy, że aż mi się śniło. To jeden z układów, które Phyfe najczęściej próbował dopasować przy swojej analizie częstotliwości. Dla mnie to wygląda tylko jak jakieś elementy ułożone w trójkąt.
— I jest to dokładnie tym, co powiedziałeś, nic też dziwnego, że Phyfe stwierdził, że ma dużą częstotliwość występowania. To jest ni mniej ni więcej, jak objaśnienie stroidzkiego pojęcia różniczkowania. Ten element, tam, to musi być znak pochodnej, odpowiadający naszemu dy/dx.
Pośpiesznie Underwood nakreślił parę symboli w szkicowniku, wykorzystujących kombinacje x-ów, y-greków i dziwnych nieznanych symboli Stroidów.
— Zgadza się! Pokazują nam jak różniczkować! Nie tylko to, w dodatku mamy klucz do ich systemu liczenia w zakresie potęgowania, ponieważ pokazali nam tutaj różniczkowanie całej serii wyrażeń potęgowych. Dalej więc. Powinniśmy gdzieś tu znaleźć wyrażenia całkowe, które będziemy mogli sprawdzić w tył z różniczkowaniem. O, jest tutaj!

Terry, który teraz już zupełnie nie nadążał, poszedł do kambuza, zaparzył dzbanek gorącej kawy i przyniósł go z powrotem. Znalazł Underwooda wpatrującego się prosto przed siebie niewidzącym spojrzeniem, w ciemny, pusty kąt laboratorium.
— Co się stało? — zawołał Terry. — Czegoś się dowiedziałeś?
— Nie jestem pewien. Czy wiesz do czego prowadzi ta cała matematyka?
— Do czego?
— Do układu równań falowych, który każdego fizyka doprowadziłby do szaleństwa, gdyby tylko o nim pomyślał. A jednak, w świetle pewnych

nowych przekształceń wprowadzonych przez Stroidów, wydają się one możliwe do realizacji.

— Co możemy zrobić przy ich pomocy?

— Możemy zbudować generator fal i zobaczymy co za diabelstwo z niego wyskoczy, kiedy zaczniemy nim sterować zgodnie z tą matematyką. Stroidzi ewidentnie chcieli żeby ktoś to znalazł i dowiedział się jak wytwarzać opisane na tym promieniowanie. W jakim celu, możemy się tylko domyślać – ale moglibyśmy się tego dowiedzieć.

— Czy mamy na pokładzie dostatecznie dużo sprzętu, żeby zbudować taki generator?

— Myślę, że tak. Moglibyśmy pozyskać wystarczające ilości części z wyposażenia, które mamy pod ręką. Spróbujmy.

Terry zawahał się.

— Nie jestem tak do końca pewny, ale… no cóż, to cholerstwo jest bliższe niż cokolwiek innego, żeby wywołać u mnie sensacje, które potocznie określa się jako ciarki. Jakoś, ci Stroidzi wydają się mi bardzo… bardzo niepokojący. Wiem, że brzmi to jak majaczenie szaleńca, ale w tym wszystkim jest taka… obcość.

— Bzdury. Zbudujmy ten ich generator i zobaczymy co takiego próbują nam powiedzieć.

ROZDZIAŁ TRZECI

Phyfe był bardzo szczodry. Nie tylko, że wydał pozwolenie budowy generatora, ale domagał się by wszystkie inne prace na pokładzie statku laboratoryjnego zostały podporządkowane nowemu projektowi.

Skonstruowanie maszyny nie było łatwym zadaniem, ponieważ Underwood był fizykiem, a nie inżynierem. Jednak, miał w swoim zespole dwóch ludzi, Moody'ego i Hansena, którzy byli pierwszorzędnymi inżynierami. Na nich spadło główne brzemię konstrukcji urządzenia, po tym jak Underwood opracował jego ogólne specyfikacje.

Na potrzeby projektu zostało opróżnione jedno z głównych laboratoriów, o powierzchni niemal dziesięciu tysięcy stóp kwadratowych. Spływające z biurka Underwooda specyfikacje, przechodziły do Moody'ego i Hansena, a od nich do laboratorium, gdzie zgromadzono całą masę podzespołów pochodzących ze wszystkich statków floty.

Atomowy zasilacz, który potrafił dostarczyć ogromnych ilości energii niezbędnych do działania generatora, został zbudowany dzięki ograbieniu statku głównego wyprawy z pomocniczego źródła zasilania. Jednostki konwerterów wykorzystano z samego „Lavoisiera", ale główne lampy emitera musiano pozyskać ze znajdującego się na pokładzie sprzętu wysyłającego promieniowanie o długości 150 A.

Powoli masa zaimprowizowanego sprzętu rosła coraz bardziej. Byłoby to trudne zadanie nawet na Ziemi, gdzie znajdowały się wszystkie zasoby niezbędne do realizacji takiego projektu, a w tych prowizorycznych warunkach fakt, że budowa postępowała, graniczył niemal cudem. Wiele razy Underwood musiał iść na kompromisy, które jak miał nadzieję nie zmienią charakterystyki fali, jeszcze dwa tygodnie temu uważanej przez niego za niemożliwą do wygenerowania.

Kiedy urządzenie zostało ukończone i było już gotowe do ostatecznych testów, ogromne laboratorium zmieniło się masę skłębionych kabli, do której nikt nie ośmielał się nawet podchodzić, poza Moodym i Hansenem.

Koniec jego budowy stanowił punkt przesilenia. Wielki projekt, który niemal zastopował wszystkie inne prace na stanowiskach, został zakończony – i nikt nie wiedział czego się spodziewać, kiedy Hansen przerzucił przełącznik, doprowadzający energię z konwerterów do gigantycznych lamp.

Prawdę mówiąc, nie stało się nic. Tylko słaby jęk konwerterów i kołyszące się wskazówki rozmaitych mierników, porozrzucanych po całym pomieszczeniu, wskazywały że emiter działał.

Na dziobie „Lavoisiera” umieszczona została wielka, niezgrabna antena emitera, o średnicy stu stóp, która zalewała bezdenne głębiny kosmosu nowo wytworzonym promieniowaniem.

Underwood i Terry byli na zewnątrz statku, za wielkim radiatorem, z całą masą urządzeń przeznaczonych do obserwacji efektów działania wiązki promieniowania.

W kosmosie była ona zupełnie niewidoczna, nie wytwarzając żadnego możliwego do wykrycia pola. Wydawała się nieaktywna, jak wiązka promieniowania ultrafioletowego, przeszywając usianą punkcikami gwiazd ciemność.

Underwood wziął interfon, który łączył ich z wnętrzem statku.

— Kapitanie Dawson, proszę obracać statek dookoła, tak by wysyłana wiązka wirowała, zataczając łuk o stu dwudziestu ośmiu stopniach.

Kapitan rozkazał wprawić statek w obrót i wielki „Lavoisier” zaczął kręcić się wokół swej osi – ale nie w kierunku, o którym myślał Underwood. Nie wskazał tego kierunku, zaś Dawson przyjął, że nie ma on znaczenia.

Ociężale wielki emiter zaczął zataczać krąg i zanim Underwood zdążył wykrzyczeć ostrzeżenie, wiązka ustawiła się dokładnie na linii łączącej go z tajemniczym klejnotem wszechświata, który znaleźli w sercu asteroidy.

Natychmiast całe niebo wypełniło się niemożliwym do zniesienia blaskiem. Terry i Underwood rzucili się w stronę kadłuba statku, a fizyk zaczął krzyczeć do mikrofonu, aby Dawson wykręcił w inną stronę.

Jednak jego ostrzeżenia były daremne, ponieważ wszyscy na pokładzie zostali oślepieni potężnym rozbłyskiem światła, który przebił się nawet przez chronione iluminatory statku. Niekontrolowany „Lavoisier” nadal się obracał, zalewając wielki klejnot tajemniczym promieniowaniem.

Po chwili wszystko się zakończyło i tylko wiązka promieni przecinała ponownie ciemną przestrzeń kosmiczną.

Na powierzchni statku, Underwood i Terry poczuli, że wzrok im powoli powraca. Krzywizna kadłuba osłoniła ich przed pełnym blaskiem rozbłysku światła z klejnotu.

Underwood pozbierał się na nogi, po nim Terry. Dwaj mężczyźni stali z niedowierzaniem i oszołomieniem, spoglądając na widok który roztaczał się przed ich oczyma. W miejscu, w którym jeszcze parę chwil temu w kosmosie dryfował klejnot, obecnie znajdowała się pobliźniona, kipiąca masa amorficznej materii, która puchła i parowała w próżni. Wszelkie podobieństwo do błyszczącego, pokrytego fasetami hebanowego kryształu zniknęło, kiedy z jego wnętrza wylała się odpychająca masa.

— Zniszczyliśmy go! — ochryple zawołał Terry. — To było największe znalezisko archeologiczne wszechczasów, a my je zniszczyliśmy zanim udało nam się czegokolwiek o nim dowiedzieć…

— Zamknij się! — szorstko polecił Underwood. Próbował skoncentrować się na rozgrywających się na jego oczach wydarzeniach, ale nie mógł znaleźć w nich żadnego sensu. Przeklinał fakt, że nie ma

kamery i modlił się tylko, aby ktoś w środku statku zachował na tyle przytomności umysłu, by którąś włączyć.

W miarę jak statek kontynuował swój nieśpieszny obrót, jak nieprzytomny wieloryb, pulsowanie amorficznej masy, w którą zamienił się klejnot z wolna ustało. Zaś szara mroczność jego powierzchni jęła zmieniać swój wygląd. Zaczęła odzyskiwać sztywny charakter… i robić się przejrzysta!

Underwood sapnął z wrażenia. Na krawędziach faset widać było ciężkie ożebrowanie, wzmacniające konstrukcję, tworzące szkielet obiektu. Każda komórka pomiędzy żebrami wypełniona była gęstą substancją, częściowo przezroczystą, pokazującą nieznaną do tej pory zawartość we wnętrzu.

Ale co więcej, był niemal pewien, że jedna z utworzonych przez ożebrowanie trójkątnych komór jest pusta, stanowi wejście do wnętrza!

— Lecimy! — zawołał do Terry'ego. — Popatrz na ten otwór!

Wskoczyli okrakiem na skutery, przycumowane do powierzchni statku laboratoryjnego i pomknęli przez przestrzeń rozdzielającą oba obiekty. Wystarczyła tylko chwila, by mogli potwierdzić swoje pierwsze pośpieszne wrażenia.

Podlecieli skuterami w pobliże otworu i zamocowali je do powierzchni artefaktu. Przez chwilę Underwood myślał nawet, że klejnot może jest jakimś obcym statkiem przybyłym z dalekich głębin Wszechświata, ponieważ wypełniony był w środku mechanizmami o trudnych do określenia właściwościach i nieznanym przeznaczeniu. Był tak nimi upakowany, że nie dało się zajrzeć głęboko do jego wnętrza, nawet wykorzystując mocne reflektory skuterów.

— Wiązka była kluczem umożliwiającym wejście do środka — stwierdził Terry. — Nasz obiekt od początku był tak zaprojektowany, żeby wystarczyło skierować na niego promiennik. Wiązka musiała tylko w jakiś sposób paść na klejnot.

— I to z jak widowiskowym skutkiem!

Trójkątny otwór był na tyle duży, aby zmieścił się w nim człowiek. Underwood i Terry uklękli na jego krawędzi, zaglądając do środka, świecąc reflektorami po widocznym wnętrzu. Zejście wydawało się prowadzić do niewielkiego zupełnie pustego pomieszczenia.

— Wejdź do mego saloniku, powiedział pająk do muchy — zacytował z pamięci Terry[1]. — Niczego tam na dole nie widzę, a ty?

— Nie. Skąd ci przyszedł do głowy ten wiersz o pająku?

— Nie wiem. To wszystko za dobrze idzie. Mam wrażenie, jakby ktoś obserwował nas z tyłu, niemalże wpychał nas siłą do środka i poganiał byśmy zrobili to co jemu pasuje. A kiedy znajdziemy się tam gdzie on chce, wcale nam się to nie spodoba.

---

[1] The Spider and The Fly (Pająk i mucha), Mary Howitt (przyp. tłum.)

— Pewnie mamy do tutaj czynienia z tym słynnym naukowym przeczuciem, którego my fizycy-ignoranci nigdy nie byliśmy w stanie zrozumieć.

Ale Terry był śmiertelnie poważny. Pod tym względem urządzenie Stroidów zaczynało być deprymujące – sposób w jaki prowadziło ich za rączkę krok po kroku, tak jakby manipulowała nimi jakaś niewidzialna moc, a nie kierowali się w swej pracy swoją własną wolną wolą.

Underwood chrząknął po raz ostatni i zagłębił się w zejściu, świecąc gorączkowo wokół siebie swoją latarką. Terry podążał tuż za nim. Znaleźli się w kolistym pomieszczeniu o średnicy dwudziestu stóp. Jego ściany i podłoga wydawały się być zbudowane z tego samego hebanowo czarnego materiału, z którego składała się zewnętrzna skorupa klejnotu przed jego przekształceniem.

Ściany były dosłownie całe, od podłogi do zwisającego na wysokości dziesięciu stóp sufitu, pokryte inskrypcjami, delikatnie połyskującymi w ciemności, kiedy nie padały na nich promienie latarek.

— Rozpoznajesz coś z tego? — spytał Underwood.

— Stroid III — odparł z podziwem Terry. — To najpiękniejsza kolekcja napisów, jaka kiedykolwiek została znaleziona. Nigdy wcześniej nie udało nam się otrzymać kolejno uporządkowanych fragmentów pisma o długości, która stanowiłaby choćby ułamek tego co mamy tutaj. Teraz Dreyer musi się tym zająć.

— Mam pewne przeczucia co do tego — powoli oznajmił Underwood. — Oczywiście, nie wiem nic na temat procedur używanych w odczytywaniu nieznanego pisma, ale założyłbym się, że stwierdzicie, iż mamy tutaj do czynienia z elementarzem wprowadzającym do ich języka, tak jak inskrypcje na zewnątrz oferowały nam klucz do ich matematyki, przed szczegółową prezentacją równań falowych.

— Możesz mieć rację! — Oczy Terry’ego płonęły entuzjazmem, kiedy patrzył na gładkie ściany z widocznymi na nich lekko błyszczącymi znakami. — Jeżeli tak będzie, to Papa Phyfe i ja może poradzimy sobie z tą pracą, bez pomocy Dreyera.

Wrócili na statek po sprzęt fotograficzny, oraz aby złożyć raport o swoim znalezisku Phyfe’owi. Trochę trudno było mu się przyzwyczaić do idei, że transformacja klejnotu przyniosła jakieś korzyści. Widok tej kipiącej, amorficznej masy unoszącej się w kosmosie, był dla niego jak tkwienie na brzegu nurtu powodzi i przyglądanie się tonącej w niej miłości swego życia.

Ale po raporcie Terry’ego, na temat znaków w języku Stroid III, pokrywających ściany komory przedsionka, do której dotarli, gotów był przyznać, że ich sytuacja uległa nawet poprawie.

Kiedy wrócili do środka klejnotu, Underwood był już tylko widzem. Jemu, Terry’emu i Phyfe’owi towarzyszyło dwóch fotografów, Carson i Enright, razem z Nicholsem, asystentem semantykiem.

Underwood stanął z boku, zatopiony w rozmyślaniach, podczas gdy fotografowie rozstawiali swój sprzęt, zaś Phyfe nachylił się, by z bliska przyjrzeć się znakom.

Terry'ego nadal prześladowało poczucie, że są prowadzeni za rączkę prosto w coś, co niemiło się dla nich skończy. Nie miał pojęcia skąd to się bierze, poza faktem że ze wszystkich stron widać było ślady ogromnych i drobiazgowych przygotowań. Powód tych przygotowań, to właśnie on tak mocno go zastanawiał.

Phyfe zwrócił się do Underwooda.

— Doktor Bernard przekazał mi pańską opinię, że to pomieszczenie stanowi klucz do języka Stroid III. Być może ma pan rację, ale na razie nie udało mi się dostrzec żadnych wskazówek które by to potwierdzały. Co podsunęło panu ten pomysł?

— Rozwój sytuacji — odparł Underwood. — Najpierw natknęliśmy się nieprzeniknioną skorupę „klejnotu". W naszej współczesnej cywilizacji Solariańskiej, nie mamy nic podobnego. Dalej, zastanówmy się nad środkiem, przy pomocy którego udało nam się odczytać inskrypcje na zewnątrz. Oczywiste było, że jeżeli ciepło, reakcje rozszczepialne, oraz chemiczne nie naruszyły tego materiału, jedynym pozostałym środkiem analizy jest promieniowanie. A inskrypcje mogli odkryć tylko istoty, które potrafią zbudować generator promieniowania o długości fali 150 A. Tak więc, każdemu kto próbowałby rozwiązać problem tego schowka, postawione zostały dwa wymagania na wysokim poziomie rozwoju technicznego – możliwość wygenerowania promieniowania o odpowiedniej długości, a następnie zdolność do zrozumienia odkrytych formuł matematycznych i zbudowania drugiego generatora, na podstawie przekazanych równań falowych.

— Teraz zaś znaleźliśmy się tu, w środku, i nic nie jesteśmy w stanie zrobić, zanim nie zrozumiemy ich języka pisanego. Oczywiste więc, że muszą nas tego nauczyć. To miejsce właśnie powinno do tego celu służyć.

— Może ma pan rację — stwierdził Phyfe. — Ale my, archeolodzy, musimy pracować w oparciu o fakty, a nie domysły. Wkrótce przekonamy się, czy to prawda.

Underwood z zadowoleniem przyjął okazję do chwili rozmyślań, podczas gdy inni pracowali. Nie miał nic innego do roboty. Nie było widać żadnego wyjścia z tego przedsionka, ale był przekonany, że jakąś drogę do wnętrza uda się znaleźć, kiedy odczytane zostaną inskrypcje na ścianach.

Wyszedł na powierzchnię i powoli spacerował po artefakcie, zaglądał w jego przejrzyste wnętrze, świecąc swoją latarką. Co znajdą w tym repozytorium pozostawionym przez starożytną rasę, która ewidentnie dorównywała, albo nawet wyprzedzała ludzkość w osiągnięciach naukowych? Czy to jest jakaś ogromna składnica wiedzy, która szczodrze

obdarzy nią rasę ludzką? Albo raczej okaże się ona kolejną puszką Pandory, z której wyleje się na świat morze nowego zła, dodając je do już przygniatającego brzemienia?

Świat ma już mniej więcej wszystko, co był w stanie w tej chwili wytrzymać, rozmyślał Underwood. Od stulecia twórczość naukowa na Ziemi rozkwitała. Jej fabryki huczały łomotem nieustannej produkcji, a utopia wieszczona przez wszystkich planistów historii, stopniowo nadchodziła. Zdolności produkcyjne ludzkości od pięciuset lat nieustannie się powiększały, a w końcu w równym tempie rosły jej możliwości konsumpcyjne, przy odpowiednio mniejszych ilościach czasu poświęcanych na produkcję, a większych spędzanych przy konsumpcji.

Ale utopia nie była aż takim sukcesem, jak o tym marzyli Utopiści. Zawsze obecne przekleństwo wymuszonego bogactwa czasu wolnego, nie szanowało tak samo nowej epoki jak i minionych czasów. Ludzie dosłownie zaczęli szaleć, z powodu niesamowitego nadmiaru luksusu.

Zaledwie rok temu, przez miasta i państwa przemknął tak zwany Wyjący Szał. Była to fala histerii, która przybrała skalę epidemii. Tysiące ludzi w danym mieście prześladowane było w jednym czasie atakami nieopanowanego szlochu i rozpaczy. Wystarczało, by jeden z domowników został nim dotknięty, a szybko rozprzestrzeniało się to na całą rodzinę, zaś od członków tej rodziny rozchodziło się wzdłuż i wszerz ulic, w jedną i w drugą stronę miasta, aż wreszcie w niebiosa bił tylko jeden wielki szloch, jakby przerażonego zwierzęcia.

Underwood widział tylko jeden przypadek Wyjącego Szału, i uciekł stamtąd jakby go ktoś gonił. Opisanie jego efektów na system nerwowy było niemożliwością – całe miasto w szponach histerii.

Życie było tanie, podobne jak i inne luksusy oferowane przez Ziemię. Liczba morderstw sięgała tysięcy w każdym miesiącu, i było to ledwie zauważane, zaś posiadanie broni dla ochrony, stało się wyróżnikiem nowej epoki, ponieważ człowiek nie wiedział kiedy jego sąsiad może zwrócić się przeciwko niemu.

Rządy pojawiały się i upadały szybko i stały się one wkrótce niewiele więcej niż tylko zakładnikami ludzi pękających z przesytu, od nadmiaru przyjemności życiowych. Najistotniejszym ze wszystkiego, była jednak niezdolność każdego przywódcy do utrzymania swoich zwolenników dłużej, niż przez bardzo krótki okres czasu.

Spośród wszystkich mieszkańców Ziemi, zaledwie paręset tysięcy naukowców, było w stanie zachować stan równowagi umysłu, a większość z nich obecnie stamtąd uciekała.

Rozmyślając o tych wszystkich sprawach, Underwood zastanawiał się, co mogło oznaczać dla ludzkości otwarcie repozytorium istot, które zamknęły w nim swe tajemnice, pół miliona lat temu. Chyba właśnie to pytanie prześladuje Terry'ego, pomyślał sobie.

Siedział tak na skorupie artefaktu niemal przez trzy godziny, pozwalając by jego myśli błądziły leniwie w świetle gwiazd. Nagle słuchawki jego hełmu wypełniły się dźwiękiem. Był to głos Terry'ego Bernarda.

— Mamy to, Del — cicho oznajmił. — Możemy odczytać te napisy, równie łatwo jak dziecięce rymowanki. Zejdź do nas na dół. Dzięki temu dowiemy się jak dostać się do środka.

Underwood nie śpieszył się. Powoli podniósł się z miejsca w którym siedział i popatrzył do góry, w gwiazdy. Te same gwiazdy, spoglądające na istoty, które zamknęły repozytorium. To jest to, powiedział sobie. Człowiek nie może zawracać z raz wybranej drogi.

Wszedł do otworu.

Doktor Phyfe był dziwnie spokojny, pomimo szybko osiągniętego sukcesu w odczytaniu języka Stroidów. Underwood zastanawiał się, co się dzieje w głowie starego naukowca. Czy on też wyczuwał wielkość tej chwili?

Phyfe oznajmił:

— Oni byli również semantykami. Wiedzieli o częstotliwościach Carnovana. I w tym tkwi klucz do odkrycia znaczenia ich języka. Nikt, kto byłby słabiej zaawansowany w semantyce, niż nasza cywilizacja, nie dałby rady go odczytać, ale dla posiadających wiedzę o częstościach Carnovana, sprawa jest stosunkowo łatwa.

— Praktycznie jakby wybrali nas do tej pracy — zauważył Terry.

Ostre spojrzenie Phyfe’a padło nagle na niego, spoza podwójnej osłony jego okularów oraz przezroczystego hełmu skafandra kosmicznego.

— Być może — odparł Phyfe. — Być może rzeczywiście tak było. W każdym bądź razie, aby otworzyć tę komorę i znaleźć wejście do wnętrza, trzeba wykonać kilka operacji.

— **G**dzie są drzwi do środka?

Posługując się sporządzonymi wcześniej notatkami, Terry poruszał się po pomieszczeniu, zwracając uwagę Underwooda pewne elementy jego wystroju. Delikatnie wyrzeźbione przesuwalne dźwignie utworzyły skomplikowaną kombinację, która nagle odblokowała fragment podłogi, dokładnie pośrodku przedsionka. Powoli upuścił się on, a następnie obrócił i zniknął ze swego miejsca.

Przez chwilę nikt się nie odzywał, podczas gdy Phyfe przysunął się do otworu i zajrzał do niego. W dół, w głębiny repozytorium wiodły schody zbudowane z tego samego połyskującego materiału, co otaczające je ściany.

Phyfe ruszył na dół i niemal potknął się w samym wejściu.

— Uważajcie na te stopnie — uprzedził. — Są większe niż potrzeba dla ludzkich stóp.

Giganci dzisiejszych czasów, przemknęło przez głowę Underwoodowi. Próbował wyobrazić sobie stworzenia schodzące po tych schodach i przytrzymujące się poręczy umieszczonej dla niego na wysokości ramion.

Repozytorium podzielone było na poziomy, a schody skończyły się raptownie, kiedy zeszli na piętro poniżej przedsionka. Pomieszczenie, w

którym znaleźli się tym razem, pełne było różnej wielkości artefaktów o obcych kształtach. Nie przywitał ich tu nawet jeden przedmiot o znajomym wyglądzie. Ale naprzeciwko dolnego krańca schodów znajdował się piedestał, na którym spoczywał przedmiot podobny do książki. Kiedy Terry wspiął się, aby mu się przyjrzeć, okazało się że był on złożony z powieszonych na zawiasach metalowych arkuszy, pokrytych pismem Stroid III. Nie był w stanie go poruszyć, ale metalowe strony zamykane były przy pomocy pojedynczego zatrzasku, który zareagował na jego dotyk.

— Wygląda na to, że będziemy musieli przez cały czas wyczytywać sobie dalszą drogę — stwierdził Terry. — Myślę, że to nam powie jak dostać się do następnej komory.

Underwood i inni członkowie ekspedycji ostrożnie poruszali się po pomieszczeniu, badając jego zawartość. Dwaj fotografowie zaczęli sporządzać uporządkowany zapis zdjęciowy wszystkiego, co się w nim znajdowało.

Stojąc samotnie w jednym z rogów, Underwood oglądał przedmiot, który wydawał się być tylko szeregiem nieprzezroczystych, wielobarwnych kul, ustawionych stycznie jedna koło drugiej na postumencie.

Nie potrafił powiedzieć, czy była to jakaś maszyna, czy pomnik.

— Pan też to czuje — odezwał się nagle cichy głos za jego plecami.

Underwood obrócił się na pięcie, zaskoczony. Za nim stał Phyfe, jego niewielka postać w skafandrze kosmicznym wyglądała jak bezkształtny cień.

— Co mam czuć?

— Przeglądałem się panu, doktorze Underwood. Jest pan fizykiem i ma pan znacznie bliższy kontakt ze światem rzeczywistym, niż ja. Widział pan przecież – nie umiem nawet efektywnie zarządzać ekspedycją — mój umysł umyka nieustannie w przeszłość, i nie potrafię pojąć znaczenia spraw współczesnych. Prozę mi powiedzieć, jakie będą skutki tego wtargnięcia obcej nauki w naszą.

Underwooda przepełniło nagle nowe uczucie szacunku. Nigdy by nie pomyślał, że mały archeolog ma takie wnikliwe spojrzenie na siebie i swoje relacje z otoczeniem.

— Chciałbym znać odpowiedź na to pytanie — odparł Underwood, kręcąc przecząco głową. — Ale niestety, nie znam. Być może gdybyśmy to wiedzieli, zniszczylibyśmy ten artefakt… albo z powodu naszego odkrycia krzyczelibyśmy z radości na cały Wszechświat. W każdym bądź razie, nie znamy tej odpowiedzi, ani nie ośmielimy się być sędziami, nawet gdybyśmy ją znali. Cokolwiek by to nie było, wydaje się jakby Stroidzi celowo próbowali to nam przekazać, dla przetrwania swojej cywilizacji. — Zawahał się. — To, oczywiście, tylko moje domysły.

W ciemnym kącie komory, Phyfe skinął powoli głową.

— Ma pan rację, oczywiście. To jedyna możliwa odpowiedź. Nie ośmielimy się być sędziami.

Underwood zdał sobie sprawę, że nie zajdzie donikąd w swym zrozumieniu stroidzkich osiągnięć naukowych, polegając wyłącznie na tłumaczeniach, przekazywanych mu przez Terry'ego i Phyfe'a. Musiał nauczyć się samemu czytać inskrypcje Stroidów. Wciągnął w rozmowę Nicholsa i namówił semantyka do objaśnienia mu podstaw ich języka. Opierał się on na zaskakująco prostych zasadach i zbudowany był zgodnie z regułami semantyki.

Jednak dalsza droga do wnętrza repozytorium raptownie stała się znacznie trudniejsza i przejście przez dosyć elementarny materiał znajdujący się na pierwszym poziomie pod przedsionkiem, zabrało im czas odpowiadający pięciu ziemskim dniom.

Książka o metalowych stronach uczyniła niewiele, aby zaspokoić ich ciekawość zarówno na temat pradawnej planety, jak i zamieszkującej ją cywilizacji. Poprowadziła ich dalej w zrozumieniu stroidzkiego pisma, zwracając się do nich jako do Nieznanych Przyjaciół – najbliższe tłumaczenie na ludzkie języki.

Jak już to wcześniej było jasne, repozytorium zostało stworzone do uratowania najważniejszych wytworów starożytnej cywilizacji Stroidów przed zniszczeniem, które spadło na ich świat. Ale zapisy nie zawierały najmniejszej wskazówki co do natury tego zniszczenia i nic nie mówiły o przedmiotach znajdujących się w tym pomieszczeniu.

Naukowcy byli trochę rozczarowani, jak niewiele zostało im wyjawione do tej pory, ale tak jak się spodziewali, w książce znajdowały się instrukcje na temat sposobu przejścia na następny, niższy poziom. Tam musieli stawić czoła zupełnie odmiennej sytuacji.

Komora, do której zeszli po krętych, długich, spiralnych schodach, wąskich, lecz o takich samych dużych stopniach jak poprzednio, miała sferyczny kształt i wydawała się być koncentryczna z całą zewnętrzną powłoką repozytorium. Zawierała ona tylko jeden przedmiot.

Przedmiotem tym był stojący w środku komory sześcian, o boku długości mniej więcej dwu stóp. Z narożników sześcianu wyrastały długie podpory o skomplikowanej sprężynującej konstrukcji, prowadzące do wewnętrznej powierzchni sferycznej komory. Wyglądało to na jakąś bardzo efektywną konstrukcję antywstrząsową zabezpieczającą coś, co znajdowało się w sześcianie.

Rozpościerający się przed ich oczyma widok, czynił wrażenie swą prostotą, a jednocześnie budził mieszane uczucia, ponieważ nie było tutaj żadnych wspaniałych cudów, jakich się spodziewali. Był tylko zawieszony sześcian – i książka.

Phyfe szybko przeszedł wąskim pomostem, który prowadził od wejścia, do sześcianu. Książka leżała na półce przymocowanej do ściany sześcianu. Phyfe otworzył ją na pierwszej stronie i zaczął czytać z trudem składając słowa:

„Witajcie, Nieznani Przyjaciele. Pozdrowienia dla was od Wielkiego. Przy pomocy czytanego obecnie tekstu macie pokazać, czy jesteście zdolni mentalnie do zrozumienia nowego świata wiedzy i odkryć, który może stanąć przed wami otworem.

Nazywam się Demarzule, Wielki, największy z wielkich Sirenii – i ostatni z nich. A w składnicy mego umysłu złożona została potężna wiedza, która uczyniła Sirenię największą planetą w całym Wszechświecie.

Pomimo jej wielkości, na planetę Sirenię spadła zagłada. Ale jej wiedza i cuda nie powinny zaginąć. W wiekach, które nastąpią, rozwiną się nowe planety i będą zamieszkiwać je istoty inteligentne, które dotrą do minimalnego poziomu wiedzy, zapewniającego docenienie przez nich cudów jakie może ofiarować im Sirenia.

Musicie posiadać minimum wiedzy technicznej, inaczej nie moglibyście wytworzyć promieniowania niezbędnego do otworzenia dla was składnicy. Posiadacie również minimum wiedzy semantycznej, inaczej nie zrozumielibyście moich słów, które doprowadziły was tak daleko.

Jesteście na tyle mądrzy i zdolni, aby ujrzeć Wielkiego Sirenii!”

Kiedy Phyfe przewracał pierwszy metalowy arkusz, ludzie popatrzyli po sobie nawzajem. Nichols, semantyk wtrącił:

— Istnieją tylko dwie możliwości, co do umysłu, który mógł napisać tego rodzaju stwierdzenia. Albo należy on do istoty naprawdę wyższej, albo do szaleńca. Jak dotąd, w historii ludzkości, nigdy nie napotkano takiej wyższej istoty. Gdyby istniała wspaniale byłoby ją poznać.

Phyfe przerwał i ciężko popatrzył spoza szyby hełmu skafandra. Czytał dalej:

„Ja żyję. Jestem wieczny. Jestem między wami, Nieznani Przyjaciele, i to w wasze ręce składam zadanie przywrócenia głosu mym ustom, wzroku mym oczom i dotyku mym dłoniom. Wtedy, kiedy wykonacie swoje ogromne zadanie, ujrzycie mnie i wspaniałość wielkiego z Sirenii.”

Fotograf, Enright, spytał:

— A co to u diabła znaczy? Ten gość musiał oszaleć. To zabrzmiało tak, jakby spodziewał się, że powróci do życia.

Poczucie prześladujące Underwooda, stało się trudne do zniesienia. Składały się na nie narastająca pewność tego co się wydarzy, oraz zimny, spokojny strach. Uczucia te mieszały się razem w jednym kipiącym nurcie.

Nikt nie odezwał się nawet słowem, podczas gdy Phyfe czytał dalej.

„Będę żył ponownie. Wielki powróci, a wy moi Nieznani Przyjaciele, będziecie mnie wspomagać w powrocie do życia. Wtedy i tylko wtedy poznacie wielkie tajemnice planety Sirenii, które są tysiące razy większe niż wasze własne. Tylko wtedy staniecie się potężni, korzystając z

tajemnic Sirenii zamkniętych w mym mózgu. Dzięki mocom które wam przekażę, zdobędziecie taką potęgę, jakiej nie ma nikt w całym Wszechświecie.”

Phyfe przewrócił kolejną stronę. Nagle urwał. Po chwili zwrócił się do Underwooda.

— Reszta jest dla pana — powiedział.

— Słucham…?

Underwood popatrzył na zapisaną stronę. Z trudnością zaczął po cichu czytać jej zawartość. Materia tekstu zmieniła się, i nagle znalazł się w środku kotłowiska obcej wiedzy naukowej.

Powoli zaczął brnąć mozolnie przez pierwsze pojęcia, a potem przeszedł do pobieżnego przeglądania zawartości, ponieważ oczywiste się stało, że ten materiał będzie wymagać wielu dni studiów. Ale nawet z tego pośpiesznego przeglądu wyłaniała się wizja wielkiego marzenia, marzenia o podboju eonów, zachowaniu życia, podczas gdy znikały i umierały cywilizacje, a następnie rozbłyskiwały nowym światłem.

Tekst mówił o nieznanym promieniowaniu, skierowanym na żywe komórki, redukującym je do pradawnej protoplazmy, wstrzymującym wszystko, poza samym jądrem metabolizmu.

I dalej opowiadał o innym promieniowaniu, oraz złożonym postępowaniu chemicznym, fantastycznym procesie mogącym ponownie przywrócić życie, które było jedynie symbolizowane przez uśpioną protoplazmę.

Underwood uniósł wzrok. Jego spojrzenie przebiegło od pozbawionego cech charakterystycznych sześcianu do twarzy towarzyszy.

— On naprawdę żyje! — złapał oddech. — Pięćset tysięcy lat – a on żyje! To są instrukcje, w jaki sposób można go obudzić!

Żaden z pozostałych nie odezwał się, ale oczy Underwooda wyglądały, jakby nagle spoczęło na nim jakieś wielkie brzemię. Z kłębowiska myśli w jego głowie, wyłonił się jeden cel, wyraźny i nieodwołalny.

W środku tego sześcianu spoczywała uśpiona materia, która mogła uformować mózg – obcy ale potężny mózg. Nagle Underwood poczuł irracjonalne pokrewieństwo z tym pradawnym stworzeniem, które w taki sposób podbiło czas, i w myślach, po cichu przyrzekł sobie, że jeśli tylko będzie to w jego mocy, to stworzenie znowu będzie żyło, i wyjawi im swe pradawne tajemnice.

ROZDZIAŁ CZWARTY

— Del! — Wstrząs wywołany zaskoczeniem i rumieniec zadowolenia, uczyniły delikatną twarz Illii jeszcze piękniejszą. Stała w drzwiach, aureolę jej jasnozłotych włosów rozświetlał od tyłu blask zapalonego w pokoju światła.

— Zaskoczona? — spytał Underwood.

Zawsze trudno mu było coś powiedzieć w chwili pierwszego spojrzenia przy spotkaniu z Illią. Nikt by nie pomyślał, że ta piękna kobieta jest najlepszym chirurgiem Centrum Medycznego.

— Dlaczego nie dałeś mi znać, że przylatujesz? To nie fair…

— …nie dać ci czasu na przygotowanie argumentów do obrony?

Skinęła w milczeniu głową, a on ją wziął w ramiona. Szybko jednak się odsunęła i poprosiła by usiadł w szerokim oknie, wyglądającym na światła rozciągającego się w dole miasta.

— Wróciłeś? — spytała go.

— Wróciłem? Illio, wkładasz tak deprymująco wiele treści w zwyczajne słowa.

Uśmiechnęła się, usiadła koło niego i szybko zmieniła temat rozmowy.

— Opowiedz mi o ekspedycji. Archeologia zawsze wydawała mi się najbardziej jałową ze wszystkich nauk, ale tylko z tego powodu, że nie potrafiłam znaleźć nic wspólnego między nią, a moimi naukami medycznymi, oraz nic przydatnego na przyszłość. Zastanawiałam się, co fizyk mógł znaleźć w niej interesującego.

— Wydaje mi się, że znajdziesz wiele wspólnego z naszym ostatnim odkryciem. Znaleźliśmy żywe, chociaż uśpione stworzenie, na równym albo nawet wyższym poziomie inteligencji z naszym. Ma ono około pół miliona lat. Jestem pewien, że będziesz zainteresowana medycznymi aspektami tej sprawy.

Przez chwilę Illia siedziała, jakby nie usłyszała, co do niej powiedział. Potem odparła:

— To mogłoby być odkrycie, które zmieni świat. Jeśli, oczywiście, jesteście pewni tego, co znaleźliście.

Underwood poczuł irytację, bardziej z tego powodu, że sam próbował zdusić w sobie tę myśl, niż dlatego że ona to powiedziała.

— Twoje ekstensje semantyczne[1], pokryłyby skronie Phyfe'a siwizną. Nie dokonaliśmy żadnego odkrycia, wstrząsającego posadami świata. Znaleźliśmy tylko stworzenie pochodzące z innej epoki i innej cywilizacji, a ono nie ma zamiaru niszczyć czy zmieniać naszego społeczeństwa.

— Jeżeli to cywilizacja bardziej rozwinięta pod względem naukowym, to skąd wiecie co ono zrobi?

— Nie wiemy. Ale używanie tak wielu ekstensji, tylko jeszcze bardziej zaciemnia naszą interpretację. Wspomniałem o tym, ponieważ będziemy potrzebowali doradcy biologicznego. Myślałem, że ta praca mogłaby ci się spodobać.

Jej oczy wpatrywały się w dal przez blask świateł miasta. W końcu spytała:

— Del, czy to jest istota ludzka?

— Ludzka? Co to znaczy ludzka? Czy ludzka to znaczy inteligentna? Czy jakikolwiek inny czynnik naszej egzystencji może zostać określony jako ludzki? Jeżeli potrafisz mi to wyjaśnić, to może ja będę umiał odpowiedzieć na twoje pytanie. Jak na razie wiemy tylko tyle, że to jest rozumna istota z wysoce zaawansowanej technicznie cywilizacji.

— A więc, czy ten element wystarczy, aby jego relacja z nami mogła zostać określona jako życzliwa?

— Dlaczego nie, tak mi się wydaje. Nie widzę powodów dla twierdzenia przeciwnego.

— Tak. Tak, zgadzam się z tobą! Ale czy ty tego nie rozumiesz? To może być wirus odmładzający, jądro zbierające rozproszone impulsy naszej cywilizacji i jednoczące je w absorbcji tej nowej wiedzy naukowej! Popatrz tylko na to, na jaką wiedzę biologiczną wskazuje sam fakt zawieszonego życia.

— W porządku — Underwood roześmiał się niewyraźnie z rezygnacją. — Nie ma sensu próbować uniknąć tego rodzaju dyskusji z tobą, co nie, Illia? Na widok pierwszego wiosennego kwiatka, ty od razu myślisz o wynikającej z niego całej pełni lata, nieprawdaż?

— Ale co w tym złego? Ludzie na Ziemi potrzebują czegoś, co scementuje ich wspólnotę, w tym okresie powszechnego rozczarowania i pozbawienia złudzeń. To mogłoby być to.

— Wiem — zapewnił ją Underwood. — Dokładnie to przedyskutowaliśmy, zanim zdecydowaliśmy się ruszyć sprawę tego przywracania do życia. Rozmawialiśmy i spieraliśmy się całymi godzinami. Niektórzy z nas chcieli zniszczyć to stworzenie natychmiast, ponieważ nie da się przewidzieć efektów jego odkrycia ze ściśle semantycznego punktu widzenia. Nie mamy żadnych danych.

— Terry Bernard zdecydowanie walczył o jego zniszczenie. Phyfe obawia się możliwych konsekwencji, ale utrzymuje że nie mamy prawa go zniszczyć, ponieważ jest to zbyt wielka spuścizna. Ja twierdzę, że ze ściśle naukowego punktu widzenia, nie mamy nawet prawa pomyśleć o czymkolwiek innym niż o jego ożywieniu, niezależnie od konsekwencji.

[1] Ekstensja (w znaczeniu semantycznym, logicznym) – to obiekt (lub zbiór obiektów), do których odsyła dany symbol (przyp. tłum.)

— No i jest jeszcze coś – czynnik osobisty. Stworzenie o tak wielkiej wyobraźni i odwadze, że zachowało swoje ego przez pięćset tysięcy lat, zasługuje na coś więcej, niż tylko pośpieszna egzekucja. Ma prawo do tego, by je wysłuchać i poznać. Prawdę mówiąc, wydaje się że to śmieszne obawiać się czegokolwiek, co może nam oferować. Tylko że, Phyfe i Terry są doświadczonymi semantykami, i oni się obawiają…

— Och, oni się mylą, Del! Muszą się mylić. Jeżeli nie mieli żadnych danych i opierali się tylko na przeczuciach, uprzedzeniach, to śmieszne, że jako naukowcy dali się przekonać takim uczuciom.

— Nie wiem. Umywam ręce od wszystkich tego rodzaju aspektów tego problemu. Wiem tylko tyle, że ja mam zamiar dopilnować aby gość, który miał tak wiele rozumu i odwagi, otrzymał swoją szansę na wysłuchanie go. Jak do tej pory, jestem po zwycięskiej stronie. Jutro udaję się na spotkanie z Boarderem, Dyrektorem Komitetu oraz z Phyfem. Jeśli jesteś zainteresowana robotą, o której ci wspomniałem, chodź ze mną.

Entuzjazm dyrektorów był nawet większy niż Illii, jeśli to w ogóle możliwe. Żaden z nich nie wydawał się dzielić obaw niektórych członków ekspedycji. I, jakoś, w atmosferze ciepłej familiarności pomieszczenia komitetu, obawy te zdawały się fantastyczne i pozbawione podstaw. Boarder, najstarszy z członków kierownictwa komitetu, nie potrafił powstrzymać łez, kiedy skończył czytać raport, a Underwood rozszerzył go jeszcze słownie.

— To cudowne, że wydarzyło się to za naszego życia — oznajmił. — Myślicie panowie, że to jest wykonalne? Sprawa wydaje się… tak fantastyczna – przywrócenie do życia stworzenia sprzed pół miliona lat.

— Zapewniam, że nie znam odpowiedzi na to pytanie — wyjaśnił Underwood. — Nikt nie zna. Jednakże, konstrukcja urządzeń opisanych przez Stroida, jest absolutnie w zasięgu naszej wiedzy technicznej. Jestem przekonany, że będziemy w stanie przygotować je dokładnie zgodnie ze specyfikacjami. Możliwe, że minęło już tak wiele czasu, iż protoplazma obumarła. Możliwe, że Demarzule myślał w kategoriach setek, albo, co najwyżej, tysięcy lat, jakie upłyną do jego odnalezienia. Nie ma sposobu, aby to sprawdzić, poza budową urządzeń i przeprowadzeniem eksperymentu, co chciałbym zaproponować, jeśli panowie Dyrektorzy zechcą autoryzować wydatki.

— Nie ma co do tego żadnej kwestii! — odparł Boarder. — Zastawilibyśmy cały Instytut, gdyby to było potrzebne! Myślę tylko, jakiego laboratorium moglibyśmy użyć. A może umieścić je w nowym budynku Muzeum Carlsona? Okazy dla Carlsona mogą jeszcze trochę pozostać w magazynie.

Boarder popatrzył dokoła po kręgu siedzących naprzeciw niego Dyrektorów. Zobaczył zgodne potakiwania i zarządził głosowanie. Jego propozycja została przyjęta.

Po zatwierdzeniu projektu, Phyfe wrócił do ekspedycji, żeby nadzorować transport repozytorium Demarzule na Ziemię, gdzie

Underwood rozpoczął sporządzanie niesłychanie szczegółowych planów budowy i konfiguracji wyposażenia, które zostało wyspecyfikowane w instrukcjach przywiezionych przez niego z repozytorium Stroidów.

Do pomocy w konsultowaniu zakresu całego projektu, zaproszony został wielki semantyk Dreyer; szczególnie do prac nad ponownym tłumaczeniem zapisów, tak by zapewnić absolutną pewność co do interpretacji otrzymanych instrukcji naukowych.

Dreyer był niskim, przysadzistym mężczyzną, i nigdy go nie złapano bez grubego czarnego cygara, z którego nieustannie bił słup bladoniebieskiego dymu. Twarz miał okrągłą i spokojną jak u dziecka. Sprawiał wrażenie, iż udało mu się osiągnąć, nieosiągalny cel kompletnego spokoju, w świecie który kłębił się w nieprzerwanym wirze zamętu.

Kiedy Phyfe i Underwood pojawili się u niego, wysłuchał ich w milczeniu, a po zakończeniu ich opowieści, oznajmił:

— Tak. Cieszę się, że mogę pomóc. To sprawa o największym znaczeniu.

Underwood jednak zmuszony był wyrzucić z głowy kwestie socjologicznych i semantycznych implikacji zadania, którego się podjęli. Techniczne sprawy z nim związane były niesamowicie złożone i bardzo rozległe. Trzeba było zaprojektować oraz zbudować całe góry skomplikowanych urządzeń, ale w miarę jak Underwood odczytywał instrukcje Stroidów, i weryfikował je u Dreyera, nie udało mu się w nich znaleźć żadnych dróg na skróty, sam też nie ośmielił się żadnych spróbować.

Muzeum Carlsona zbudowane zostało na wzór starożytnej greckiej świątyni i stało w reprezentacyjnym miejscu na niskim wzgórzu, z dala od innych kompleksów budynków Smithsona. Jego błyszczące marmurowe kolumny, stanowiły charakterystyczny punkt terenowy, widoczny z odległości wielu mil. W pewien sposób, było to nieco symboliczne, jak sobie pomyślał Underwood, że do zmartwychwstania pradawnego Wielkiego, wybrany został tak imponujący gmach.

Centralna sala muzeum została pozbawiona witryn wystawowych, które wcześniej w niej stały. Zaczęło do niej napływać wyposażenie elektroniczne i biologiczne, w miarę jak Underwood wysyłał zamówienia do rozrzuconych po całym kraju warsztatów i fabryk.

Kiedy ogłoszono, iż Muzeum Carlsona nie zostanie otworzone w wyznaczonym terminie, światowe agencje informacyjne zainteresowały się tematem i Underwooda nagle obległy tłumy reporterów. W skrócie zarysował im sprawę dokonanego przez ekspedycję odkrycia. To mogło przynieść jakieś dobre efekty jeśli chodzi o wsparcie badań naukowych, jak przypuszczał Underwood, a na razie reporterzy zajmą się historiami, o rasie potworów z kosmosu, która miała zostać ożywiona w budynku Carlsona.

I mniej więcej tak to im Underwood przedstawił.

Ale Davies ze Science Press pokręcił przecząco głową.

— Nie, to nie jest dobry punkt widzenia. Archeologia zawsze dostarcza niezłych historii, ale po raz pierwszy archeologia dała nam do dyspozycji jakiś żywy okaz. Zbudujemy obraz tego stworzenia, pod kątem życzliwości i współczucia. Co pan mówił, jak te inskrypcje go nazywały? Wielki?

Underwood skinął głową.

— To jest to! Tajemniczy, wszechwiedzący mózg, od wieków spoczywający w uśpieniu w kosmicznej próżni, czekając na dotyk miłosiernej dłoni, która przywróci temu potężnemu intelektowi życie i uzyska w zamian wspaniałą składnicę wiedzy, zamkniętą we wnętrzu jego mózgu. To jest punkt widzenia, który wykorzystamy.

Underwood zatrzasnął w myśli usta i wrócił do swojej roboty.

Powoli urządzenia we wnętrzu ogromnej sali, zaczęły nabierać kształtów. Serce całej konstrukcji stanowiła ceramiczna wanna, mająca przechowywać w odżywczym roztworze protoplazmatyczną masę, utrzymywaną w kontrolowanych warunkach, we właściwej temperaturze i ciśnieniu. Obok niej zamontowany został skomplikowany panel obserwacyjny. Z tego miejsca można było obserwować, w miarę ich postępu, wszystkie funkcje fizjologiczne rozwijającej się masy. Ogromna liczba rozmaitych mierników miała dostarczyć odczytów elektronicznych, przydatnych do interpretacji pod kątem oceny funkcji rozwojowych. Było to zbliżone do obserwacji rozwijającego się płodu, ponieważ wydawało się to najbardziej prawdopodobnym kierunkiem rozwoju, jakiego się spodziewano.

Automatyczne zawory miały sterować dostarczaniem do wanny substancji odżywczych, z dokładnością do tysięcznych miligrama. Wyszkolić należało dziesiątki operatorów, których właśnie wybierano, do precyzyjnego zadania obserwacji wanny w każdej sekundzie wzrostu organizmu.

Górna połowa ścian wanny była przezroczysta, tak samo jak jej wieko. W środku, pod wiekiem umieszczony został szeroki stożek zwierciadlany emitera, mającego zalewać długo uśpioną protoplazmę życiodajnym promieniowaniem. Pozostałe części sali wypełniały gigantyczne generatory, niezbędne do wytworzenia tego promieniowania.

Potrzeba było pięciu miesięcy od faktycznego odkrycia repozytorium, do chwili kiedy urządzenia służące do przywracania do życia zostały ukończone, przetestowane i stały się gotowe do użytku. Zainteresowanie publiczności projektem nieustannie wzrastało, napędzane przez sensacyjne doniesienia prasowe, a przez budynek Carlsona przesączał się stały strumyk ludzi, chcących rzucić okiem na prowadzone w środku prace.

Wiadomości w publikatorach przedstawiały Stroida jako wspaniałego dobroczyńcę ludzkości, tak jak obiecał to Davis. Podkreślały aspekt współczucia dla stworzenia uwięzionego i skazanego przez wieki, które teraz uwalniane jest z więzów i gotowe jest wylać rzekę błogosławieństw na głowy swoich zbawców.

Underwood nie zwracał większej uwagi na doniesienia wiadomości, ale coraz większe roje ludzi zaczynały mu się plątać pod nogami i przeszkadzać w pracy. Zmuszony był poprosić o ogrodzenie znacznego terenu wokół Carlsona.

W międzyczasie „Lavoisier" krążył powoli na orbicie wokół Ziemi, żeby przechować repozytorium, fizycznie znajdujące się w ładowni, w temperaturze kosmicznej próżni, do czasu przeniesienia protoplazmy do wanny z odżywką.

Teraz, po zakończeniu ostatnich przygotowań w Muzeum, Underwood i Phyfe wrócili do repozytorium, żeby dopilnować przeniesieniem kontenera z protoplazmą, pozostawiając Terry'ego Bernarda do kierowania pracami w muzeum. Operatorzy i technicy gotowi byli do podjęcia swoich obowiązków.

Przeniesienie protoplazmy na Ziemię, było krytyczną operacją. Wanna w Carlsonie została schłodzona to temperatury zera absolutnego, która następnie miała być podnoszona co jakiś czas o parę stopni.

Boarder i inni dyrektorzy instytutu nie dzielili niechęci Underwooda do publiczności. Przyzwyczajeni byli do stylu działania dziennikarzy z publikatorów, ponieważ większość dochodów Instytutu zależała od tego rodzaju rozgłosu, który przynosił znaczne wpłaty.

Tak więc przylot „Lavoisiera" został szeroko nagłośniony. Dziesięciotysięczny tłum ludzi zebrał się by obserwować przeniesienie protoplazmy, niegdyś wielkiej i obcej istoty.

Underwood stał w sterówce, obserwując miejsce lądowania w pobliżu Carlsona, kiedy statek wszedł już głęboko w atmosferę Ziemi. Stopniowo zaczął zdawać sobie sprawę z charakteru czarnej smugi na dole, wokół kamiennego budynku, błyszczącego bielą jak grecka świątynia.

Siedzący koło niego Terry zawołał:

— Popatrz na ten tłum! Całe miasto musiało przyjść, żeby powitać naszego gościa.

— Jeśli nie cofną się z rejonu lądowania, rozmaśli ich po całym terenie! Collins, skontaktuj się z bazą i każ im oczyścić lądowisko!

Oficer łączności wykonał połączenie. Statek laboratoryjny krążył bezczynnie, dopóki tłum nie został powoli przesunięty do tyłu, żeby umożliwić statkowi lądowanie koło budynku.

Underwood wybiegł pospiesznie ze statku i wpadł do Muzeum. Jego technicy byli w gotowości. Każdy z nich, po kolei zameldował, że jego stanowisko funkcjonuje właściwie. Wtedy Underwood połączył się ze statkiem i rozkazał wypuszczenie przenośnej śluzy.

Natychmiast otworzono masywne wrota ładowni i ze statku wytoczona została szczelna komora o grubych ścianach, zawierająca w środku pojemnik z protoplazmą.

Tłum zobaczył tylko, jak komora szybko przetaczana jest do budynku. Ktoś z tylnych szeregów wzniósł okrzyk:

— Niech żyje Wielki! Witamy na Ziemi!

Krzyk został podjęty przez setki, a potem tysiące gardeł, aż w końcu w uszy osób w budynku buchnęło całe morze głosów. Kiedy dźwięk dotarł do jego uszu, Underwood zatrzymał się i obejrzał do tyłu. Przebiegł go lekki dreszcz zimna.

— Głupcy — powiedział gniewnie do Terry'ego. — Jeśli dalej tak będą się nakręcać, to doprowadzą się do stanu zbiorowej histerii. Dlaczego dyrektorzy nie utrzymali tej całej sprawy w ciszy? Przecież powinni zdawać sobie sprawę, że to przyciągnie tłum gapiów.

Illia i Dreyer obserwowali wszystko w milczeniu, z oddali. Underwood popędził dalej, zwracając całą swoją uwagę na ładunek. Komora została podtoczona w pobliże wanny i kiedy oba pojemniki stanęły jeden przy drugim, otworzone zostało połączenie między nimi. Na sterylnych płozach zamrożona masa protoplazmatyczna ześlizgnęła się do przodu i spoczęła w końcu w maszynie, na którą czekała przez pół miliona lat.

Umieszczenie masy na swoim miejscu nie wywołało kompletnie żadnej reakcji. A jednak wszyscy obserwatorzy, zdawali sobie sprawę z tego, że właśnie rozpoczął się wielki eksperyment. W ciągu sześciu miesięcy dowiedzą się, czy zakończył się on sukcesem.

Underwood odesłał wózek z powrotem na statek i „Lavoisier" przeniósł się do portu kosmicznego Instytutu. Później do gmachu wszedł Boarder, z gromadą dziennikarzy i fotoreporterów za plecami. Zrobili oni zdjęcia urządzeniom, technikom i protoplazmie leżącej nieruchomo w wannie, do której płyny odżywcze miały być dostarczane dopiero po osiągnięciu temperatury stu stopni.

Underwood nie miał czasu, by zwracać uwagę na reporterów. Próbował być wszędzie jednocześnie, sprawdzając mierniki i tarcze przyrządów, upewniając się osobiście, czy wszystko dobrze funkcjonuje. Każdy element wyposażenia zainstalowany był potrójnie aby zabezpieczyć się przed awarią. Instrukcje przestrzegały, że raz uruchomiony proces przywracania do życia nie może zostać przerwany, inaczej Wielkiego spotka śmierć.

Po zakończeniu inspekcji, Underwood nagle poczuł wyczerpanie. Skręcił na bok, aby uniknąć spotkania z reporterami, którym Boarder urządzał właśnie wykład na temat dziwnego repozytorium w kosmosie i jego jeszcze bardziej nawet dziwnego, mieszkańca.

Underwood dostrzegł postarzałą postać, stojącą niemal niezauważalnie w pobliżu wnęki między dwoma panelami. Był to Phyfe, który odezwał się do podchodzącego Underwooda.

— Zaczęło się — powiedział powoli stary archeolog. — I już nie da się już tego odwołać.

Underwood ponownie poczuł ten zimny dreszcz strachu, i spojrzał ostro na Phyfe'a. Ten ostatni jednak wpatrzony był prosto przed siebie – prosto w bryłę nieruchomej protoplazmy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Phyfe poprosił o zwolnienie z obowiązków kierownika wyprawy, ciągle jeszcze działającej na stanowiskach polowych, tak by mógł poświęcić cały swój czas studiowaniu zapisów i manuskryptów Stroidów, które ostatnio odnaleziono. Terry Bernard także zrezygnował z pracy wykopaliskowej, aby mu pomagać, ponieważ chciał być w pobliżu miejsca przywracania do życia obcej istoty. Razem z nimi pracował Dreyer, który podjął gorączkowe wysiłki w celu przetłumaczenia tak długo opierającego mu się języka.

Zadaniem Underwooda było ożywienie jako takie. Czuł, że praca którą się zajmował, związana była z samą istotą tajemnicy życia. Książka instruktażowa, pozostawiona przez Stroidów, miała raczej formę podręcznika dla operatora, niż tekstu teoretycznego, i obecnie, kiedy eksperyment był już faktycznie w toku, Underwood odłożył na bok wszystko, poza kwestią jak najpełniejszego przestudiowania procesów, które miały miejsce w trakcie jego realizacji.

Tak więc naukowcy tak bardzo zajęli się własnymi badaniami, że ledwie zwracali uwagę na reakcję społeczną odnośnie stworzenia, które usiłowali przywrócić do życia.

Pierwszą widoczną oznaką problemu był ten szaleńczy wrzask powitalny, w dniu kiedy protoplazma została przywieziona na Ziemię.

Następnym było niedzielne kazanie, wygłoszone przez jednego z licznego grona nieznanych wcześniej przywódców religijnych, na słabo uczęszczanym nabożeństwie w luksusowym kościele, w tym samym mieście.

William B. Hennessey w czasach swej młodości, zanim jeszcze zaczęto odczuwać zupełne załamanie, był specjalistą od reklamy, i zdawał sobie sprawę z wartości dobrych stosunków z mediami. Być może częściowo uwierzył w to, co napisał, a potem już samo wygłoszenie tekstu przekonało go do końca, że miał rację. Możliwe, że w ten niedzielny poranek temat podjęty został także przez jakichś innych kapłanów, ale to William B. Hennessey uzyskał rozgłos medialny.

Powiedział:

— Jak wielu spośród zgromadzonych tutaj, tego poranka, należy do ludzi, którzy poddali się w wyścigu życia, którzy zrozpaczeni zrezygnowali z wartości i standardów jakich powinni się trzymać, którzy odrzucili przywództwo wszystkich mogących ich poprowadzić? Być może należycie do milionów tych, którzy porzucili wszelką nadzieję na rozwiązanie wielkich problemów życia. Jeśli tak, to chciałbym was spytać, czy byliście pośród świadków cudownego przybycia Daru Sprzed Wieków. Czy byliście pośród ludzi, którzy widzieli Wielkiego?

William B. Hennessey zawiesił na chwilę głos.

— Od wieków szukaliśmy przywódcy między nami i nie znaleźliśmy go. Pomimo wszystko, oni byli tylko ludźmi. Teraz jednak, w ręce naszych szlachetnych naukowców, złożone zostało ogromne zadanie obudzenia śpiącego Wielkiego, a kiedy zakończą oni swą pracę, nadejdzie dla nas Złoty Wiek Ziemi.

— Wzywam was, abyście odrzucili kajdany rozpaczy. Wyjdźcie z więzienia własnego rozczarowania. Przygotujcie się na przywitanie Wielkiego, w dniu jego wywyższenia. Niech wasze serca i myśli gotowe będą do przyjęcia wiadomości, którą nam przekaże i do wysłuchania słów porady, jaka z pewnością zostanie nam dana, gdyż Wielki przybył nas uratować, z naprawdę wspanialszej planety i rozumniejszej krainy niż nasza!

W ciągu godziny słowa Hennesseya błyskawicznie obiegły świat.

Terry był jedynym spośród pracujących w projekcie naukowców, który o tym usłyszał. Poszedł po południu do muzeum i tam znalazł Underwooda i Dreyera przy pulpicie testowym.

— Jakiś zwariowany kaznodzieja dzisiaj rano wygłosił kazanie o tej naszej oskarowej gwieździe. — Kiwnął kciukiem w stronę wanny. — Twierdzi, że znaleźliśmy rozwiązanie wszystkich bolączek świata. Wzywa ludzi, żeby czcili naszego Oskara.

— Można było przewidzieć, że trafi się jakiś podobny do niego kretyn.

Dreyer wypuścił jedno, potężne pufnięcie cygarowego dymu.

— Kult religijny, oparty na obcej istocie inteligentnej. Powinniśmy byli przewidzieć taki rozwój sytuacji. Zastanawiam się, dlaczego nasze obliczenia go nie wskazały.

— Myślę, że to jest niebezpieczne — zauważył Terry. — To może przerodzić się w naprawdę poważną sprawę.

— Co przez to rozumiesz? Nie pojmuję tego — przyznał Underwood.

— Nie widzisz konsekwencji? Cały problem z naszą cywilizacją polega na rozczarowaniu i braku przywództwa. Jeśli to stworzenie okaże się istotą czującą, inteligentną – i to nawet wyższą – to czemu nie miałoby tak się wydarzyć, że ludzie będą chcieli go zrobić prezydentem, dyktatorem, bogiem, czy czymkolwiek innym.

— Och, daj spokój — odparł Underwood. — To tylko jeszcze jeden malutki kaznodzieja, który pewnie ma w swej kongregacji nie więcej niż setkę ludzi. Sieci informacyjne musiały potraktować to jako humorystyczny komentarz do naszych eksperymentów. Jak zwykle, nigdy nie powinniśmy pozwolić na przedostanie się tych informacji do wiadomości. To wszystko rozpoczęło się od tej histerii tłumu, w dniu kiedy przywieźliśmy tu protoplazmę.

Dreyer pokręcił głową ze środka obłoku dymu.

— Nie. To zaczęło się już bardzo dawno temu, kiedy pierwszy jaskiniowiec wysmarował na ścianie swych glinianych bogów i zobaczył że pękają oni w słońcu, oraz zmywają ich deszcze. To zaczęło się kiedy

pierwszy wódz jaskiniowców został zarżnięty przez rywalizującego przywódcę, a jego rozczarowani podwładni poczęli sobie szukać nowego szefa. Odtąd, już tak jest, nieustannie.

— To nie dotyczy nas — sprzeciwił się Underwood.

Dreyer powoli mówił dalej.

— Kiedy ci bogowie i wodzowie padli jeden po drugim, ludzie zaczęli poszukiwać nowych przywódców, którzy unieśliby ciężar człowieczeństwa i pokazali sposób w jaki człowiek ma szukać swego złudnego raju. Przez całe wieki zawsze znajdowali się tacy, którzy pozwalali się wynosić na piedestał i nazywać wielkimi, którzy przyjmowali przywództwo. Niektórzy z nich chodzili z głową chmurach i wzrokiem utkwionym w jakieś odległe fantastyczne cele, których człowiek nie był w stanie osiągnąć, i ich wyznawcy upadali załamani i zniechęceni. Drudzy szukali swego celu w panowaniu nad innymi ludźmi i narodami, kąpiąc swych zwolenników we krwi i nieszczęściu. Ale ich gwiazda zawsze w końcu bledła i ludzie nigdy nie osiągali postawionych im ulotnych celów, których nie potrafili nawet nazwać, ani określić.

— I stąd Epoka Rozczarowania — z goryczą stwierdził Underwood.

— Ale rozczarowanie to zdrowa rzecz. Ono prowadzi do realizmu.

— Jak pan może określać to jako zdrowe? — dopytywał się Underwood. — Ludzie już w nic nie wierzą. Stracili wiarę w samo życie.

— Wiara w życie? Zastanawiam się, co to znaczy? — odparł Dreyer, zadumany. — Proszę uważać na swoje odsyłacze semantyczne, doktorze Underwood.

Underwood zarumienił się, przypominając sobie uwagę Illii, że Dreyer rozbierze na części każde jego słowo i odrzuci mu je z powrotem.

— A więc, dobrze. Nie ma rządów, przywódców, religii, na których można by się oprzeć w czasach potrzeby, ponieważ ludzie nie mają już zaufania do takich źródeł.

— I wszystko to jest oznaką, że zbliżają się do etapu, w którym nie będą już więcej potrzebowali podobnego oparcia. I, tak samo jak stawiające swe pierwsze kroki dziecko, potykają się i upadają. Nabijają sobie siniaki i płaczą, tak jak uważam że robi wielu naukowców, inaczej nie pouciekaliby na Wenus i w inne miejsca.

Underwood zamrugał, poczuwszy ukłucie żądła napomnienia Dreyera.

— To już drugi raz, jak oskarżono mnie o ucieczkę — poskarżył się.

— Bez obrazy — odparł Dreyer. — Ja po prostu stwierdzam fakty. To że pan w nie nie wierzy, to nie powód by pana potępiać, a jedynie informacja na temat stanu pańskiej wiedzy. Tyle że nasza dyskusja dotyczy ożywienia obcego, a pańska wiedza może mieć dalekosiężne skutki jeśli chodzi o zarządzanie tym projektem.

— Polityka pozostaje w gestii dyrektorów, którzy słuchają pańskich rekomendacji…

Dreyer pokręcił głową.

— Nie, wydaje mi się, że nie, chyba że one im się spodobają. Gdybym kiedykolwiek rekomendował zniszczenie obcego, musiałbym zrobić to za pańskim pośrednictwem. A to by wymagało długiego przekonywania, czy nie tak?

— Bardzo — zgodził się Underwood. — Czy to właśnie zaleca pan teraz?

— Jeszcze nie. Nie, jeszcze nie.

Powoli Dreyer odszedł w kierunku potężnej wanny, w której znajdował się obcy, Demarzule, Hetrarra Sirenii, Wielki.

Underwood patrząc na plecy odchodzącego semantyka, czuł się przytłoczony przez to spotkanie. Dreyer wydawał się być zawsze tak irytująco spokojny. Underwood zastanawiał się czy w jakiś sposób możliwe było wyrobienie sobie podobnej odporności na presję.

Odwrócił się do Terry'ego, który stał w milczeniu, wyraźnie zgadzając się z Dreyerem.

— A jak idzie tobie i Phyfe'owi?

— To powolna robota, nawet z pomocą klucza z repozytorium. To był widocznie czysty Stroid III, ale mamy jeszcze dwa inne języki, czy dialekty, które są zupełnie odmienne, i chyba mamy więcej zarejestrowanych ich przypadków, niż Stroid III. Jednak Phyfe uważa, że uda mu się złamać również Stroid I i II. Osobiście, chętnie wróciłbym w kosmos, w pas asteroidów, gdybym nie był tutaj z powodu Demarzule. Nigdy nie miałem ambicji by zostać luminarzem.

— I tego się trzymaj. Mam nadzieję, że uda nam się zdobyć jakieś pojęcie na temat kształtu cywilizacji Stroidów, zanim Demarzule ożyje.

— A jak idzie ten proces?

— Formowanie komórek zachodzi, ale w jaki sposób mogłyby się wykształcić poszczególne organy, to przekracza moje rozumienie. Po prostu czekamy tylko i obserwujemy. Przez cały czas pracują cztery kamery filmowe, część z nich działa poprzez mikroskopy elektronowe. Kiedy minie te sześć miesięcy, przynajmniej będziemy mieli nagrania wszystkiego, co się stało, niezależnie od tego co to będzie.

W żywej masie rosły i powielały się miliony nowych komórek. Tymczasem inny proces, słabiej może uchwytny, ale tym niemniej rzeczywisty, rozwijał się i rozprzestrzeniał po Ziemi. Umysł każdego nim ogarniętego człowieka stanowił jego pojedynczą komórkę, i powielały się one z nie mniejszą prędkością, niż te rozmnażające się w marmurowym budynku muzeum. Przywództwo ludzi nad ludźmi okazało się fałszem i nie było już najmniejszych nadziei na przywrócenie marzenia, że śmiertelny człowiek poprowadzi swych bliźnich na wyżyny sięgające gwiazd. Ale Wielki, to zupełnie inna sprawa. Absolutnie przekraczał wszystko cokolwiek stworzono na Ziemi i wolny był od jakichkolwiek skaz Ziemian, był darem dla człowieka od bogów – on był bogiem który miał podnieść ludzi na niebiańskie wyżyny, o których nawet im się nie śniło.

Płomień rozchodził się, przeskakując przez wszystkie oceany Ziemi. Ogarniał wszelkie wiary, rasy i kolory.

Delmar Underwood spoglądał z rozdrażnieniem zza swojego biurka na nadętego, człowieczka o czerwonej twarzy, którego niska, przysadzista postać została wprowadzona do pokoju przez jego sekretarkę. Człowieczek zatrzymał się wpół drogi między drzwiami a biurkiem, i lekko się skłonił.

Oznajmił:

— Zwracam się do proroka Underwooda, na mocy specjalnego upoważnienia Wyznawców.

— A co to, u diabła…? — Underwood zmarszczył brwi i wyciągnął rękę w stronę przycisku. Ale nie włączył dzwonka. Gość bowiem wyciągnął kopertę.

— Oraz przy poparciu Dyrektora Instytutu Boardera!

Nadal trzymając wzrok utkwiony w człowieczka, Underwood wziął od niego kopertę i rozerwał ją. Formalnym językiem i w zwyczajowym biurokratycznym stylu, instruowała ona Underwooda, aby wysłuchał gościa, pana Williama B. Hennesseya, i spełnił wszystkie prośby jakie pan Hennessey mógłby mieć.

Underwood wiedział już kto to jest. Gardło nagle zrobiło się mu zupełnie suche.

— Co to wszystko ma znaczyć?

Człowieczek z wyższością wzruszył ramionami.

— Jestem tylko małym Wyznawcą Wielkiego, który został upoważniony przez swych współtowarzyszy do uzyskania łaski z rąk Proroka Underwooda.

Kiedy Underwood spojrzał w jego oczy, poczuł chłód i fala obawy przebiegła przez niego z oszałamiającą siłą.

— Proszę usiąść — zaprosił. — Czego pan sobie życzy?

Szkoda, że nie ma tutaj Dreyera, żeby popróbował trochę swej oceny semantycznej na tym zwariowanym incydencie.

— Wyznawcy Wielkiego, chcieliby uzyskać przywilej ujrzenia swego Mistrza — oznajmił Hennessey siadając koło biurka. — Panowie naukowcy, jesteście tylko narzędziami wybranymi do realizacji ogromnego zadania. Wielki nie przybył tutaj po to, by wyróżnić jakąś niewielką grupę. On przybył do całej ludzkości. Żądamy prawa do spokojnego odwiedzenia świątyni i obejrzenia wspaniałej pracy jaką panowie wykonujecie, aby przywrócić naszego Mistrza do życia, tak byśmy mogli otrzymać jego wielkie dary.

Underwoodowi niemalże stanął przed oczyma widok laboratorium wypełnionego bijącymi pokłony, modlącymi się, krzyczącymi fanatycznymi czcicielami, tłoczącymi się w każdym miejscu, niszczącymi urządzenia i prawdopodobnie usiłującymi wyjść z budynku z kawałkami świętej protoplazmy. Nacisnął przełącznik i gwałtownie zakręcił tarczą. Po chwili na niewielkim monitorze przed nim, wyświetliła się twarz dyrektora Boardera.

— Jest tutaj ten fanatyk, Hennessey. Chciałem tylko sprawdzić co mi grozi, zanim wyrzucę go stąd na zbity pysk.

Twarz Boardera poczerwieniała.

— Proszę tego nie robić! Czy nie otrzymał pan mojej notatki? Proszę zrobić dokładnie to, co napisałem. To jest polecenie!

— Ale nie możemy prowadzić eksperymentu z gromadą fanatyków depczących nam po piętach.

— **N**ie obchodzi mnie, jak pan to zrobi. Proszę dać im wszystko, czego chcą. Albo to, albo proszę złożyć posadę kierownika eksperymentu. Ostatnie sondaże z połowy tygodnia wskazują, że oni kontrolują efektywnie osiemdziesiąt milionów głosów. Wie pan, co to znaczy. Jedno słowo do kongresowej komisji nauki, i wszyscy wylecimy na zbity pysk.

— Moglibyśmy zamknąć kram i odwołać cały projekt. Protoplazma po prostu po cichu sobie obumrze, i co te ptaszki będą miały potem do czczenia?

— Zniszczenie własności rządowej może skutkować karą śmierci — złowrogo oświadczył Boarder. — Poza tym, jest pan w zbyt dużym stopniu naukowcem, żeby tak postąpić. Chce pan zobaczyć jak ta sprawa dobiega do końca, tak samo jak i reszta z nas. Gdybym miał najmniejsze obawy, że mógłby pan zniszczyć to stworzenie, wyrzuciłbym pana stamtąd, zanim by się pan zorientował co się dzieje – na szczęście nie mam tego rodzaju obaw.

— Tak, ma pan rację, ale ci… — Underwood zrobił grymas, jakby próbował przełknąć żabę porośniętą futrem na grzbiecie.

— Wiem. Ale musimy to znieść. W dzisiejszych czasach przetrwać mogą tylko ci naukowcy, którzy dostosowują się do swego środowiska — Boarder uśmiechnął się kwaśno.

— Ja poleciałem w kosmos, żeby uciec przed środowiskiem. Teraz wpadłem w nie z powrotem, po same uszy, tyle że jest gorzej niż kiedykolwiek wcześniej.

— No cóż, proszę posłuchać, panie Underwood, może po prostu zbudować dla nich coś w rodzaju balkonu, z rampą biegnącą ponad całym laboratorium, tak żeby ci Wyznawcy Wielkiego mogli sobie patrzeć z góry na wannę? Mógłby pan wpuszczać ich z jednej strony budynku, a wypuszczać z drugiej. W ten sposób nie przeszkadzaliby panu. Pomimo wszystko to przecież ma trwać tylko przez sześć miesięcy.

— Kiedy Stroid ożyje, pewnie będą go chcieli posadzić na tronie, ze świetlistą aureolą wokół głowy — zarechotał Boarder. — Jeśli jest on przedstawicielem cywilizacji, której artefakty znaleźliśmy na asteroidach, myślę że natychmiast zajmie się tymi swoimi „Wyznawcami”. W każdym razie musi pan zrobić to, czego się domagają. To długo nie potrwa.

Boarder się rozłączył i Underwood odwrócił się z powrotem do uprzejmego Hennesseya, który siedział, jakby nic nigdy nie było w stanie go zaniepokoić.

— Widzi pan — powiedział Hennessey. — Wiedziałem, że tak to się to skończy. Pokładam wiarę we Wielkim.

— Wiarę! Wiedział pan, że komisja nauki pana poprze, ponieważ reprezentuje pan osiemdziesiąt milionów neurotycznych półgłówków. Ciekawe co pan zrobi, kiedy Wielki się obudzi i każe wam iść do wszystkich diabłów?

Hennessey uśmiechnął się spokojnie.

— Nie zrobi tego. Wierzę w to.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dwa dni później, Underwood odebrał telefon od Phyfe'a, z prośbą o spotkanie. Było to coś pilnego; to wszystko, co Phyfe mu powiedział.

Archeolog nie wiedział o żądaniach Wyznawców. Był zaskoczony, kiedy zobaczył zaawansowaną budowę konstrukcji nad wielką centralną salą, w której znajdowały się urządzenia do ożywiania.

Znalazł Underwooda w laboratorium, sprawdzającego z Illią filmy ze rozrostu protoplazmy.

— Co wy tu budujecie? — spytał. — Myślałem, że ma pan gotowe już całe wyposażenie.

— Pomnik głupoty ludzkiej — warknął Underwood. Potem opowiedział Phyfe'owi o poleceniach jakie otrzymał. — Budujemy w środku hali balkon, tak by wierni mogli sobie popatrzeć z góry na Wielkiego. Boarder twierdzi, że będziemy musieli męczyć się z tym nonsensem przez całe sześć miesięcy.

— Dlaczego akurat przez sześć miesięcy?

— Do tego czasu Demarzule zostanie ożywiony, albo projekt zakończy się niepowodzeniem. W obydwu przypadkach, Wyznawcy będą skończeni.

— Dlaczego?

Underwood popatrzył do góry z irytacją.

— Jeśli będzie martwy, nie będą mieli kogo czcić. Jeśli będzie żył, z pewnością nie będzie chciał z nimi mieć nic wspólnego.

— Mógłbym ponownie spytać „dlaczego" — zauważył Phyfe, — ale lepiej powiem to tak. Nie wie pan nic o tym, jak on się zachowa, jeżeli zostanie przywrócony do życia. A jeśli umrze, to pewnie stanie się męczennikiem, który ustanowi nową religię o zasięgu światowym – a ci z nas, którzy mieli cokolwiek do czynienia z tym eksperymentem, zostaną spaleni na stosie.

Underwood odłożył kłąb filmów. W pasie asteroid nauczył się szanować opinie starego archeologa, ale Dreyer już wcześniej nałożył na jego barki większe obciążenia, niż uważał, że jest w stanie wytrzymać.

— Mówi pan, że znalazł pan więcej, niż tylko opis technologicznych aspektów tego problemu?

— Na szczęście dla nas, pewne zapisy Stroidów, sporządzane były na małych metalowych płytkach, których struktura molekularna zmieniana była zgodnie z wzorcami pisma lub głosu. Paru chłopaków w laboratorium zbudowało urządzenie do odsłuchiwania zapisów audio. Prawdę mówiąc, usłyszeliśmy nawet głosy Stroidów! A przynajmniej jakieś dźwięki, które

przypominają język mówiony. Ale dzisiaj sprowadziło mnie tutaj raczej to, co znaleźliśmy w ich zapisach pisemnych.

Kontynuował, po chwili przerwy.

— Ponad osiemdziesiąt pięć lat temu dokonano największego odkrycia w tej dziedzinie, do czasu odnalezienia naszego repozytorium. Dickens, jeden z pierwszych badaczy, którzy zajmowali się Stroidami, znalazł wtedy obszerny zbiór zapisów historycznych. Płytki były niemalże stopione razem, w jedną bryłę, i wykrycie w nich różnic molekularnych było prawie niemożliwe, z powodu wystawienia ich na ogromne gorąco. Ale udało nam się je porozdzielać i przenieść znajdujące się na nich zapisy, we wzmocnionej formie, na nowe arkusze. A te potrafimy odczytać. Zdobyliśmy prawie kompletny okres historii Stroidów, tuż przed ich eksterminacją, i, jeżeli poprawnie je odczytujemy, istnieją pewne zaskakujące fakty, które ich dotyczą.

— O co chodzi?

— Oni nie byli rdzennymi mieszkańcami Układu Słonecznego. Byli uciekinierami spoza galaktyki, których rodzinna planeta została zniszczona. A nasz osobnik to jakiś budzący wstręt intelekt, który zdołał przewidzieć jej zagładę i zapewnić sobie swe własne przetrwanie.

— Ale to jest tylko pańska ekstensja — odparła Illia. — W tej idei nie ma takiego pojęcia semantycznego.

— **N**ie ma? Egotyzm, absolutny brak troski o współrodaków tego stworzenia – to wszystko zawiera się semantycznie w koncepcji takiego sposobu postępowania. I dlatego właśnie znacznie bardziej niż trochę obawiam się co się stanie, jeśli uda nam się je ożywić. Jak ono się rozwija?

— Wydaje się przechodzić przez coś w rodzaju konwencjonalnego wzrostu embrionalnego — odpowiedziała mu Illia. — Już zakończyło etap pseudo-blastyczny. Jak do tej pory posiada ono ogólne charakterystyki ssaka; nic więcej nie da się powiedzieć. Ale to co usłyszałam o tych nowych informacjach, to wystarczy dla mojej pojemności umysłowej. Nie mogę i nie będę słuchać o żadnych innych aspektach.

— Ale pani musi! — oczy Phyfe’a nagle zapłonęły ogniem, natarczywym, nieustępliwym. — Mamy nowe informacje – Terry mógł mieć rację, kiedy domagał się zniszczenia protoplazmy.

Illia zamarła bez ruchu.

— Jakie informacje?

— Jakiego rodzaju umysł chciałby zapewnić przetrwanie swojej własnej osoby w katastrofie planetarnej, która miała zniszczyć wszystkich mu współczesnych? — zapytał Phyfe. — Mamy tu do czynienia z jakimś wielkim międzygwiezdnym konfliktem, a wrogowie tych istot w końcu je wytropili i po raz drugi zniszczyli zamieszkiwaną przez nie planetę. I ze wszystkich tych pradawnych ludzi, zniszczonych równie kompletnie, jak Kartagina, pozostał tylko ten jeden osobnik. Czy nie rozumiecie państwo, jak ogromne to wszystko ma znaczenie? Jeżeli on przeżyje, to będzie

zionął tą samą zrodzoną przez wojnę nienawiścią, która go przepełniała, kiedy widział jak wali się jego świat.

— Nie przeżyłby wtedy świadomości tego, że wszystko o co walczył zniknęło przeszłości, w otchłani epok geologicznych — sprzeciwił się Underwood. — Poza tym, sam pan sobie przeczy. Jeśli tak bardzo nie obchodziła go jego planeta, być może w ogóle nie był zainteresowany również i samym konfliktem. Niewykluczone, że był to jakiś największy geniusz swoich czasów i chciał tylko uciec przed bezsensowną rzezią, której nie mógł zapobiec.

— Nie, w moich słowach nie ma żadnej sprzeczności — żarliwie zapewnił Phyfe. — Takie zachowanie jest typowe dla przywódcy wojennego, który doprowadził swój naród do zniszczenia. W chwili, gdy ma ich dosięgnąć totalna katastrofa, on myśli tylko o sobie samym. Okaz, który tutaj mamy, jest najlepszym przykładem, do czego prowadzi taka egocentryczna żądza własnego przetrwania.

Phyfe impulsywnie poderwał się z krzesła i rzucił na laboratoryjną ławę plik kartek.

— Proszę, macie państwo. Sami to sobie przeczytajcie. To nieco swobodny przekład historii, którą znaleźliśmy w zapisach Dickensa.

Wyszedł gwałtownie. Illia i Underwood wzięli krótki tekst, który zostawił na stole i zaczęli go czytać.

Sto potężnych statków Imperium Sireniańskiego mknęło przez kosmos, którego pustka, na skutek ich prędkości, stawała się niemal materialna. Niepokonane serce ich floty kryło się głęboko w kadłubie statku flagowego, „Hebriana”, gdzie Hetrarra Sirenii, Demarzule, siedział ponuro przed kompleksowym panelem, który donosił mu o wszystkich działaniach jego ogromnej floty.

Obok niego, spoczywała stara, ale krzepka postać Toshmere, geniusza który uratował te resztki niegdyś potężnego imperium, które mogło wysłać w kosmos na raz milion statków, takich jak te.

Toshmere powiedział:

— Dalszy lot nie ma sensu. Nasze przyrządy pokazują, że Dragbora nas doganiają. Ich flota przewyższa liczebnie naszą, w stosunku dziesięć do jednego. Nawet przy wykorzystaniu moich ekranów ochronnych, nie możemy mieć nadziei na długi opór. Oni mają broń, której nie będziemy w stanie się oprzeć. Są przy tym zdeterminowani, aby unicestwić ostatnie pozostałości Imperium Sireniańskiego.

— A ja jestem zdeterminowany, aby unicestwić ostatnie resztki Dragbora! — warknął Demarzule z porywie nagłej furii. Podniósł się z krzesła i zaczął krążyć po pomieszczeniu. — Ja muszę przeżyć! Muszę przeżyć, aby zobaczyć ich planetę zanihilowaną do czystej energii i ostatnich Dragbora martwych. Czy repozytorium jest już gotowe?

Toshmere skinął głową.

— I jesteś pewien swojej metody?

— Tak. Panie, czy zechcesz poświęcić trochę czasu i zobaczyć nasze ostatnie wyniki?

Demarzule potwierdził skinięciem głową, i Toshmere poprowadził ich przez drzwi, i dalej korytarzem, do laboratorium, w którym spoczywały wszystkie nadzieje Demarzule na pokonanie eonów czasu i ucieczkę przed wrogiem, który zaprzysiągł brak pardonu.

Hetrarra Sirenii obserwował niewzruszenie, jak uczony włożył niewielkie zwierzę do komory w kształcie misy. Cofnął się za osłonę i nacisnął przycisk. Nagle zwierzę zostało skąpane w powodzi pomarańczowej poświaty i jego pyszczek wykrzywił się w straszliwym bólu, podczas gdy z krtani stworzonka wyrywały się ohydne wrzaski.

— **N**ie jest to przyjemne — zauważył Demarzule.

— Nie — przyznał Toshmere. — Ale niezbędne jest, aby cały proces przeprowadzić przy pełnej świadomości umysłu. W innym przypadku nie będzie możliwe pełne odtworzenie.

Władca niewzruszenie słuchał jak wrzaski zwierzęcia powoli zamierają, podczas gdy jego ciało roztapiało się w promienistej poświacie – dosłownie roztapiało, aż do chwili kiedy spłynęło do zagłębienia na dnie misy, gdzie drżało wstrząsane szczątkowymi siłami życiowymi.

— Czysta protoplazma — wyjaśnił Toshmere. — Może ona zostać zamrożona do temperatury zera bezwzględnego, tak że resztki metabolizmu będą niewykrywalne, a jednak życie w niej pozostanie, nawet na tysiące *ela*, wystarczająco długo aby rozwinęły się nowe cywilizacje, a stare umarły.

— Wystarczająco długo, aby umarli ostatni Dragbora – podczas gdy ja, Demarzule, Hetrarra Sirenii, będę żył w chwale i tryumfie.

Toshmere uśmiechnął się krzywo, z tego że Demarzule nie dostrzegał swego własnego zaangażowania i braku obiektywizmu.

„Jaką tragedią dla cywilizacji Wszechświata byłoby, gdyby Demarzule czy jakikolwiek inny rozbitek z Imperium Sireniańskiego miał przetrwać." — pomyślał. — „Dragbora dobrze przemyśleli swe plany, kiedy zaczęli wcielać w życie program całkowitej eksterminacji Sirenian."

Jego własne życie byłoby znacznie bardziej warte ocalenia przed nadciągającą katastrofą, niż Demarzule. Od pierwszej chwili, kiedy wpadł na pomysł repozytorium i przedstawił go Demarzule, Toshmere planował, że nie będzie ono przechowywać osoby Demarzule, lecz samego Toshmere.

Jednak, był tylko jeden sposób na to, aby przeprowadzić tak gigantyczny projekt, i polegał on na tym by pozwolić Demarzule uwierzyć, że repozytorium jest przeznaczone dla niego. Ponieważ nie dało się go skonstruować w sekrecie, Demarzule musiał wyrazić zgodę na jego budowę. Trzeba było zaaranżować to tak, by myślał, że wszystko robione jest dla niego. Ta idea powinna trafić do jego egotycznego umysłu; myśl, ze jego osobowość przetrwa eony historii, podczas gdy cała znana mu

cywilizacja uwiędnie i zostanie unicestwiona przez upływ czasu, powinna go wręcz zachwycać.

— Ożywienie — powiedział Demarzule. — Pokaż mi, jak ten stwór zostaje przywrócony do życia.

Toshmere przesunął inny projektor w położenie nad misę i pstryknął kolejnym przełącznikiem. Niewidoczne promieniowanie natychmiast skąpało masę bezkształtnej protoplazmy we wnętrzu misy. Na ich oczach, zaczęła ona się trząść i falować, szybko zmieniając kształty, aż w końcu rozwój i życie wzięły ją w swoje władanie.

Władca Sirenian obserwował ponowne formowanie się zwierzęcia w misie. Członki i tułów ukształtowały się w postaci cienistych, szarych zarysów, a następnie gwałtownie wypełniły się i zwierzę skoczyło w górę, żywe i wystraszone.

Nawet Demarzule był nieco zdumiony tym pozornym cudem.

— Szybko poszło — zauważył. — Czy okaz wyszedł z tego bez szwanku?

— Całkowicie — odparł Toshmere. — Proces nie jest tak szybki, kiedy upłynie dłuższy okres czasu. Poziom aktywności życiowej jest bardzo niski, ale nigdy nie zanika ona do końca. Tym niemniej, im niższy on będzie, tym więcej czasu zajmuje przywrócenie do pełni życia. Po wielu setkach *ela*, może to wymagać nawet jednego *tor-ela*.

— Ale pomimo tego, sukces będzie pewny?

Toshmere skinął głową.

Setka sireniańskich statków podążała cały czas swym stałym kursem, ze ścigającym ich wrogiem, który stale ich doganiał, chociaż nadal pozostawiał za nimi w odległości wielu galaktyk. W końcu zwiadowcy znaleźli możliwy do przyjęcia Układ, w którym piąta planeta wykazywała oznaki inteligentnego życia. Demarzule rozkazał podjęcie przygotowań do zatrzymania.

Planeta, którą znaleźli, zamieszkana była przez pozostałości umierającej cywilizacji, która cofnęła się w rozwoju niemalże do swych początków. Stawiony opór szybko został zdławiony i sireniańscy uchodźcy rozpoczęli gorączkowe i beznadziejne prace nad zadaniem skonstruowania linii obronnych przeciwko zbliżającym się i przemożnym siłom Dragbora. Linii obronnych, które jak dobrze wiedzieli, dla nowej straszliwej broni wroga były równie łatwe do pokonania jak powietrze.

Ale w czasie gdy olbrzymie generatory osłon pośpiesznie były kierowane w stronę nieba, okopywane były stanowiska promieni energetycznych, najlepsi i najmądrzejsi uczeni zajęci byli przygotowywaniem repozytorium dla Hetrarry, Demarzule.

Na głębokość wielu tysięcy stóp, w wielkie złoża rud planety, miał zostać opuszczony ogromny, podobny do wielkiego kryształu pojemnik, który powinien okazać się nieprzenikliwy dla wszystkich znanych sił, poza częstotliwością klucza, której formuła została zapisana na jego

zewnętrznej powierzchni. Dzięki temu miano nadzieję, że przetrwa on ostateczny wybuch, mający rozerwać planetę na części.

Do tego repozytorium miało wejść dwóch ludzi, ale tylko jeden z nich miał przetrwać nadciągające eony.

Toshmere był jedynym człowiekiem, w pełni znającym cały proces, a więc niezbędne było, aby to on sterował działaniem przyrządów. Ale Toshmere wiedział, że Demarzule nie ma zamiaru pozwolić mu na opuszczenie repozytorium, z wiedzą o jego tajemnicach – tak samo jak Toshmere nie zamierzał pozwolić Demarzule na skorzystanie z tych tajemnic.

Przez trzy *tor-ela* Sirenianie gorączkowo pracowali, przygotowując swe potężne siły obronne do działania, aż w końcu ich posterunek zwiadowczy, wystawiony sto tysięcy lat świetlnych dalej w kosmosie, obwieścił przybycie straszliwej floty Dragbora – tuż zanim język ognia wysłany z tej floty, uderzył w niego, zmiatając go i posyłając do wieczności.

Toshmere podszedł do Demarzule w jego kwaterze głównej, kiedy przyszła wiadomość.

— Hetrarro, nie zostało zbyt wiele czasu. Repozytorium jest już gotowe.

Demarzule wyjrzał na zewnątrz, spoglądając na prowadzone prace i wielkie maszyny tak żałośnie zgromadzone na obcej planecie. To było wszystko co pozostało z ogromnego imperium, którego granice, jak kiedyś marzył, miały rozszerzyć się aż po krańce samego kosmosu. Imperium, którego był najwyższym Hetrarrą. A i tak za krótką chwilę, resztki te miały zostać zmiecione z powierzchni pod niszczącą supremacją obecnie potężniejszych Dragbora.

Popatrzył niepewnie na Toshmere. W obliczu pewnej śmierci, stary, szczupły, żylasty uczony, nie okazywał innych uczuć poza spokojem. Hetrarra obrzucił ostatnim spojrzeniem resztki swego Imperium Sireniańskiego i skinął głową.

— Jestem gotów — powiedział.

Podeszli do wejścia szybu windy, prowadzącego w stronę serca planety. Szyb został zbudowany za wiedzą jedynie paru Sirenian, i żaden z nich nie był świadom jego celu, myśląc, że jest to raczej jeden z elementów obrony.

Nikt nie widział jak ich Hetrarra oraz geniusz Toshmere wchodzą do windy, która miała zwieźć ich na zawsze w głębiny pod powierzchnią planety.

Underwood i Illia dotarli do końca strony, i Underwood delikatnie zaklął, przewracając parę pozostałych im do przeczytania kartek. To było już wszystko o pradawnych Demarzule i Toshmere.

Autor tej historii, najwyraźniej był jednym z sireniańskich uczonych, powiernikiem i przyjacielem Toshmere, będącym blisko niego w tych

ostatnich dniach. Był jednym z nielicznych świadków zjazdu tej dwójki w głębiny planety, ale nie wiedział nic o tym co się stało, kiedy dotarli oni na dno szybu i zamknęli za sobą repozytorium.

Nie wiedział, który z nich przetrwał te potężne zmagania, jakie musiały mieć miejsce na dole.

A wkrótce potem, już żaden z Sirenian nie przejmował się losem swego opuszczonego Hetrarry, ponieważ uderzyła na nich wielka flota Dragbora. Ze swoją potężną, nieznaną bronią, siejącą grozę w szeregach najodważniejszych nawet Sirenian, pędzili oni z głębin kosmosu i szybko zlikwidowali sireniańskie linie obronne. To była rzeź, która była straszna nawet dla Sirenian, tak dobrze wyszkolonych w metodach rozlewu krwi. Ich linie obronne równie dobrze mogłyby w ogóle nie istnieć, biorąc pod uwagę wpływ, jaki miały one na działania wroga. Początkowo jeden po drugim, a potem całymi dziesiątkami, operatorzy urządzeń obronnych byli uśmiercani, a ich maszyny obracane w stopione stery złomu.

W końcu, kiedy w miejscu sireniańskiej floty pozostały już tylko rozżarzone resztki metalu i stosy trupów, wrogie statki wycofały się, zaś garstka ocalałych ośmieliła się mieć nadzieję, że być może pozostawiona im będzie jakaś droga ucieczki przed śmiercią.

Jednak nie było żadnej. Kiedy flota wycofała się poza zasięg widoczności, na niebie planety pojawił się pojedynczy mały statek, i ocalali zaczęli krzyczeć, wiedząc czym on jest. Ale oni byli już martwi na długo przedtem zanim planeta eksplodowała, rozpadając się na kawałki, które rozleciały się w kosmosie we wszystkie strony.

Underwood odłożył manuskrypt, z trudem odrywając myśli od sceny ogromnej i straszliwej bitwy, która miała miejsce tak dawno temu. Tekst ten odpowiadał na pewne problemy od dawna podnoszone przez asteroidalną archeologię. Wyjaśniał zupełny brak powiązań, między Stroid III, który był językiem Sirenian, oraz Stroid I i II, bez wątpienia rdzennych dla zniszczonej planety.

Jednak ten urywek z historii, przygotowany przez jakiegoś nieznanego uczonego towarzysza Toshmere, stawiał przed nimi największą zagadkę ze wszystkich.

Wzrok Illii napotkał spojrzenie Underwooda.

— Który z nich mógł wygrać? — zastanawiała się. — Jeśli był to Toshmere, to ten obcy będzie spełnieniem naszych wszystkich marzeń. Jeśli to jest Demarzule, wtedy Terry ma rację – powinien zostać zniszczony.

Underwood rzucił spojrzeniem w stronę kąpieli z substancjami odżywczymi, w której spał obcy, gdzie cieniste zarysy postaci nieco przypominającej ludzką, już zaczęły pojawiać się w zamglonych głębinach odżywczego roztworu.

— To musi być Toshmere — stwierdził i miał tylko nadzieję, że się nie mylił.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Balkon widokowy w sali muzealnej został ukończony i wyznawcy Wielkiego zaczęli napływać niekończącym się strumieniem. Dla Underwooda był to niesmaczny, oburzający widok. Obserwując twarze ludzi przybywających tutaj i modlących się w świątyni, wydawało mu się że coś je zmieniało, jakby jakaś wielka wizja. Przybywali tutaj z rysującym się na obliczu brzemieniem troski – w każdym wieku, młodzi i starzy – zaś wychodzili z błyszczącymi oczyma i uniesionymi głowami. Wśród przybywających byli nawet chorzy i kalecy, zostawiali oni swe kule, okulary i laski.

Dwa razy na dzień William B. Hennessey stawał na balkonie i wznosił modlitwę do Wielkiego, zaś strumień fanatycznych wyznawców zatrzymywał się, bijąc niskie pokłony.

Jednego z pracujących dla Underwooda biologów, Cravena, tak bardzo zafascynował pokaz tej zbiorowej histerii, że poprosił o pozwolenie na przeprowadzenie nad nim badań.

Underwood zmusił się do wyrzucenia z głowy tego spektaklu. Wiedział, że nie zniesie dalszego pobytu tutaj, w muzeum, jeżeli pozwoli swym myślom na błądzenie wokół kwestii dekadencji ludzkości.

Masa protoplazmy w odżywczej kąpieli stawała się coraz bardziej podobna do typowego embrionu ssaka, pod większością względów antropomorficznego, ale z widocznymi różnicami, których Illia i Underwood nie potrafili przypisać ani naturalnemu rozwojowi tego stworzenia, ani niezwykłym okolicznościom procesu jego ożywiania, ponieważ nie było żadnego standardowego wzorca, z jakim mogliby je porównać.

Wtedy to, pewnego dnia blisko końca czwartego miesiąca, Underwood otrzymał pilne wezwanie od Phyfe'a.

— Proszę przybyć natychmiast! — powiedział mu tamten. — Znaleźliśmy odpowiedź w repozytorium. Wiemy kim jest Wielki.

— Kim?

— Chciałbym, żeby pan sam się temu przyjrzał.

Underwood zaklął pod nosem, ponieważ Phyfe przerwał połączenie. Przekazał swoje obowiązki operatorowi, który pełnił dyżur, i wyszedł z budynku. Sekcje leksykografii i filografii instytutu, znajdowały się w starym, rozrośniętym gmachu po drugiej stronie miasta, koło portu kosmicznego; mieściła się w nim również sekcja semantyki. Repozytorium przeniesiono tam w celu prowadzenia dalszych badań.

Spotkali się z nim Dreyer i Phyfe. Stary archeolog, aż drżał z rozgorączkowania.

— Znalazłem mumię! — oznajmił.

— Jaką mumię?

— Mumię tego, który został zabity w repozytorium, przez zwycięzcę zmagań.

— I kto to był?

— Zobaczy pan. Zostawił zapis dla odkrywców repozytorium.

Weszli do aneksu, zbudowanego specjalnie aby umieścić w nim obcą konstrukcję. Znajdujące się w środku repozytorium wyglądało na wielokrotnie większe, niż wydawało się w kosmosie. Underwood ruszył za Phyfem i Dreyerem znanymi korytarzami. Zeszli do głównej komory, przechowującej protoplazmę Wielkiego. W niej Underwood dostrzegł wejście, prowadzące jeszcze niżej.

— Znalazł pan drogę do reszty repozytorium?

— Tak, i mieliśmy prawdziwego pecha, że nie znaleźliśmy drogi do tej części od razu na początku. Ale, chodźmy.

Phyfe zniknął w wąskim przejściu, schodząc którym minęli trzy poziomy wypełnione nieznanymi artefaktami. W końcu dotarli do malutkiej komory, uformowanej przez krzywiznę powłoki zewnętrznego kadłuba. Była ona zbyt mała, aby mogli w niej stanąć wyprostowani i szybko wypełniła się dymem z cygara Dreyera.

— Jesteśmy dokładnie w miejscu, gdzie go znaleźliśmy — powiedział Phyfe.

Underwood przyglądał się znalezisku nie rozpoznając go. Wyglądało jak jakiś dosyć wielki, wysuszony nietoperz, który został beztrosko ciśnięty do kąta komory.

— Całkowicie wyschnięty — wyjaśnił Phyfe. — Nie pozostawał tutaj na tyle długo, między swoją śmiercią i zniszczeniem planety, aby zaszły procesy rozkładu. Po prostu został wysuszony, kiedy cząsteczki wody zamarzły i zniknęły. Szkoda, że nie ma żadnego sposobu, aby biolodzy mogli odtworzyć jego ciało. Mumia jest tak zniekształcona, że trudno powiedzieć, jak wyglądał.

— Ale kto to był?

— Tutaj jest zostawiona przez niego wiadomość. Widocznie mieli jakiegoś rodzaju małe narzędzia elektryczne, które nosili przy sobie, do pisania na metalowych powierzchniach. Jak mogli odczytywać te zapisy, pozostaje tajemnicą, ponieważ my musimy zastosować całą masę sprzętu, o rozmiarach tej komory, aby odcyfrować to cholerstwo. Tutaj są zdjęcia jego wiadomości, którą udało nam się na nich przekształcić na widoczną.

Underwood wziął plik fotografii. Widać było na nich ściany komory, oraz wyschniętą mumię leżącą nieruchomo w miejscu, gdzie upadła umierając w bólu. Ale na ścianach wyróżniały się ostro białe znaki, tworzące długą inskrypcję napisaną przez antyczne stworzenie, całe eony temu.

— Czy potrafi pan ją odczytać? — spytał Phyfe.

Underwood przebiegł wzrokiem po znakach i skinął powoli głową. Nie był w stanie zrozumieć języka tak dokładnie jak Phyfe, ale potrafił go już czytać ze sporą łatwością.

Pierwsza część wiadomości, stanowiła krótkie powtórzenie historii nieszczęsnych uchodźców, którą znali już wcześniej, ale na końcu znalazł nową informację.

Brzmiała ona:

— Demarzule mnie zabił!

Słowa te były jak lodowe kulki, wystrzelone z prędkością karabinowego pocisku, prosto w jego twarz. Uniósł wzrok na niewzruszone oblicza obu towarzyszących mu mężczyzn, wyczytując w nich decyzję, jaką podjęli.

Potem, powoli, jego spojrzenie opadło z powrotem na zdjęcie i zmusił się do przeczytania reszty.

— Próbowałem dostać się do głównej komory i zniszczyć służący do transformacji sprzęt, ale nie udało mi się to. Demarzule nauczył się obsługi tego urządzenia. Chociaż jego umysł nie miał w sobie ani odrobiny kreatywności, i jedynymi jego celami były podbój i zniszczenie, ciągle miał do swej dyspozycji potężne zasoby sireniańskiej nauki.

— Nie jestem wojownikiem, ani nie mam wiedzy o sposobach walki. Demarzule nie było trudno mnie pokonać. Niebawem umrę, dlatego przekazuję to wam, którzy być może czytacie to w następnych wiekach. To jest moja wiadomość dla was, moje ostrzeżenie: Zniszczcie zawartość komory z protoplazmą, bez żadnej litości! Tam jest Demarzule, a on będzie biczem dla każdej cywilizacji, w której się odrodzi. Marzy o podboju i nie spocznie dopóki nie stanie się Władcą Wszechświata. Zniszczył już wiele galaktyk; zniszczy jeszcze kolejne jeśli ponownie wróci do życia. Zabijcie go! Wyrzućcie całą wiedzę straszliwego Imperium Sireniańskiego ze swej pamięci!

— Prawdopodobnie kusi was, aby ożywić Hetrarrę oraz by wierzyć, że wasz rozwój naukowy dorównuje naszemu, pamiętajcie jednak, że wiedza wymagana do wejścia do naszego repozytorium, stanowi tylko pewne minimum. To najmniejszy wspólny mianownik naszej cywilizacji. Dlatego zabijcie…

Napis kończył się tym ostatnim, pośpiesznie napisanym napomnieniem pradawnego naukowca, Toshmere.

Przez długie chwile w komorze repozytorium panowało milczenie. Kiedy Underwood skończył, Phyfe nie miał nic do powiedzenia. Wydział napinające się mięśnie na szczęce fizyka oraz jego spojrzenie utkwione w jedno miejsce, tak jakby próbował przebić gołym okiem zasłonę wieków i wyobrazić sobie umierającego naukowca, wypisującego to ostrzeżenie na ścianach komory śmierci.

W końcu Phyfe powiedział:

— Del, w tym stanie rzeczy nie możemy sobie pozwolić na ryzyko ożywienia Demarzule. Niech pan pomyśli o skutkach uwolnienia umysłu dysponującego taką potężną wiedzą naukową.

— Nie planowaliśmy go tak zupełnie uwolnić — odparł defensywnie Underwood. — Kiedy ożyje, nadal będziemy mieli nad nim kontrolę. Może być trzymany w jakimś luksusowym więzieniu – i w ostateczności usunięty, jeśli zajdzie taka konieczność. Gra wydaje się warta świeczki, jeśli uda nam się wyciągnąć z niego posiadaną wiedzę.

— Czy nie zapomina pan, że my nie mamy nad nim kontroli, w żadnym tego słowa znaczeniu? To Wyznawcy ją mają. Nami rządzi Instytut, który w każdej chwili może zostać unicestwiony jedną decyzją Komitetu Nauki. Oni zaś z kolei, są marionetkami Wyznawców, dysponującymi głosami wyborczymi. Kiedy Demarzule ożyje, będzie miał gotowych zwolenników, którzy uważają go nie tylko za Imperatora, ale za boga. Mówię panu, nie mamy innego wyboru, jak tylko go zniszczyć.

Szczęki Underwooda zacisnęły się jeszcze mocniej. Trzymał w ręku wiedzę naukową, która mogła reprezentować tysiące lat normalnego rozwoju Układu Słonecznego. Nie potrafił zrezygnować z daru jaki miała do zaoferowania cywilizacja Sirenian.

Potem jego oczy napotkały spojrzenie Dreyera, który nie odzywał się, siedział tylko spokojnie w kucki, w tradycyjnym obłoku dymu. Odczytał w nim nieodwołalną odpowiedź.

— No, dobrze — powiedział. — Wygraliście panowie… wy i stary Toshmere. Chodźmy gdzieś do telefonu, Przekażę wiadomość, aby wyłączono promieniowanie.

Pośpiesznie ruszyli schodami w górę, jakby uciekali z jakiegoś ohydnego grobowca, przechowującego zwłoki dawno zmarłego. Szybko weszli do budynku, i dalej do gabinetu Phyfe'a. Stamtąd Underwood zadzwonił do Illii.

Odebrała natychmiast, tak jakby czekała na wiadomość od niego, ze strachem i bez wielkiej nadziei.

— To jest Demarzule, zdobywca — oznajmił jej. — Wyłącz promieniowanie i wypuść ciecz ze zbiornika. Będziemy musieli ponieść konsekwencje tego, ale nie śmiem ciągnąć dalej procesu ożywiania.

Illia przygryzła kawałek wargi o skinęła głową.

— To mogła być wielka szansa dla Ziemi — powiedziała, a w jej głosie słychać było jakby ślad szlochu. — Wyłączę je natychmiast.

Phyfe zauważył:

— Wie pan, Underwood? Będą z tym spore kłopoty. Myślę, że poproszę o przeniesienie z powrotem do ekspedycji. Czy chciałby pan tam polecieć razem z nami?

— Pewnie że tak, ale obawiam się, iż Komitet Nauki nie pozwoli nam się z tego tak łatwo wykręcić. Pan i ja będziemy załatwieni do końca życia. Pan tak nie myśli, Phyfe? Będziemy mieli szczęście, jeśli nie wylądujemy

na resztę życia we więzieniu. Ale pan, Dreyer, nie musi się w to wszystko pakować. Niech pan stąd znika, zanim się za nas nie wezmą.

— Nie pomyślałem o tym w ten sposób — przyznał Phyfe, — ale przypuszczam, że ma pan rację. Wyznawcy z pewnością nie darują nam tego, co nie?

Zanim Dreyer zdążył cokolwiek powiedzieć, zadzwonił biurowy interfon. Phyfe włączył go i na ekranie pojawiła się twarz Esmonda, jednego z młodszych archeologów.

— Panie Phyfe! — zawołał młody człowiek. — Nie wiem o co tu chodzi, ale w drodze do pańskiego biura jest policja. Mają nakazy aresztowania pana i doktora Underwooda!

Phyfe skinął głową.

— Dziękuję panu, Esmond. Dopilnuję, żeby nie miał pan z tego powodu żadnych kłopotów. Doceniam to. Nie tracili czasu, co? — zwrócił się do Underwooda. — Ale ponieważ Demarzule został zniszczony, osiągnęliśmy cel, który mieliśmy zrealizować.

— Chwileczkę — przerwał mu Underwood. — Czy aby na pewno Demarzule został zniszczony? Coś musiało pójść źle; policja pojawiła się za szybko.

— Popatrzcie! — Wybity ze swego zwyczajowego spokoju Dreyer wskazywał palcem za okno, ponad miastem.

— Pole siłowe! — zawołał Underwood. — Jakim cudem…?

— Najwyraźniej przygotowywali się do tego już od dłuższego czasu — stwierdził Dreyer.

Underwood spróbował ponownie zadzwonić do Illii, ale nie było żadnej odpowiedzi z wnętrza nieprzeniknionej ściany energii. Fala straszliwego strachu porwała Underwooda w swe ramiona. Co się dzieje z Illią? Czy nic jej się nie stało?

— Niezależnie od tego co się wydarzyło — wykrzyknął Phyfe, — szanse są dziesięć do jednego, że Demarzule nie został zniszczony! W takim przypadku, lepiej żebyśmy nie dali się złapać!

— A co możemy zrobić? Na pewno otoczyli cały budynek. Nie ma żadnej szansy, aby się stąd wydostać.

— To stary budynek. Są pomieszczenia i piwnice, o których wie bardzo niewiele osób, a wszyscy pracownicy to naukowcy. Pozostaną lojalni. Chodźmy!

— Nie, chwileczkę — odparł Underwood. — Moje ukrycie się w tej króliczej norze pod miastem, nie przyniesie żadnej korzyści. Jest tylko jedna możliwość zniszczenia Demarzule, i wymaga ona abym wrócił do muzeum i zrobił to sam, osobiście.

— Oszalał pan! Wyznawcy nigdy nie pozwolą tam panu tam wrócić. Dalej, człowieku, tracimy czas!

— Panowie, wy dwaj uciekajcie i ukryjcie się. Ja spróbuję zwalić całą winę na was oraz na grupę naukowców i przysięgnę o swojej niewinności.

To jedyny sposób, aby uzyskać dostęp do Demarzule. No dalej, znikajcie. Zaraz… czy macie panowie wypalacz?

— Tam, w szufladzie. Lepiej go weźmy.

Underwood otworzył szarpnięciem szufladę i znalazł w niej broń. Potem wycelował lufę tuż nad górną częścią swego ramienia i wystrzelił. Twarz wykręciła mu się mimowolnie z bólu, podczas gdy Phyfe spoglądał na to wszystko ze zdumieniem:

— Po co to pan robi? — dopytywał się archeolog.

Underwood rzucił mu broń, podczas gdy pomieszczenie wypełniło się odorem spalonego ciała.

— Postrzelił mnie pan, kiedy odmówiłem przekazania polecenia wyłączenia promieniowania. Moja historyjka jest cienka i jeżeli w nią nie uwierzą, to będzie po mnie. Ale jeśli nie zaryzykujemy, Demarzule zostanie kolejnym władcą Ziemi.

Dreyer skinął głową.

— To jest ryzyko. Ale trzeba je podjąć. Powodzenia.

Nagłe poruszenie w korytarzu za drzwiami, ostrzegło ich o zbliżaniu się grupy funkcjonariuszy. Phyfe obrzucił ostatnim zdesperowanym spojrzeniem Underwooda, który trzymał się za bolące go oparzenie na ramieniu. Potem archeolog odwrócił się i wraz z podążającym za nim Dreyerem, wymknęli się pośpiesznie przez drzwi na tyłach biura.

Prawie natychmiast po tym, główne drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem i do pomieszczeniu wpadło dwóch potężnie uzbrojonych funkcjonariuszy. Ich energetyczna szarża zatrzymała się w pół kroku, kiedy dostrzegli jęczącego fizyka.

— Wezwijcie pomoc — rozpaczliwie oznajmił Underwood. — Muszę się dostać do muzeum. Może jeszcze nie jest za późno, jeśli doktor Morov wyłączyła emiter. Phyfe zmusił mnie do wydania polecenia, żeby to zrobiła. Naukowcy nie chcą żeby Wielki ożył. Strzelił do mnie, kiedy odmówiłem. Zabiłby mnie, gdybym…

Underwood padł do przodu na biurko i zemdlał z bólu, którego nie był w stanie już dłużej znieść.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Masywnie zbudowany przewodniczący Komitetu, popatrzył na Underwooda w zatłoczonej sali przesłuchań, z pełnym przekonania o własnej słuszności, pozbawionym osobistego uprzedzenia gniewem człowieka, który reprezentuje w przybliżeniu milion wyborców. Oznajmił Underwoodowi:

— Zawieszenie, którego panu udzielono, nie przyznano panu z tego powodu, by pańska zbrodnia mogła być uważana za mniej poważną. Jako że pański czyn sprowadził zagrożenie na własność rządu, która może potencjalnie zmienić na lepsze życie całej Ziemi, uznaje się że pańska zbrodnia powinna być karana śmiercią.

— Jednak jest pan jedynym człowiekiem, zdolnym do dalszego kierowania tym projektem. Tak więc pański wyrok został zmieniony i zostanie zniesiony, jeżeli zakończy pan z sukcesem projekt przywrócenia do życia Wielkiego. Tylko w ten sposób może pan udowodnić swoją niewinność. Gdyby jakimś wypadkiem zakończył się on niepowodzeniem, trzy oddzielne komitety kompetentnych naukowców, wydadzą werdykt, który zdeterminuje, czy pozostanie pan przy życiu.

— A co z doktor Illią Morov?

— Otrzymała wyrok dożywotniego więzienia za próbę zniszczenia Wielkiego.

— Ona wykonywała tylko moje polecenia, wydane pod przymusem, jak już wyjaśniłem. Nie mogę odpowiadać za udane przywrócenie do życia Wielkiego, jeśli zostanę pozbawiony kompetentnej pomocy. Jej wiedza jest absolutnie kluczowa dla sukcesu tej pracy.

Przewodniczący zmarszczył brwi.

— Sądy powszechne wydały już swoje orzeczenie. Niewykluczone, że możliwe jest zobligowanie jej do stawiennictwa przed nami, tak jak to było w pańskim przypadku, ale jej wyrok nie może zostać zmieniony, chyba że w drodze kasacji nadzwyczajnej i ponownego procesu. Zobaczymy, co się da zrobić w tej sprawie.

Underwood zdusił wybuch, który chętnie by z siebie wyrzucił, oskarżenie wszystkiego co symbolizowało zgniłą cywilizację, której elementem stał się wyłącznie na skutek przypadkowych w niej narodzin. Śmiał mieć tylko nadzieję, że Illia zostanie potraktowana wyrozumiale, że jakoś uda im się wymyślić sposób na zniszczenie obcego.

Zmusił swój umysł do odrzucenia w tej chwili wszelkich myśli o możliwości antagonizmu między cywilizacją Sirenii i obecnie panującą na

Ziemi. Teraz był już w pełni świadom możliwości umysłu takiego jak Demarzule, uzbrojonego w sireniańską super-naukę, jeśli znajdzie się on bez kontroli pomiędzy Ziemianami. Wywoływało to u niego chęć zniszczenia obcego równie silną, jak jego wcześniejsze pragnienie ocalenia go i przywrócenia do życia. Ziemia była już w wystarczająco kiepskim stanie, nawet bez Demarzule.

Co do siebie i Illii, to czasami niemal ośmielał się mieć nadzieję, że jakoś może uda im się ujść przed gniewem Wyznawców – może do kolonii na Wenus – ponieważ na Ziemi nie pozostało im już nic.

Przewodniczący dodał jeszcze:

— Aby upewnić się, że osoba Wielkiego nie będzie narażona na żadne niebezpieczeństwo, nieustannie towarzyszyć panu będzie uzbrojona straż. Będzie pan musiał dokładnie wyjaśniać każdy swój ruch przed jego wykonaniem – w przeciwnym wypadku może pan umrzeć, zanim go pan wykona.

I to było już wszystko. Underwood został odprowadzony pod silną strażą między rzędami widzów, większość z których stanowili Wyznawcy. Niemalże był w stanie wyczuć ich wątpliwości i nienawiść do siebie.

Kiedy wrócił do muzeum, strażnicy wyznawców byli wszędzie. Naukowcy pracowali z pustymi, pozbawionymi wyrazu twarzami – i z lufami przystawionymi do pleców.

Craven, biolog który prowadził szczegółowe badania Wyznawców, kiedy wszedł Underwood, niepewnie uniósł wzrok. Czasowo, w okresie nieobecności Illii i Underwooda, pełnił funkcję kierownika.

— Bardzo mi przykro… za wszystko, Del. Specjalnie za doktor Morov. Kiedy zobaczyłem jak wyłącza promieniowanie, wiedziałem, że coś jest nie tak, ale kiedy powiedziała, że polecenie pochodziło od ciebie, zdałem sobie sprawę, iż nadszedł czas abyśmy przejęli kontrolę. Cieszę się, że uznano iż nie sympatyzowałeś z naukowcami, którzy chcieli zniszczyć Wielkiego.

Jego słowa przez moment nie chciały wskoczyć na właściwe miejsca w umyśle Underwooda, tak aby zebrane razem miały jakiś sens. Ale po chwili zrozumiał – chociaż każdemu z naukowców znajdujących się tutaj przydzielono osobistego strażnika, nikt nie pilnował Cravena. A więc, Craven był jednym z nich – Wyznawcą. Tylko, jeżeli przeciągnęli do sobie Cravena, to czemu nie innych?

Ale przecież Craven studiował Wyznawców, z naukowego punktu widzenia. Czy uległ im z tego powodu, czy pomimo tego?

Był to problem poza zdolnością pojmowania Underwooda. Odpowiedział mu w wymijający sposób:

— Jak idą sprawy? Czy podział komórek przyśpiesza? Intensywność dawek promieniowania i roztworów odżywczych zwiększana jest zgodnie z wcześniejszymi planami?

Craven skinął głową.

— O ile mogę powiedzieć, Wielki rozwija się poprawnie. Oczywiście, będziesz chciał wszystko sprawdzić. Raporty dobowe przygotowane są do twojej kontroli.

Underwood chrząknął i wyszedł, pilnowany przez milczącego, zawsze obecnego strażnika. Podszedł do pulpitu kontrolnego, przy którym trójka

techników nieustannie pilnowała przebiegających w wannie procesów. Wszystko funkcjonowało zgodnie z instrukcjami znalezionymi w repozytorium – instrukcjami przygotowanymi przez Toshmere.

Wszędzie było pełno strażników, a na górze, balkonem, przepływały niekończące się strumienie Wyznawców Wielkiego. Dla Underwooda było to jak koszmar. Jak kontrola nad projektem tak mogła wymknąć mu się z rąk? Stało się to tak szybko, tak skrycie, że zupełnie sobie z tego nie zdawał sprawy. Nie, to nie tak; prawda wyglądała następująco: nigdy nie miał kontroli. Od chwili kiedy naukowcy przywieźli protoplazmę Demarzule na Ziemię i ogłosili całą historię swego znaleziska, taki rozwój sytuacji był nieunikniony.

Nieunikniony, pomyślał Underwood, a oni popełnili największy semantyczny błąd w historii. Może nawet i zrobiliby dobrze, gdyby to był Toshmere, a nie Demarzule. Świat już od stu lat nie miał innych przywódców jak nieudolni, kupczący głosami politycy. Toshmere mógłby poprowadzić ich z powrotem do czegoś przypominającego siłę oraz inicjatywę, ale co zrobi Demarzule, zdobywca i niszczyciel?

Następnego dnia Illia wróciła. Underwood przeżył wstrząs, kiedy ją zobaczył. Marzyła przecież o nowym i bardziej zdrowym świecie, do którego mógłby ich powieść obcy z kosmosu, tak samo jak Underwood marzył o nowym świecie, do którego mogłaby poprowadzić ich nauka. A teraz ich marzenia zmieniły się w koszmar.

Najgorsze w ich spotkaniu było to, że nie mogli ze sobą szczerze porozmawiać. Illia znalazła się w małym koszmarnym świecie pod skorupą pola siłowego, pilnowana przez strażników, a jeden z nich pozostawał stale u jej boku, nawet teraz kiedy podjęła ponownie swoje obowiązki. Tak samo strażnik Underwooda ani na chwilę nie pozostawiał go samego. Underwood musiał przez cały czas utrzymywać wobec niego pozory niewinności.

— To był Phyfe i Dreyer — powiedział jej. — Cieszę się, że nie udało ci się zniszczyć Demarzule.

Zawahała się przez chwilę, a potem skinęła głową.

— Nie wiedziałam, dlaczego to robiłeś, ale myślałam, że masz jakieś powody. Nie podejrzewałam ich podłego spisku.

I to było wszystko. Nic więcej nie mogli sobie powiedzieć. Nie mogli porozmawiać o jej bladej twarzy, szarym, pozbawionym blasku wyglądzie. Nie mogli porozmawiać o jej utraconych nadziejach.

Masa w zbiorniku rozrastała się i nabierała kształtu. Wyraźnie formowały się członki, głowa i tułów, tracąc swój straszny embrionalny wygląd. Underwood widział już, że stworzenie od razu będzie miało dorosłą formę i kształt, i nie będzie przechodzić przez okres dzieciństwa. Miało pełne osiem stóp wysokości i było humanoidalne, w tym sensie że miało cztery członki, głowę i tułów, ale promienie rentgenowskie ujawniały

radykalne różnice w strukturze kości i stawów. Jeden organ czaszkowy i dwa organy brzuszne były zupełnie nieznajome i żaden z pracujących przy projekcie biologów nie był w stanie ich zidentyfikować.

Przez chwilę Underwood pielęgnował w duszy nadzieję, że te różnice strukturalne mogą spowodować, iż Demarzule nie będzie mógł przeżyć na Ziemi. Ale kiedy później rozwinęły się płuca, stawało się coraz bardziej jasne, że Sirenianin będzie w stanie przystosować się do atmosfery. Co do pożywienia, nie było żadnych wątpliwości, że jedzenie nie będzie dla niego problemem. Po sześciu miesiącach, także, widać już było, że założenie iż coś może pójść nie tak z samym procesem ożywiania, było beznadziejne. Toshmere zaplanował wszystko zbyt dobrze.

Underwood zastanawiał się, co się stało z Phyfem i Dreyerem, czy zostali schwytani i zabici, a może ciągle żyli gdzieś w głębinach starożytnych budowli pod miastem. Nie miał od nich absolutnie żadnych wiadomości. Od czasu ich tragicznej porażki, utrzymywano go w zupełnej izolacji. Nie odzywał się do nikogo, poza milczącymi strażnikami i swoimi towarzyszami technikami. Wiedział, że nikomu nie wolno mu zaufać, ponieważ był pewien, iż między pracującymi u jego boku naukowcami byli tacy, których obowiązkiem było szpiegowanie go. Craven, na przykład, z dnia na dzień stawał się coraz bardziej ponury, i obecnie niemal stale unikał Underwooda, tak jakby wstydził się rzeczy w które wierzył, i które zrobił, ale nie potrafił wyrzec się ich, ani pomóc sobie samemu. Symptomy histerii przez cały czas stawały się coraz bardziej widoczne.

Underwood poszukiwał ich także w pozostałych naukowcach, ale nie miał dostatecznych umiejętności, aby wykryć oznaki. Jedyne więc co mógł to grać bezpiecznie i nie ufać nikomu.

Wydawało się, że czas stanął, ale życie szło naprzód w tym koszmarnym zakątku świata. Światło słoneczne niemalże zupełnie zasłaniała ściana pola siłowego. Kiedy Underwood wychodził z budynku muzeum i spoglądał do góry na jego ciemną skorupę, przypominało mu się, że wieki temu pole ocaliło świat, kiedy ludzkość znalazła się na krawędzi samozagłady, w mglistych początkach ery atomowej. Tylko dzięki wynalezieniu pola siłowego, nieprzeniknionej bariery dla wszelkiej materii, promieniowania czy też siły, ludzie uratowali się przed całkowitą anihilacją.

Teraz jednak rasa ludzka stanęła przed inną potężną siłą niszczącą – swym własnym pragnieniem posiadania przywódcy, który obieca jej wolność od swobody działania i odpowiedzialności. Obcy z pewnością zdolny będzie do spełnienia tej obietnicy, której nie był w stanie sprostać żaden człowiek, ale czy warte było to ryzyka spętania przez krwawą dyktaturę?

To fantastyczne, pomyślał sobie Underwood, że mógłby nie znaleźć sposobu by wymknąć się swym strażnikom i zabić rosnącego potwora. Mogły tego dokonać zmiany w sile dawek promieniowania, ale nie było możliwości, żeby je zmienić. Strażnicy, których przywódcy posiadali

wiedzę techniczną, mieli dostęp do zapisków naukowców, nie tylko dających im wgląd w szczegóły poprzednich prac, ale zarysowujących każdy kolejny krok, aż do chwili kiedy Demarzule nie zostanie ożywiony. Underwood nie ośmielił się spróbować odejść od procedury ze spisanych notatek. Sama wanna była otoczona przezroczystą barierą, odporną zarówno na strzały z broni kulowej jak i broń radiacyjną – nawet gdyby udało mu się jakąś zdobyć. W odżywczym roztworze nie można było także umieścić żadnej trucizny.

Po prostu nie było żadnej możliwości dopóki Demarzule pozostawał w odżywczej kąpieli. Ale w dniu, kiedy z niej wyjdzie? Rozpaczliwy, plan ostatniej szansy, nabrał kształtów w głowie Underwooda.

Wyjaśnił swojemu strażnikowi:

— Kiedy Wielki powstanie, dobrze by było, aby ktoś go powitał w jego własnym języku. Bardzo niewielu naukowców jest w stanie to zrobić, a spośród tych którzy mogą, tylko ja jestem tutaj na miejscu. Za pańskim pozwoleniem, będę u jego boku i powitam go, kiedy się odrodzi.

Strażnik zastanowił się.

— Przekażę pańską prośbę Pierwszemu Wysokiemu Prorokowi Hennesseyowi. Jeśli uzna że można ją spełnić, zostanie pan wyznaczony, aby powitać Wielkiego.

Underwood żałował że nie przywitał Hennesseya cieplej, tego dnia kiedy fanatyczny prorok po raz pierwszy przybył do jego biura, ale Hennessey natychmiast udzielił pozwolenia. Underwood wyobrażał sobie, że Prorok musiał czerpać sporą satysfakcję z ironii faktu, iż to właśnie Underwood będzie pierwszym człowiekiem, który powita Wielkiego.

Koło wąskiego pomostu, pomiędzy pulpitem obserwacyjnym i zbiornikiem, znajdowały się urządzenia kontrolne, które miały ostatecznie odciąć dopływ promieniowania i odpompować odżywczy roztwór, gdy proces ożywiania dojdzie do końca. Tutaj także znajdowały się zawory dopływu wody, używanej do obmywania wanny, kiedy była ona konstruowana.

W tej ciasnej przestrzeni Underwood mógł na chwilę schronić się przed czujnym okiem swojego strażnika. Miał nadzieję, że zdoła jakoś przedwcześnie odciąć promieniowanie i osuszyć wannę. Gdyby to się udało, mógłby wypełnić wannę wodą i utopić Demarzule, zanim strażnicy zdążą zainterweniować, albo dosięgnąć zaworu odcinającego. Underwood zdołał ukryć w kieszeni niewielki pręt, którym zamierzał zniszczyć zawór, kiedy zostanie otwarty.

Masywna postać Demarzule obecnie poruszała się od paru dni, jak embrion, i Underwood obserwował ją uważnie, wypatrując pierwszej próby wyjścia z wanny. To byłaby pierwsza chwila, kiedy mógł podjąć próbę zniszczenia Sirenianina.

Żałował, że nie może zwierzyć się Illii, ale nie było na to najmniejszej szansy. Bał się, że ona może mieć jakiś swój desperacki, niebezpieczny plan.

Barwa skóry Sirenianina nabrała głębokiego odcienia, podobnego do ciemnej sekwoi, który wydawał się być jej naturalnym kolorem. Włosy na głowie miał miedziane, jeszcze ciemniejsze niż skórę. Cały wygląd

Demarzule promieniował siłą i potęgą, nawet pomimo tego, że leżał w milczeniu. Rysy twarzy miał śmiałe, z szeroko rozstawionymi oczyma i ostrym nosem. Usta były poważne, niemalże surowe.

Histeria między Wyznawcami, wzbierała mniej więcej co godzinę. Zamiast przepływać przez budynek, niekończącym się strumieniem po pomoście, wlewali się do środka i nie chcieli wyjść, mając nadzieję, że będą tutaj w czasie ożywienia Wielkiego. Niektórzy zostali zepchnięci i zginęli spadając na podłogę. Przelewali się do głównej sali roili się wokół masy sprzętu. Było to chętnie widziane przez Underwooda, który miał nadzieję, że napierający tłum zniszczy jakieś urządzenie i w ten sposób doprowadzi do końca Demarzule.

W każdym razie, histeria ta miała swoje skutki również jeśli chodzi o strażników, którzy ciągle pilnowali naukowców. Ich czujność i sprawność zniknęły, zmieniając się w to samo napięcie, które przepełniało tłumy w sali, szerząc się jak choroba.

Underwood na koniec nie spał przez dwa dni, nie śmiąc przegapić zbliżającej się szansy. Setki wiernych wypełniających salę i tysiące innych czekających na zewnątrz wytrzymywało już znacznie dłużej, czekając na cud.

Był wczesny poranek, kiedy Underwood dostrzegł pierwszy lekki ruch, wskazujący na to, że Demarzule ma zamiar niedługo wyjść ze zbiornika.

Underwood gwałtownie wskazał palcem w stronę zbiornika i popatrzył pytająco na strażnika. Mężczyzna skinął głową i Underwood popędził wąskim pomostem.

Nie było możliwości przedwczesnego wypuszczenia roztworu i wyłączenia promieniowania. Musiał to więc zrobić teraz. Demarzule usiłował się podnieść, jego płuca ciężko sapały, po raz pierwszy łapiąc ziemskie powietrze, które wypełniło górną część zamkniętego osłoną zbiornika.

Underwood przerzucił wyłącznik promieniowania i przekręcił zawór rury z wodą, z potężnym szarpnięciem, które zerwało kółko z trzonka. Woda popłynęła strumieniem do zbiornika.

Demarzule usiłował unieść się do pozycji siedzącej, rozglądając się jakby był oszołomiony, na jego obliczu widać było straszliwy wysiłek.

Wyznawcy zobaczyli go. Krzyk ekstazy zahuczał jak grzmot w całej głównej sali i pozostałych pustych pomieszczeniach muzeum. Wtedy, nagle, rozległ się nowy dźwięk. Zabrzmiał jakiś pojedynczy głos, przebijając się przez resztę.

— Uderzyć teraz! — krzyczał. — Powalić najeźdźcę! Zniszczyć bluźnierstwo Wielkiego!

Głowa Underwooda wykręciła się do tyłu. Na górze, na pomoście, w miejscu ostatnio zajmowanym przez Proroka Hennesseya, stał Terry Bernard!

Przez mgnienie oka Underwood nie mógł pojąć tego co się dzieje. Broń w ręku Terry'ego, rozbłysła czerwienią. Strażnik Underwooda przewrócił się bezwładnie, w pół kroku swego morderczego biegu, i spadł z wąskiego pomostu. Tylko on dostrzegł nagle wzbierającą wodę i pojął co to oznacza.

Płacze, przekleństwa, krzyki i modlitwy, które teraz wypełniły salę, dla kontrastu uczyniły poprzednio panujący w niej rozgardiasz niemalże martwą ciszą. W powietrzu strzeliły wyładowania morderczych wystrzałów. Underwood nie mógł kompletnie zrozumieć, co się tutaj dzieje.

Zaczęły rysować się strony tego konfliktu. Underwood zobaczył, że kilku techników i naukowców ma broń i pozbyło się swoich strażników. Teraz strzelali uważnie w kłębiący się wokół sprzętu tłum, wybierając uzbrojonych przywódców.

Wewnątrz nieprzeniknionej osłony wielki Sirenianin kołysał się niepewnie, jakby oszołomiony. Wokół jego bioder szybko podnosiła się woda. Powietrze wypychane rurą dostarczającą tlen, pozwalało wodzie wzbierać, w poza tym hermetycznie zamkniętej komorze tworzonej przez osłonę.

Jeszcze parę minut i Demarzule zostanie odcięty od dopływu powietrza. Ile czasu będzie potrzebne do tego, aby się utopił, Underwood nie wiedział. To zależało w znacznej mierze od obecnego tempa jego metabolizmu, które było wielce niepewne. Ale czy dało się tak długo powstrzymać tłum? Trzeba to zrobić! Pochylił się i złapał za broń, którą upuścił ścigający go strażnik.

W głębi umysłu zastanawiał się, co oznaczał ten niespodziewany atak. Jak dobrze był zorganizowany i kto za nim stał? Najwyraźniej sygnał do ataku dał Terry i wielu z pracujących nad projektem naukowców, było na niego przygotowanych. A jednak Underwoodowi nie przekazano najmniejszej sugestii, że taki atak w ogóle ma mieć miejsce. Zastanawiał się, dlaczego go z tego wykluczono.

Wrzaski rozhisteryzowanych Wyznawców stały się ogłuszające kiedy ci znajdujący się na przedzie, próbowali siłą przepchnąć się do tyłu, jak najdalej od linii walki, zaś ci z tyłu, próbowali napierać do przodu, żeby choćby przez chwilę ujrzeć Demarzule.

Underwood zeskoczył na dół, w środek morza zamieszania i stwierdził, że nie jest w stanie określić, w którą stronę konflikt się przeważa. W jego pobliżu nie było żadnego z naukowców, a jedynie wściekli, oszalali Wyznawcy. Postanowił pozostać koło zaworu wody, żeby się upewnić, że nie zostanie on zakręcony przez któregoś ze strażników.

W jego stronę podpłynęły dwie postacie i jedna z nich chwyciła go za ramię.

— Del! Chodź, wynosimy się stąd!

Odwrócił się. Poznaczona śladami krwi twarz Terry'ego, była niemalże niemożliwa do rozpoznania. Jego drugą dłoń chwyciła ręka Illii.

— To wy uciekajcie! — krzyknął Underwood. — Wydostańcie się stąd, jeśli wam się uda. Ja muszę tutaj zostać – żeby się upewnić, że on się utopi.

— **K**toś zakręcił wodę! Nie widzisz?

Underwood odwrócił się z przerażeniem. Poziom wody spadał, zamiast się podnosić. Ktoś zakręcił ją na którymś z wcześniejszych zaworów i otworzył odpływ. Powietrze musiało być stale pompowane przez rurę, ponieważ Demarzule podniósł się i stanął, spoglądając na kotłującą się masę ludzi, jakby zastanawiając się nad ich losem. Zawzięta zwierzęca walka o przetrwanie zniknęła już z jego twarzy i pozostało na niej tylko kpiące lekceważenie, na widok walczącego przed nim tłumu.

— Przegraliśmy! — zawołał Underwood. — To Craven musiał zakręcić wodę. Teraz nie mamy już żadnych szans.

— Nie, jeśli tutaj zostaniemy. Chodź. Musimy wmieszać się w ten tłumem i utorować sobie drogę na zewnątrz. Czeka na nas statek, żeby zabrać nas do Phyfe'a. „Lavoisier" jest obsadzony załogą i gotów do startu.

— „Lavoisier"? Dokąd… ?

— A skąd mam wiedzieć? Idziemy!

Pozbawiony resztek nadziei, Underwood pozwolił się pociągnąć rozgorączkowanemu Terry'emu i wepchnąć w gęsty tłum ludzi. Oznaki zbrojnego konfliktu zamierały. Underwood przypuszczał, że naukowcy zostali obezwładnieni, ponieważ obecnie główna sala muzeum była już całkowicie wypełniona Wyznawcami. To niemożliwe, pomyślał, żeby udało nam się przedostać przez nich, unikając schwytania. Ale nawet pomimo przebiegających mu przez głowę wątpliwości, wiedział że trzeba się stąd wydostać. Musiał przeżyć, żeby zorganizować kolejny opór przeciwko Sirenianinowi.

Obejrzał się za siebie. Demarzule stał teraz prosto. Powoli jego potężne ramiona uniosły się, rozkładając się jakby w geście powitania i błogosławieństwa, a ekstatyczny lament Wyznawców zmienił się w szaleńcze wycie.

Potem, z tych obcych warg, wzmocnione tysiąckrotnie przez system nagłaśniający zainstalowany w komorze, aby uchwycić każde wypowiedziane słowo, wydobyły się dźwięki obcej mowy, którą jedynie Underwood potrafił zrozumieć. I w miarę jak płynęły obce słowa, fizyk zadrżał uświadamiając sobie ich konsekwencje.

— Mój ludu — oznajmił Demarzule. — Mój wielki, potężny ludu!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Underwood odwrócił się z powrotem do wyjścia, jakby popychany grzmiącą siłą władczego głosu, dobywającego się z ust Demarzule.

W tej chwili nikt już nie zwracał uwagi na trójkę naukowców. Twarze Wyznawców skierowane były w stronę Wielkiego, czekając na jego kolejne słowa.

Underwood, Terry i Illia przedarli się przez wielkie drzwi wejściowe do sali, walcząc z tłumem napierającym od zewnątrz. Kiedy przepychali się przez niego, potężny głos nieustannie atakował ich uszy:

— Odniosłem triumf nad śmiercią — obwieścił Demarzule. — Pokonałem wieki, i teraz przybywam do was, mój ludu. Jestem tutaj, aby poprowadzić was do gwiazd, oraz do Galaktyk leżących za tymi gwiazdami, gdzie samo wasze imię spowoduje, iż stwory z odległych światów zadrżą.

Każde jego słowo, przeszywało jak nóż serce Underwooda, ponieważ świadczyły one, że Demarzule już zrozumiał sytuację – i opanował ją całkowicie. A chociaż ludzie nie rozumieli co mówi, ton jego głosu przenosił znaczenie słów niemalże równie dobrze, i w masie czczących go Wyznawców nie było ani jednego, który by wątpił, że dla Ziemi zaświtał właśnie dzień nowej świetności.

Wszelkie pozory organizacji pod przywództwem krótkotrwałych proroków i kapłanów, takich jak Hennessey, zniknęły. Od początku nie można było myśleć o silnej organizacji, ponieważ ludzie nie ufali żadnemu człowiekowi na tyle aby stworzyć bardziej ścisłą czy skuteczną organizację.

To działało na korzyść naukowców. Demarzule zajmie sporo czasu, zanim zda sobie sprawę z istnienia opozycji i tożsamości wchodzących w jej skład naukowców. Ale z pewnością musiał być świadom próby zamachu na jego życie, pomyślał Underwood, chyba że do czasu kiedy woda zaczęła w komorze opadać, nie wróciła mu jeszcze pełna świadomość i Demarzule nie zdawał sobie sprawy ze znaczenia tego wydarzenia.

Ale Underwood specjalnie w to nie wierzył. Demarzule pokazał tak szybkie zrozumienie nastawienia Wyznawców, że pewnie cechowała go niesamowita dokładność semantyczna myślenia, która zawstydziłaby nawet największych ziemskich naukowców.

Trójka uciekinierów teraz, po przepchnięciu się do części tłumu, która nie widziała Demarzule, mogła poruszać się szybciej. Pod czarną kopułą skorupy pola siłowego, tak daleko jak tylko byli w stanie dostrzec, teren pomiędzy budynkiem a ścianą kopuły, wypełniony był przepychającymi się ludźmi. Słowa Demarzule docierały tu jedynie słabym echem.

— Północna brama — zaproponowała Illia. — Ona jest najszersza. Może system wartowniczy załamał się zupełnie…

Terry skinął głową.

— Wygląda, że może to być prawda. I tak położona jest ona najbliżej naszego latacza. Gdybyśmy mieli kłopoty, weź Illię na ręce i wyjaśniaj, że została poturbowana przez tłum. To może nam pomóc przejść przez bramę. Jeśli nie poskutkuje, miej w gotowości broń,

Underwood zgodził się z nim. Czuł się, jakby tkwił w jakimś koszmarze, walcząc o to aby się z niego obudzić – bezskutecznie. Zastanawiał się, co się mogło stać z innymi naukowcami pracującymi nad projektem i z tymi którzy próbowali zaatakować budynek. Czy wszyscy zginęli w tej krótkiej i daremnej bitwie?

Musiał przyznać w duchu, że czasami podczas tych długich dni pod nadzorem strażników Wyznawców, mocno się zastanawiał, czy naprawdę nie ma żadnej szansy na wykorzystanie wiedzy naukowej Demarzule bez zagrożeń. Ta nadzieja jednak, została ostatecznie i całkowicie zniszczona po ożywieniu Sirenianina. Demarzule nie zmienił się przez pół miliona lat.

Kiedy przeciskali się szaleńczo przez tłum, Underwood myślał także o kierunku działania, który prawdopodobnie wybierze Demarzule. Pewnie zgromadzi wokół siebie marionetkową grupę administratorów, którzy otrzymają przed ludźmi kapłańskie namaszczenie, z powodu swojej bliskości osoby Wielkiego. Organizacja ta zaciśnie szpony wokół Ziemi, wykorzystując ochoczych fanatyków, bezlitośnie rozbijając niewielkie ośrodki sprzeciwu, które mogą się pojawić.

Broń i fabryki świata będą do dyspozycji Wyznawców. A do tego dodać trzeba jeszcze straszliwą wiedzę naukową i nieznaną broń Sirenian.

Jaka siła mogłaby powstrzymać taką lawinę?

Odpowiedź brzmiała: Żadna. Nie było żadnej siły, która mogłaby uderzyć Demarzule, nic co mogliby zrobić naukowcy nie było w stanie zapobiec powstrzymaniu uwolnionych sił Ziemi przed rozlaniem się po Galaktykach.

Ucieczka. Było to jedyne wyjście dla tych, którzy chcieli uniknąć klęski. Ale, musi być coś więcej niż tylko ucieczka. Jakkolwiek beznadziejne by to się wydawało, wszyscy ziemscy naukowcy, których uda się zebrać, muszą się poświęcić obaleniu Demarzule, uratowaniu Ziemian przed obłąkanym kursem na podbój.

Wokół północnej bramy energia zniekształcenia pola siłowego, rozchodziła się w określonym miejscu, tworząc otwór w kopule. Wieści o powstaniu z martwych Wielkiego rozprzestrzeniały się jak wirus i za ścianą pola zebrały się tysiące ludzi, próbujących na próżno dostać się do środka. Kiedy nasza trójka torowała sobie drogę przez przejście, okazało się że nawet pozory straży przy wejściu do kopuły zniknęły, i bez problemów wydostali się poza nią, wychodząc na światło słoneczne, które Illii i

Underwoodowi wydało się wręcz oślepiające, po tym jak od tak dawna go nie widzieli.

Przez chwilę Underwood zastanawiał się, czy nie powinien zostać w budynku Carlsona i nie zaryzykować próby zastrzelenia Demarzule, kiedy wyjdzie on spod osłony wokół swojej wanny. Jednak zdecydował, że to nie ma sensu. Demarzule nie wyjdzie stamtąd, dopóki pomieszczenie nie zostanie oczyszczone, i wierni nie staną na straży z bronią gotową do strzału do każdego potencjalnego zabójcy.

Nie, wybrali jedyną drogę, jaka była przed nimi otwarta. W tej sytuacji byli na nią skazani; nie było już możliwości powrotu.

W końcu wydostali się na względnie pustą przestrzeń, gdzie mogli zacząć poruszać się szybciej. Underwood dostrzegł mały trzyosobowy latacz, stojący na wierzchołku niewielkiego wzniesienia terenu, o milę od muzeum.

— A co z innymi? — spytał Underwood, kiedy biegli w jego stronę. — Czy któremuś z nich udało się uciec?

— Nie wydaje mi się — odparł Terry. — Nie spodziewaliśmy się tego. Naszym celem było zniszczenie Demarzule, a w przypadku niepowodzenia, wydostanie stamtąd waszej dwójki.

Dwóch biegnących mężczyzn, jeden z zabandażowaną ręką, drugi z zalaną krwią twarzą, oraz blada jak ściana dziewczyna, ściągali na siebie niepożądaną uwagę, ale w końcu dotarli do wzniesienia, na którym znajdował się latacz i wsiedli do środka. Nie tracąc czasu na zbędne ruchy, Terry usiadł za sterami i wzbili się w powietrze.

Z powietrza Underwood popatrzył do tyłu w kierunku muzeum, świętego sanktuarium Wyznawców. Drogi prowadzące do tego miejsca, były czarne od ludzi – wiernych napływających do budynku aby na własne oczy ujrzeć Wielkiego i usłyszeć jego głos.

Zwrócił się do Terry'ego:

— Wyjaśnij mi, co się tu dzieje.

— Skontaktowali się ze mną – jak wiesz nie byłem podejrzewany przez policję – i zorganizowaliśmy niewielką grupę naukowców, których uznaliśmy, za godnych zaufania. Opowiedzieliśmy im wszystko o Demarzule, oraz o naszym błędzie i jego ożywieniu. Zorganizowaliśmy się w celu zniszczenia go wszelkimi możliwymi środkami, ale oczywiście nie mieliśmy żadnych środków do dyspozycji. Pole siłowe zabezpieczało Carlsona przed bezpośrednim atakiem, tak więc spróbowaliśmy infiltracji Wyznawców. Czterech z nas zostało złapanych i zabitych.

— Nie próbowaliśmy porozumieć się z tobą, ponieważ uznaliśmy iż jest to zbyt niebezpieczne, a wiedzieliśmy, że zrobisz wszystko, co będzie możliwe. Udało nam się wprowadzić dostatecznie wielu naszych członków na końcowe widowisko oraz przekazać broń paru naukowcom pracującym przy projekcie, ale najwyraźniej straciliśmy wszystkich naszych ludzi, nie robiąc Wielkiemu żadnej szkody. Naszą trójkę uratowało tylko wmieszanie się w tłum. Podejrzewam, że czuli się strasznie pewni, jeśli chodzi o

ochronę Demarzule, oraz że jest to jedyny powód, dla którego nie zagazowali całego tłumu, żeby nas dostać.

— Jaki będzie nasz następny ruch? — spytała Illia.

— „Lavoisier" przyleciał dwa tygodnie temu po zapasy. Większość załogi była po naszej stronie, a tych którzy nie byli już tam nie ma. Phyfe i Dreyer czekają na pokładzie z resztą naukowców z naszej grupy. Wszystko co możemy zrobić, to skierować statek dziobem do góry i wynosić się stąd tak szybko jak tylko będziemy w stanie lecieć. To może być tylko kwestia godzin, kiedy Demarzule dowie się o naszym istnieniu i wyśle za nami w pościg całą flotę. Kiedy już wydostaniemy się w kosmos, reszta zależy od szefa. — Kiwnął kciukiem w stronę Underwooda.

— Co przez to rozumiesz? — spytał Underwood.

— Rozumiem przez to, że jako jeden z najważniejszych fizyków, i jedyny oprócz nas, nieco mniej militarnie nastawionych archeologów i semantyków, człowiek rozumiejący gadaninę Sirenian, nie wspominając już o twojej znajomości Demarzule, czuj się wybrany jako prezes tej organizacji.

Underwood roześmiał się krótko i kwaśno.

— Ja jestem odpowiedzialny za ten bałagan, a więc to ja powinienem odpowiadać za posprzątanie go. Nie o to chodzi?

— Odeślemy cię na oddział psychiatryczny, jeśli nie przestaniesz tak gadać — ponuro oznajmił Terry.

— Przepraszam. Oczywiście, jestem wdzięczny, że reszta z was uważa, iż mogę się do czegoś przydać, ale obawiam się, że w tej chwili jeśli chodzi o sposoby wydostania się z tej sytuacji, to w mózgu mam kompletną pustkę.

— Jeśli sądzisz, że reszta z nas nie cierpi na to samo, to się grubo mulisz — wyjaśnił Terry. — Ale ty masz najlepsze kwalifikacje do tego, aby rozpoznać dobry sposób załatwienia Demarzule, jeśli na jakiś wpadniemy.

Underwood wpatrywał się do przodu, w coraz bardziej rosnące budynki, stanowiące bazę grupy naukowców do działań przeciwko Wyznawcom. Próbował sobie wyobrazić jak wyglądały ich ostatnie miesiące, ale nie wiedział przecież nic o setkach rozpaczliwych ucieczek, potyczkach ze strażnikami i funkcjonariuszami, szybkich zabójstwach w rozciągających się pod miastem głębinach.

Obok grupy budynków spoczywał wielki laboratoryjny statek kosmiczny „Lavoisier", lśniąc w słońcu wczesnego świtu. Nagle teren pod nimi przeorały jaskrawe błyski światła. Ilia dostrzegła je jako pierwsza:

— Strzały! — wykrzyknęła.

— Zostali zaatakowani! — zawołał Terry. — Musimy tam lądować, inaczej mogą odlecieć bez nas. Del, pod twoim siedzeniem są dwa ciężkie wypalacze. Włączymy się do strzelaniny.

Underwood wyciągnął broń, podczas gdy latacz pędził pośpiesznie w stronę lądowiska. Napastnicy prowadzili gęsty ogień z wejścia budynku położonego najbliżej „Lavoisiera", a inni policjanci otaczali również statek za osłoną dalej położonych krzewów.

— **P**rzelecę nad nimi — powiedział Terry. — Poczęstuj ich ogniem z obu luf.

Underwood otworzył owiewkę okna, i wystawił na zewnątrz czubki luf karabinów energetycznych. Nacisnął spust i w stronę ziemi wyrzucony został nieprzerwany strumień ognia, omiatając szeregi atakujących, którzy skulili się za krzakami i ogrodzeniami. Potem Terry szybko wywinął statkiem, żeby nie uderzyć w budynek i wystrzelił w górę. W tej samej chwili z dołu trafiło ich potężne wyładowanie.

— Dostaliśmy! — zawołał Terry. — Rozwalili nam silnik. Trzymajcie się, lądujemy awaryjnie. Spróbuję dolecieć do włazu statku.

Underwood wrócił do swoich karabinów, jakby nic się nie stało. Kiedy nos latacza pochylił się do dołu, wypalił do budynku, z którego doleciał niszczący strzał. Wydawało mu się, że usłyszał krzyk bólu, chociaż mógł to być tylko wizg wiatru na poszyciu małego latacza.

Teraz opadali już szybko, kierując się w stronę otwartego włazu wielkiego statku kosmicznego. Widać było jak kilku członków załogi i naukowców wyskakuje z niego z bronią gotową do strzału, aby osłaniać ich lądowanie. Pędząc w dół minęli już poziom górnej powierzchni kadłuba i ogromne stalowe płyty zdawały się przepływać koło okna latacza, jak rzeka metalu.

Zatrzymały się. Mocne uderzenie i Terry energicznym szarpnięciem otworzył drzwiczki. Wyskoczyli pomiędzy swymi obrońcami podczas gdy ogniste wiązki przelatywały wokół nich ze wszystkich stron w zalanym słońcem powietrzu.

— Do środka! — wykrzyknął jeden z mężczyzn. — Mało brakowało, a byśmy musieli odlecieć bez was. Zaraz sprowadzą posiłki. — To był Mason, fizyk.

Underwood skinął głową.

— Jesteśmy gotowi. Czy wszyscy, którzy mają lecieć, są na pokładzie?

— Tak.

Obok Underwooda rozległ się nagły krzyk i jeden z członków załogi upuścił broń, chwytając się za zranione ramię. Mason i Terry podtrzymali go z obu stron i zaciągnęli do statku. Underwood złapał dłoń Illii i przebiegł z nią przez właz. Za nimi, ostatni z ludzi, zatrzasnął z hukiem pokrywę i mocno ją dokręcił.

— Phyfe czeka na was w sterówce — poinformował ich Mason. — My zajmiemy się tu Petersem. Terry lepiej też zostań, to cię opatrzymy.

Underwood skinął głową i razem z Illią pobiegli szybko korytarzem. Mijali innych ludzi, skupionych na swoich zadaniach. Część z nich znali, innych widzieli pierwszy raz w życiu. Miał nadzieję, że Phyfe i Terry dobierali ich uważnie. Przed oczyma stanęło mu wspomnienie biologa, Cravena. Dotarli do wejścia do sterówki. Na technicznym miejscu dowodzenia stał kapitan Dawson, czekając na instrukcję do startu. Najwidoczniej do nadzorowania startu wyznaczony był Mason, ponieważ kiedy Underwood wchodził do środka, jego głos zabrzmiał w systemie audio. Phyfe skinął potwierdzająco głowę w stronę kapitana Dawsona.

— Lecimy!

Niemal natychmiast, statek wzniósł się w powietrze.

— Czekajcie! — zawołał Underwood, wpadając do sterówki.

Phyfe i Dawson spojrzeli w stronę drzwi.

— Nie ma możliwości, żebyśmy zaczekali — powiedział Phyfe. — Niemal już poświęciliśmy pana, Terry'ego i Illię. Policja szukała nas już od wielu tygodni, a teraz kiedy wyszliśmy na światło dzienne, nie będą szczędzili sił, żeby nas dopaść.

— Nie możemy lecieć bez zapisów Stroidów — wyjaśnił Underwood. — Terry powiedział mi, że zostałem wybrany do kierowania tym ustrojstwem. Jeżeli tak rzeczywiście jest, to mój pierwszy rozkaz brzmi, aby przed startem zabrać każdy skrawek zapisów Stroidów i każdy artefakt jaki kiedykolwiek znaleziono.

W międzyczasie do środka wszedł Dreyer i z zainteresowaniem przyglądał się mówiącemu Underwoodowi, ale nic nie powiedział.

— Dlaczego? — zapytał Phyfe. — Nie rozumiem.

— Kiedyś istniała pewna broń — wyjaśnił Underwood. — Broń, której Sirenianie się bali, która najwyraźniej była odpowiedzialna za przewagę, jaką mieli nad nimi Dragbora. Jeśli gdziekolwiek we Wszechświecie pozostał jakikolwiek ślad tej broni, naszym celem jest jego odszukanie. To może być jedyna szansa na pokonanie Demarzule.

Pozostali popatrzyli na niego, jakby zwątpili w jego zdrowe zmysły, a jednak mieli nadzieję że wpadł na trop jakiegoś rozwiązania.

— Ale to było pięćset tysięcy lat temu! — zauważył Phyfe. — Jak możemy pokładać nadzieję w znalezieniu broni, która znikła tak dawno temu? Nie mamy nawet żadnych wskazówek…

— Mamy zapisy Stroidów. To dlatego właśnie chcę je ze sobą zabrać.

— Ale Sirenianie zdawali się niczego nie wiedzieć o naturze tej broni.

— Nie jesteśmy tego pewni. Ale nawet jeśli tak było, to mamy jeszcze wielką cywilizację Dragbora. Nie wiemy czy oni do końca wymarli i nie wiemy gdzie mogą być – ale broń może być właśnie tam. A wskazówka do tego gdzie szukać, może być w zapisach Stroidów.

Dreyer skinął głową i wypuścił z ust potężny obłok dymu.

— On ma rację, Phyfe. Nie pomyśleliśmy o tym, ale to może być nasza jedyna szansa. A przynajmniej daje nam to jakiś cel, zamiast rzucania się w próżny, bezcelowy lot.

— Też tak myślę — przyznał z powątpiewaniem Phyfe. — Tylko nie wiem, jak…

— Ja się tym zajmę. Pokaż nam gdzie są te zapisy. Jako pierwsze zabierzemy repozytorium, jednak chciałbym aby na pokład trafiło wszystko.

Underwood odwrócił się szybko do Dawsona i rozkazał, żeby statek wylądował obok prowizorycznej budowli koło budynku muzeum Stroidów,

która mieściła repozytorium. Potem podszedł do statkowego interkomu i wyjaśnił planowany manewr. Poprosił o dwudziestu ochotników do obsadzenia skuterów i uzbrojenia, aby osłaniać tych, którzy będą przenosili zapisy.

W dole, na ziemi, policjanci, którzy obserwowali jak ich ofiara ucieka, teraz stali zaintrygowani, widząc że „Lavoisier" zawraca, przesuwa się powoli ponad grupą budynków, a potem zaczyna znowu lądować. Trzy mocno uzbrojone latacze policyjne wzbiły się w powietrze, krążąc wokół ogromnego statku kosmicznego.

To właśnie te latacze najbardziej zaprzątały uwagę Underwooda. Dwudziestka ludzi, wybrana spośród ochotników, zebrała się razem z nim wokół ekranów wizyjnych.

— Pierwszym waszym zadaniem będzie zestrzelenie tych lataczy — powiedział Underwood. — Potem dacie stałą osłonę dla tych z nas, którzy zejdą ze statku i przyniosą na niego zapisy. Idźcie do wyznaczonych śluz powietrznych. Dam wam sygnał kiedy każdy z lataczy znajdzie się w najlepszym miejscu do tego, by jedna z waszych grup go zaatakowała.

Byers, inżynier mechanik wyznaczony na kapitana całego tego zespołu, skinął głową.

— Nie będą nawet wiedzieli, kiedy dostaną — obiecał.

— Mam nadzieję — odparł Underwood. — No dobrze, zajmijcie stanowiska i zgłaszajcie, kiedy będziecie gotowi.

Ludzie wyszli z pomieszczenia, podczas gdy statek z wolna opadał na ziemię. Trzy policyjne latacze nadal latały dokoła z zabójczą determinacją. Po chwili sygnał od Byersa przekazał informację, że ludzie są na pozycjach i gotowi do akcji.

Underwood obserwował latacze. Jeden z nich był niewidoczny dla pozostałych, w pobliżu dziobu „Lavoisiera". Underwood zawołał ostro:

— Numer trzy, do ataku!

Niemal natychmiast za nic niepodejrzewającym policyjnym lataczem otworzyła się śluza i wyskoczyły z niej trzy skutery. Prowadzący je ludzie wystrzelili śmiertelną serię pocisków, która skoncentrowała się na ogonie latacza. Nagły rozbłysk ognia i latacz poleciał dziobem ku ziemi, ciągnąc za sobą ogon czarnego dymu. Jego załoga nawet nie wiedziała co ich trafiło.

Do tej pory jednak drugi latacz okrążył kadłub statku i trzy skutery zostały dostrzeżone. Policjanci wystrzelili i jeden ze skuterów spadł, znikając z zasięgu wzroku.

— **N**umer siedem! — rozkazał Underwood.

Śluza w pobliżu wierzchołka kadłuba otworzyła się i wypadło z niej kolejne trio skuterów. Latacz był pod nimi, i jego piloci mieli czas, żeby unieść wzrok i zobaczyć rozbłysk wystrzałów przebijających się przez przezroczysty bąbel osłony nad ich głowami. Nie mieli jednak już czasu, aby odpowiedzieć ogniem.

Teraz zaczął się wzmagać ostrzał sił naziemnych i prowadzący skutery musieli zacząć robić ostre uniki i skręty, aby uniknąć trafienia. Jednocześnie zanurkowali, schodząc blisko ziemi i zalewając atakujących deszczem ognia.

Z góry, z niszczącą furią, włączył się do walki trzeci latacz. Spadły dwa kolejne skutery. Underwood rozkazał pozostałym maszynom przejść do kontrataku. Równolegle kolejne wysypały się ze statku, przemknęły nad jedynym pozostałym lataczem niszczącą falą, strącając go prosto na siły naziemne.

Te ostatnie rozproszyły się i zaczęły szukać osłony przed narastającą destrukcją zadawaną im przez skutery.

— Proszę wyrównać pozycję włazu ładunkowego numer jeden z miejscem przechowywania repozytorium — poinstruował Underwood kapitana. — Je załadujemy jako pierwsze.

Statek osiadł na powierzchni ziemi, bez najmniejszego wstrząsu. Teren bezpośrednio wokół budynku z repozytorium został oczyszczony. Mason, przejmując dowodzenie nad operacją załadunku, rozkazał aby otworzyć właz. Na zewnątrz wyciągnięto przenośne podnośniki ładunkowe i poprzypinano je do końców wielkiego, artefaktu o fasetowym kształcie, którego ogromne rozmiary niemalże odpowiadały rozmiarom włazu.

Ukryci policjanci nadal prowadzili sporadyczny ogień, ale krążące w górze skutery sprowadzały go poniżej poziomu skuteczności, nie tracąc już nikogo ze swego składu.

Mason włączył prąd w podnośnikach ładunkowych i ogromy artefakt uniósł się z miejsca w którym spoczywał. Potem przywiązana do niego G-lina, zaczęła się zwijać, ciągnąc repozytorium w stronę statku.

Kiedy za ładunkiem szczęknął zamykany właz, Underwood mocno odetchnął.

— To była główna część naszej roboty! Jeszcze pół godziny na zabranie zapisów z samego budynku muzeum i skończymy zabawę.

Illia nagłe głośno zawołała:

— Dell! Budynek – stoi w ogniu!

Wszyscy obejrzeli się. Z muzeum, w którym spoczywały zapisy Stroidów wzbijały się fale dymu i trzaskających płomieni.

— Musieli domyślić się po co tu wróciliśmy — powiedział Phyfe — i podpalili budynek. Teraz nie na już szansy dotarcia do któregoś z nich.

— Nie, nieprawda! Większość z tych zapisów to metalowe tablice.

Underwood podszedł do interfonu.

— Wszyscy ludzie poza załogą startową mają założyć skafandry kosmiczne. Zabrać ze sobą broń ręczną i przygotować się do natychmiastowego wkroczenia do budynku muzeum.

— Co ty chcesz zrobić? — zawołała Illia.

Underwood był już koło najbliższej szafki, zmagając się z niezgrabnym skafandrem kosmicznym.

— Skafandry powinny stanowić na tyle dobrą ochronę przed ogniem, aby umożliwić każdemu człowiekowi przyniesienie choćby jednego ładunku.

Stary budynek, jakby symbol obecnych czasów, ochoczo poddał się płomieniom. Jego archaiczna, częściowo tylko odporna na ogień konstrukcja, umożliwiła rozwój pożaru, a system gaśniczy kompletnie zawiódł.

Underwood pośpiesznie przebiegł wzrokiem plan, narysowany mu przez Phyfe'a, wskazujący lokalizację miażdżącej większości zapisów, a następnie pobiegł do ładowni, w której inni ludzie czekali już niemal gotowi do wyjścia. Rozkazał każdej dwójce ludzi zabrać ze sobą podnośnik ładunkowy.

To była niesamowita procesja niemożliwych do opisania postaci, gramolących się niezdarnie ze statku, następnie wspinających się po schodach do płonącego budynku.

Underwood i Mason tworzyli jedną z par, ciągnących za sobą wiszący stopę ponad podłogą podnośnik. Niemal oślepieni przez dym, przebijali się przez korytarze, zmierzając do sal bibliotecznych, gdzie na półkach leżały zapisy sprzed pół miliona lat.

— Ładować! To jest to, o co nam chodzi! — zawołał Underwood.

Zobaczył jak grupa ludzi, przypominających stwory z jakichś fantastycznych piekieł, wpada za nim gromadą do wielkiego pomieszczenia. Zaczęli opróżniać półki, układając na podnośnikach wszystko co wpadło im w ręce.

Drewniane belki wspierające dach o wysokiej, archaicznej konstrukcji, były suche jak pieprz i ogarnęły je potężne płomienie. Gdzieś z zewnątrz, spoza zasięgu ich wzroku, wpadło wyładowanie z broni energetycznej, wypełniając powietrze pyłem z tynku i muru.

— Nie ma czasu na więcej — oznajmił Mason. — Nasz podnośnik jest pełny. Chodźmy.

Underwood pchnął podnośnik w stronę drzwi, którymi tutaj weszli. Bezwładność wózka i jego ładunku, była jedynym czynnikiem jaki należało pokonać.

— Ty pociągnij podnośnik — powiedział Underwood. — Ja wezmę jeszcze na ręce.

Kiedy Mason zniknął na zewnątrz, w kłębach dymu, Underwood nabrał pełne naręcze materiałów. Potem, niemalże na ślepo, zaczął szukać wyjścia.

Niemal wszyscy inni załadowali już i wyciągali swoje podnośniki. Underwood popatrzył za siebie. Jakie tajemnice mogły jeszcze leżeć tutaj pośród tych zapisów, które musieli pozostawić! Miał nadzieję, że bogowie prawdopodobieństwa byli dla nich litościwi, wsuwając im w dłonie takie zapisy, które pozwolą poprowadzić naukowców do starożytnego wroga Imperium Sirenian, Dragbora, których straszliwa broń tak przerażała kiedyś sireniańskie hordy.

Z powrotem na statku, Underwood spojrzał z tęsknotą do tyłu, na ogarnięty płomieniami budynek. Nie było sensu próbować kolejnej tury.

Policjanci najwyraźniej mieli nadzieję, że ogień zniszczy cele naukowców, ale po udanej ewakuacji ton zapisów i artefaktów, wznowili swój atak z narastającą furią.

Underwood wezwał Byersa i innych prowadzących skutery, aby wracali. Powoli siły osłonowe wycofywały się na statek, a w trakcie tej akcji, policjanci zaczęli strzelać do otwartych włazów. Skutery przybywały na statek, niejeden z nich przyniósł ma pokładzie śmiertelnie rannego członka załogi.

Łącznie wróciło ich tylko czternaście.

— To wszyscy — ponuro oznajmił Byers. — Reszta chłopców nie wróci.

Przez kilka ciężkich chwil niepewności, Undrewood zastanawiał się, czy jego żądanie zabrania zapisów, warte było tej ofiary. Musiało być, powiedział sobie w myśli. Bez nadziei zdobycia broni, która pokona Sirenianina, nie było sensu lecieć w kosmos.

Wrócił do sterówki i wydał rozkaz podniesienia statku.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przez iluminator Underwood widział, jak pobliskie budynki pozostają coraz bardziej w dole. Tarcza Słońca wyskoczyła ponad horyzont i skąpała ich w złocistej jasności. Potem pilot poruszył sterami i na statek zadziałało nagłe, miażdżące przyśpieszenie. Dla jego załogi było ono jednak niezauważalne.

Phyfe opadł bezwładnie na wyściełany fotel koło stołu nawigacyjnego, jak zmęczony stary człowiek, którym w końcu był.

— Wygląda, jakby miał pan naprawdę ciężki okres, od czasu kiedy pana ostatnio widziałem — zauważył Underwood.

Phyfe uśmiechnął się lekceważąco.

— Przez pięćdziesiąt lat byłem uczonym i archeologiem. Na stare lata znalazłem się w środku ogólnoplanetarnego kryzysu, i mam nadzieję że jakoś dam sobie z tym radę.

— Jak do tej pory wykonał pan doskonałą pracę.

— Ja nie potrafiłem dowodzić w satysfakcjonujący sposób nawet ekspedycją archeologiczną, a już z pewnością nie tego rodzaju grupą. Terry byłby w stanie to zrobić, ale brakuje mu pańskiej wiedzy z fizyki. Mason też by się nadawał, ale nic nie wie o Sirenianach. Spomiędzy nas, pan ma najlepsze kwalifikacje do tej roboty.

— Chciałbym być pewien, że reszta też tak myśli. Może nie byłoby takim złym pomysłem przeprowadzenie wyborów.

— No, w każdym bądź razie, będziemy musieli zwołać spotkanie nas wszystkich. Wielu z naukowców nie jest do końca zaznajomionych z problemem. Powinni się zorganizować zgodnie ze swymi specjalnościami, tak byśmy mogli przygotować jakieś systemy obronne.

Statek nie doleciał jeszcze nawet do orbity Księżyca, kiedy zwołano spotkanie stu dwudziestu pięciu naukowców i członków załogi „Lavoisiera”. Phyfe jako nominalny przewodniczący, formalnie przedstawił wszystkim Underwooda, jako przywódcę całej grupy. Akceptacja była jednomyślna i entuzjastyczna, ponieważ Underwood znany był wszystkim przynajmniej z reputacji, jeśli nie osobiście.

Naszkicował pokrótce wydarzenia związane z odnalezieniem i przywróceniem do życia Demarzule, daremne próby oporu naukowców przeciwko żądaniu przez ludzkość nowego boga. Następnie poprosił Dreyera o opisanie właściwości nieprzyjaciela z którym walczyli.

— W minionych wiekach ziemskiej historii — rozpoczął Dreyer, — pojawiali się oczywiście zdobywcy, imperatorzy, dyktatorzy i tyrani, ale nie

kalibru Sirenianina Demarzule. Dla Sirenian, podbój i walka o przywództwo były równie ważne jak jedzenie. Kiedy rozprzestrzeniali się po Galaktyce, możliwe było dla nich wyłącznie jedno z dwu rozwiązań, całkowite panowanie nad Galaktykami – albo wyginięcie. Bez wątpienia dla naszej planety, fakt że Dragbora udało się ich zniszczyć, był bardzo fortunnym wydarzeniem.

— Co do naszego obecnego problemu, Demarzule wpoi ludziom na Ziemi ideę ich absolutnej wyższości, nad wszystkimi innymi rasami we Wszechświecie. Ludzkość dojrzała do akceptacji takiej doktryny. Sirenianin wykorzysta nadnaturalny aspekt swojego pojawienia się między nami i będzie zachęcał do nastawienia pełnego czci. Potem zacznie, jak mi się wydaje, tworzyć flotę wojenną, budować broń i zbierać armie – nie chodzi mi o statki i uzbrojenie jakie mamy obecnie, ale wszystko najlepsze co sireniańska nauka była w stanie wyprodukować pół miliona lat temu.

— W ciągu kilku następnych godzin, z pewnością dowie się o naszej ucieczce i o tym, że jesteśmy jego wrogami. Nie ma chyba możliwości, aby nie wysłał za nami statków pościgowych w celu zniszczenia nas. Naszą jedyną szansą jest znaleźć się tak daleko od nich, aby nie były w stanie nas schwytać. Przynajmniej za daleko dla ziemskich statków. Do czasu kiedy zbuduje się sireniańskie konstrukcje, musimy znaleźć rozwiązanie tej sytuacji.

— Taka jest więc natura problemu, któremu przyszło nam stawić czoła. Jedną z naszych nadziei – a jest ona dosyć wątła – wydaje się być odnalezienie broni, przy pomocy której Dragbora pokonali przed wiekami sireniańskie hordy. Jeżeli pozostaniemy w ograniczeniach naszej wiedzy naukowej, jestem przekonany, że problem jest beznadziejny, chociaż jestem również świadom, że na szczęście są wśród nas ludzie, których umysły różnią się radykalnie od mojego, i być może nie przyznają się one do porażki, nawet w obrębie tych ograniczeń.

— **N**iektórzy z was byli przeciwko naszej ucieczce, argumentując to tym, że powinniśmy zostać na Ziemi i kierować podziemnym ruchem opozycyjnym. Tak twierdzili ci, którzy nie dokonali poprawnej oceny nieprzyjaciela. Chciałbym, żebyście zrozumieli, że tego rodzaju ruch byłby zupełnie daremny. Ruch podziemny może odnieść sukces, jeśli broni uciskanej większości przeciwko mniejszej liczbie rządzących. Ludzkość chce Demarzule. Nigdy o tym nie zapominajcie. To dlatego musimy uciekać.

— Ale my nie walczymy z naszymi współbraćmi; ich błędy mają korzenie w ciemnych procesach ewolucji i rozwoju rasowego. Pojawienie się Demarzule jest jednak czynnikiem zewnętrznym, którego ta ewolucja nie uwzględnia. Bez obcego, ludzkość w końcu osiągnęłaby dojrzałość i równowagę, wychodząc z konfliktów okresu dojrzewania rasy. Jeśli Demarzule zostanie bogiem i przywódcą, pokolenia rozwoju mogą zostać utracone.

— Musicie pamiętać, że wybraliśmy jedyny możliwy sposób postępowania – ucieczkę. W obliczu rasowo starego Demarzule, my jesteśmy tylko dziećmi. On jest nadczłowiekiem z wyższej rasy, która wyprzedzała nas już na długo zanim nasi pierwsi żyjący w jaskiniach przodkowie odkryli ogień. Miejmy nadzieję, że znajdziemy broń Dragbora, aby nasz gatunek mógł wrócić do wspinania się po długiej drabinie ewolucji, z której tak bardzo się obsunęliśmy.

Po przemowie Dreyera w grupie stojących przez Underwoodem ludzi zapadła poważna cisza. Semantyk po raz pierwszy uświadomił większości z nich, ogrom zagrożenia, któremu musieli stawić czoła.

Następnie przeszli do podziału dużej grupy na mniejsze, zgodnie ze swoimi specjalnościami. Underwood stwierdził, że mieli przewagę fizyków i biologów. Trzydziestu fizyków zebrało się pod przywództwem Masona. Na nich spadło zadanie badania możliwości konstrukcji uzbrojenia i urządzeń obronnych, które mogłyby zostać wykorzystane przeciwko atakom, jakie z pewnością nastąpią.

Ludzie o kwalifikacjach ściśle inżynieryjnych, również zostali przydzieleni do grupy Masona.

Grupa biologiczna obejmowała dwunastu chirurgów i czterech psychiatrów, pod kierownictwem Illii. Dreyer i jego koledzy semantycy zostali przydzieleni razem z archeologami do badania uratowanych przed ogniem zapisów, w nadziei odnalezienia wskazówek odnośnie planety Dragbora i broni która może tam się znajdować.

Większość przedstawicieli nauk fizycznych posiadała w rozmaitym stopniu umiejętności pracy z narzędziami, maszynami oraz różnymi urządzeniami, i mogli oni pomagać w wytwarzaniu uzbrojenia dla statku.

Pierwszym z ich zadań było wyekwipowanie statku w ekrany absorbujące, zapobiegające odbijaniu promieni radarowych, oraz znoszące działanie środków umożliwiających wykrycie ich z Ziemi. Był to względnie prosty projekt i został on zakończony przed końcem ich pierwszego dwudziestoczterogodzinnego okresu pobytu w kosmosie. Dzięki temu mogli zostać wykryci z Ziemi jedynie przy pomocy środków astronomicznych i z każdą upływającą godziną, możliwość ta stawała się coraz bardziej odległa. Underwood jednakże, nie mógł pozbyć się niepokoju, dręczącego go w związku z pościgiem, który jak wiedział musiał mieć miejsce.

Po sześciu dniach w kosmosie i sto tysięcy lat świetlnych od Ziemi, Phyfe odkrył pierwsze oznaki, że fortuna im sprzyja.

On i Dreyer, razem z Terrym, Underwoodem i innymi semantykami oraz archeologami, pracowali w jednej, dużej komorze, studiując tam zabrane z muzeum zapisy. Nagle panującą w pomieszczeniu ciszę przerwał okrzyk Phyfe'a. Trzymał w ręku mały metalowy zwój, nadtopiony po zewnętrznej stronie, ale po rozwinięciu jego spiralnej taśmy, można było odłamać stopioną część.

— Wygląda na to, że to może być dziennik jednego z uciekających statków — wyjaśnił. — Popatrzcie panowie tylko.

Underwood pochylił się nad niewielką maszyną przeznaczoną do emitowania odpowiedniego promieniowania, dzięki któremu znaki stawały

się widoczne. Normalnie odznaczały się one wyraźnie na ciemnym, metalicznym tle, ale tym razem były ciemne, niemalże nieczytelne. Czytał powoli, na głos.

— Meathes. 2192903. Jeden detela od opuszczenia Sirenii. Rozpoznanie zameldowało o statkach Dragbora w zasięgu sensorów. Jest ich tysiąc, co oznacza że mają przewagę liczebną dziesięć do jednego. Kurs lotu 3827…

Underwood uniósł wzrok. Nie mógł dalej odczytać.

— Ta ostatnia liczba…

— Może oznacza ona relację między ich flotą i ojczystą planetą? — stwierdził Phyfe.

— Bardziej prawdopodobne, że to będzie kurs floty Dragboran względem sireniańskiej. W każdym razie, tego rodzaju liczby mogą być dla nas wskazówką co do lokalizacji planet, ponieważ możemy je powiązać z punktami odniesienia z ich Galaktyki. Problem jednak polega na znalezieniu tych punktów odniesienia. Dla nas byłyby one całkowicie arbitralne. Ale gdyby to był dziennik statku, mógłby zawierać wzmianki na temat lokalizacji planet oraz ich Galaktyki, które będziemy mogli zidentyfikować. Jeśli uda nam się określić zmiany w położeniu astronomicznym, jakie zaszły w ciągu pięciuset tysięcy lat.

Wyjął zwój z maszyny i przyjrzał mu się dokładniej.

— Próby wydobycia z tego czegoś więcej, są niemal beznadziejne. Jest jakiś inny zapis, który znaleźliśmy w pobliżu tego?

Phyfe sprawdził zapiski i pokręcił przecząco głową.

— Ten zwój znaleziono przyklejony do kompletnie stopionej masy żelastwa, najwidoczniej części statku, w której się znajdował, kiedy uderzyli Dragbora. Możemy wysłać go do laboratorium do rekonstrukcji. Niewykluczone, że uda się coś z niego odczytać.

Po czterech godzinach otrzymali z laboratorium kopię zapisu, zrekonstruowaną w takim stopniu, jak to tylko było możliwe. Pozostały w nim jednak długie przerwy, zupełnie niezrozumiałe. Underwood ustawił czytnik na maksymalny poziom promieniowania, co pomagało wyodrębnić znaki, ale także szybko je wypalało, jeśli zbyt długo były mu poddawane. Nagle złapał głęboki oddech.

— Posłuchajcie panowie tego: „Nasze obecne położenie to 6749367 Sirenia, przelecieliśmy 84 tre-doma, Sirenia. Za dwa te-ela, lądujemy. Może po raz ostatni…

— To jest to! — zwołał Phyfe.

— Mamy wszystko, poza kluczem do ich układu współrzędnych — stwierdził Underwood. — Dreyer, czy widzi pan jakieś możliwości interpretacji tego?

Semantyk pokręcił głową.

— System musi się opierać na całkowicie arbitralnych punktach odniesienia, podobnie jak nasz. Nie widzę żadnej szansy jego określenia

przy pomocy liczb jakie mamy do dyspozycji. Może nasi astronomowie będą w stanie coś zasugerować.

Masterson i Ebert, dwaj astronomowie znajdujący się w grupie, zostali oderwani od swoich zadań związanych z tworzeniem map gwiezdnych Wszechświata, pół miliona lat temu. Zastanowili się nad podanymi im przez Underwooda faktami.

Masterson odpowiedział:

— Obawiam się, że współrzędne podane przez Sirenian, nie zdadzą się na zbyt wiele. Odległość jest przydatna. To co wiemy, wskazuje nam tylko, że mamy do czynienia ze sferą o promieniu w przybliżeniu równym dziewięćdziesięciu milionom lat świetlnych od Układu Słonecznego. Tak więc, w najlepszym przypadku musielibyśmy przeszukać obszar powłoki odpowiadający tej sferze, o grubości kilku tysięcy lat świetlnych. Gdyby udało nam się określić choćby w przybliżeniu, odpowiedni sektor tej powłoki, moglibyśmy szybko ustalić układy planetarne, mogące należeć do Dragbora i Sirenian. Ale jeśli nie damy rady zawęzić poszukiwań do możliwych sektorów tej powłoki, zadanie staje się niemożliwe do realizacji. Nawet jedno odniesienie do jakiegoś obiektu we Wszechświecie, który bylibyśmy w stanie zidentyfikować, być może załatwiałoby sprawę.

Underwood i Dreyer, musieli zgodzić się z tą opinią. Coś jednak udało im się uzyskać. Gdyby tylko znaleźli jeszcze choćby jeden strzępek przydatnej informacji astronomicznej, mogłoby im to dać potrzebny klucz.

Poszukiwania tego klucza w zapisach i artefaktach, trwało dalej. Samo repozytorium zostało przeszukane cal po calu – i ciągle niemal żaden ze znalezionych tam artefaktów, nie dawał się zidentyfikować i objaśnić. Poza repozytorium, większość posiadanego przez nich materiału, pochodziło z planety na której wylądowali Sirenianie.

Do ósmego dnia podróży, ekipie Masona udało się skonstruować urządzenia wytwarzające skorupę pola siłowego wokół „Lavoisiera", i Underwood wyraźnie odetchnął. Pod osłoną tej nieprzenikalnej tarczy mogli lecieć w nieskończoność. Dane nawigacyjne otrzymywane były przez zestaw nieskończenie małych jednostek pilotowanych, na zewnątrz osłony, połączonych ze statkiem cienkimi jak włos przewodami, przechodzącymi przez równie małe otwory w polu siłowym.

Underwood był dumny z tego osiągnięcia. Przy ich ograniczonych zasobach wytwórczych, niewiele tylko odbiegało od cudu, że w tak krótkim czasie udało im się przerobić masę skomplikowanego sprzętu. W jakiś sposób wydało mu się to symboliczne, tak jakby istniały określone prawa przyrody, wspomagające ich sukces – sukces Ziemi.

Później jednak, tego samego ósmego dnia, kiedy już niemalże osiągnęli zasięg na jakim możliwa jest identyfikacja niewielkich, ciemnych obiektów, pełniący służbę obserwator rozpoznania przekazał do centrum sterowania ostrzeżenie:

— Z Ziemi wystartowała flota. Dwadzieścia okrętów. Typ „Corius". Widoczny kurs 169 46 12 i 48 19 06. Prędkość…

Underwood popatrzył na Phyfe’a, który akurat był koło niego.

— A więc, jednak — powiedział.

Ostrzeżenie rozeszło się po całym statku i ludzie na chwilę unieśli głowy znad swojej pracy, a potem wznowili ją, z bardziej ponurymi oczyma i bardziej zaciętymi ustami. Grupa Masona pracowała nad problemem, który zajmował specjalistów od uzbrojenia już od pokoleń, problemie strzelania Wiązką Atomową przez pole siłowe. Underwood miał niewielką nadzieję, że uda im się go rozwiązać, ale gdyby się to stało, specjalnie by się nie obraził.

Kiedy Underwood razem Phyfem podszedł do stołu nawigacyjnego, żeby sprawdzić ich kurs, oraz kurs ścigającej ich floty, stwierdził:

— Zastanawiam się w jaki sposób nas dostrzegli. Nie mogli przebić się przez nasz ekran antyradarowy. Pewnie to zwykłe astronomiczne szczęście naprowadziło ich na nasz ślad.

Porucznik Wilson, nawigator, zmarszczył brwi wskazując na wykreślone kursy.

— Nie wydaje mi się, żeby ta flota leciała za nami — zauważył. — Jeśli tak jest, to lecą strasznie naokoło, ponieważ ich obecny kurs odchyla się o ponad czternaście stopni od naszego.

Phyfe i Underwood analizowali trajektorie, przedłużali je dalej w kosmos, oceniając szybkość z jaką flota mogłaby się zbliżać, zakładając większą prędkość jej lotu i rozmaite kursy.

— Dosyć łatwo możemy określić, czy oni nas ścigają, czy nie — powiedział Underwood. — Wystarczy po prostu zmienić nasz kurs o dziewięćdziesiąt stopni. Może oni w ogóle nas nie wykryli, tylko strzelają w ciemno, lecąc w różnych kierunkach które mogliśmy wybrać, określonych na podstawie obserwacji policjantów, kiedy startowaliśmy. W takim przypadku, ich jedyną nadzieją jest znaleźć się na tyle blisko, aby otrzymać odpowiednie echa radarowe.

Dreyer usłyszał wieści przez interfon i przyszedł do kabiny nawigacyjnej. Usłyszał ostatnie zdanie wypowiedziane przez Underwooda.

— Demarzule nie wysłałby ich w kosmos, tylko po to by łowili na ślepo — stwierdził stanowczo.

— A więc, czemu to zrobił? — spytał Underwood, ale w jego własnej głowie wykluła się właśnie szalona teoria. Zastanawiał się, Czy Dreyer ją potwierdzi.

— Gdybyśmy tak po prostu uciekli na ślepo w kosmos, Demarzule by się nami nie przejmował. Ale ponieważ lecimy w takie miejsce, że nasze przybycie tam miałoby dla niego fatalne skutki – musiał się przejąć.

Oczy Underwooda rozbłysły. Wyczytał w twarzy Dreyera te same konkluzje, do których sam doszedł.

— Czyli Demarzule wysłał flotę, nie specjalnie za nami, ale do miejsca przeznaczenia, do którego nie chce, abyśmy my dotarli. Tak więc ta flota kieruje się na planetę Dragboran!

— Nie tak szybko! — sprzeciwił się Phyfe. — Demarzule musiałby zakładać, że my wiemy, gdzie ona jest. Nie miał podstaw do przyjęcia takiego założenia.

Dreyer pokręcił głową.

— On nie ma pojęcia, czy znamy do niej drogę, czy nie. Wie tylko, że musi pilnować tej planety przed każdą możliwą akcją eksploatacyjną z naszej strony. Jeśli tam nie lecimy, nie stanowimy dla niego zagrożenia. Jeśli lecimy, na miejscu będzie flota, by się nami zająć.

Phyfe zastanowił się, a potem powoli skinął głową.

— Masz rację.

— I w ten sposób Demarzule sam wskaże nam drogę do broni Dragboran! — podsumował gwałtownie Underwood.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kurs uległ zmianie, tak by „Lavoisier” leciał równolegle do statków ziemskiej floty. Przyśpieszenie zostało zwiększone do poziomu dwudziestoprocentowego przeciążenia jednostek inercyjnych, zmuszając do tego, by każdy człowiek korzystał z własnego niewielkiego podnośnika ładunkowego redukującego jego wyższą wagę.

Flota nieustannie posuwała się naprzód, zmniejszając odległość między nimi, ale Underwood czuł pewność że odległość pomiędzy ich równoległymi kursami, była wystarczająco duża, aby uniemożliwić wykrycie ich, przy pomocy wszelkich środków, jakie okręty floty mogły nieść na pokładzie.

W ludzi na statku wstąpiło nowe życie, okresy robocze i snu mijały szybko. Łatwiej było skoncentrować się na swojej pracy teraz, kiedy wszyscy czuli, że zmierzają w stronę swego ostatecznego celu – nie śmieli wątpić, że cel ten przyniesie im to, co mieli nadzieję uzyskać.

Prowadzono, pod kierunkiem Phyfe’a, codzienne lekcje na temat cywilizacji sireniańskiej. Każdy istniejący fakt próbowano rozważyć z sireniańskiego punktu widzenia i przewidywać jego znaczenie semantyczne dla tej rasy pradawnych zdobywców.

Oceniano, że podróż potrwa w przybliżeniu trzy miesiące. Kiedy flota przeciągnęła ich poza połowę drogi, urządzono małe, zaimprowizowane przyjęcie. Od tej pory rozpoczął się desperacki wyścig, żeby tamte statki nie uciekły poza zasięg przyrządów „Lavoisiera”.

W ostatnim tygodniu trzeciego miesiąca, zaobserwowano nagłe, ostre hamowanie statków ziemskiej floty wojennej. Underwood poderwał na nogi całą załogę. Jeśli jego domysły były prawdziwe, znajdowali się w zasięgu paruset tysięcy lat świetlnych od planety Dragbora.

Kiedy „Lavoisier” wytracał część swej ogromnej prędkości, poprzez otwarcie rozpraszaczy entropijnych, flota zdawała się kierować do niewielkiej galaktyki, z grupą żółtych gwiazd w pobliżu jej zewnętrznego obrzeża.

Underwood pozwolił, aby statek zmniejszył nieco ogromny odstęp między nim a nieprzyjacielem, ale chciał zachować rozsądną odległość, ponieważ flota po dotarciu na miejsce i stwierdzeniu, że „Lavoisiera” tam nie ma, na pewno zacznie skanowanie nieba obcej planety, w poszukiwaniu uciekinierów.

Zaobserwowano w końcu, że flota zbliża się do jednej z żółtych gwiazd, która posiadała układ pięciu planet. Statki skierowały się ku czwartej

planecie. Underwood obserwował jak sześć z dwudziestu statków ląduje na jej powierzchni.

— Ustawmy się za którąś z pozostałych planet — poinstruował kapitana Dawsona. — Druga wydaje się najbliższa. Potem możemy się przekraść i podlecieć za księżyc czwartej. Prawdopodobnie wylądujemy na nim i przyjrzymy się flocie, zanim zdecydujemy o naszym następnym ruchu.

Jedyna wada proponowanego manewru wiązała się z tym, że w trakcie jego wykonywania nie mogli dostatecznie dokładnie pilnować floty. Wychynęli z cienia planety na dwie godziny, a potem już zasłonił ich księżyc czwartej. W trakcie tego przeskoku, skryli się w świetle słońca i nie widzieli żadnych śladów aktywności floty. Fotografowie zajęli się robieniem zdjęć świata Dragboran.

Podobnie jak druga planeta, księżyc na pierwszy rzut oka wydawał się jałowym, pozbawionym życia globem, ale kiedy zbliżyli się bardziej i przesunęli kawałek wzdłuż jego liczącego mniej więcej sześć tysięcy mil obwodu, znaleźli obszar bujnej roślinności, zajmujący około jednej ósmej powierzchni.

W chwili ich przybycia, był on akurat po nocnej stronie. Nie było widać śladu żadnych mieszkańców, chociaż kiedy opadali na powierzchnię, Underwoodowi zdawało się przez chwilę, że zauważył słup dymu wznoszący się spiralnie w niebo w mrokach nocy. Po chwili jednak zniknął, a on nie był pewien, czy naprawdę coś widział.

„Lavoisier” wylądował na trawiastym podłożu polany zarośniętego zakątka, poza tym jałowego świata.

W tej samej chwili do sterówki wszedł Mason.

— Nie wiem, czego wy się spodziewaliście znaleźć na tej planecie w dole — stwierdził. Podał Underwoodowi plik fotografii. — Musieliśmy gdzieś popełnić jakiś gruby błąd.

Underwood poczuł użądlenie strachu.

— Dlaczego? Co się stało?

— Jeśli tam ktokolwiek mieszka, to chyba siedzi w hermetycznym zamknięciu. Na planecie nie ma ani śladu atmosfery.

— A więc, cała sprawa zmienia się w problem archeologiczny — powiedział Phyfe. — Byłoby zbytnim optymizmem spodziewać się, że rozwinięta cywilizacja taka jak dragborańska, mogłaby przetrwać pół miliona lat. Ale, zdjęcia – co na nich jest?

Rzucił okiem nad ramieniem Underwooda.

— Tam są miasta! Nie ma więc wątpliwości, że planeta była kiedyś zamieszkana. Ale one wyglądają, jakby je dopiero wczoraj opuszczono!

— To można wyjaśnić brakiem atmosfery — zauważył Underwood. — Na planecie pozbawionej powietrza, te miasta nie mogły zostać pogrzebane pod wydmami naniesionego piachu. Jakiś gigantyczny kataklizm musiał jednocześnie usunąć z powierzchni planety zarówno atmosferę jak i życie. Dzięki temu, nasz problem może staje się raczej prostszy, niż trudniejszy. Jeśli ta destrukcja nastąpiła stosunkowo krótko, po pokonaniu Sirenian przez Dragbora, w tych ruinach mogły pozostać widoczne ślady ich broni.

Kiedy po wylądowaniu, Dreyer, Terry i Illia zebrali się w kabinie sterówki, przeprowadzono zaimprowizowaną naradę wojenną.

— Będziemy musieli poczekać aż flota zrezygnuje i wróci na Ziemię — powiedział Terry. — Nie ma możliwości, żeby usunąć ich z drogi.

— A skąd wiadomo, że oni w ogóle zrezygnują? — spytała Illia. — To może być stała straż.

— Nie wiemy, co zrobią — zgodził się Underwood. — A przynajmniej mogą tutaj zostać przez całe miesiące, a my nie możemy tak długo czekać. Nawet dwadzieścia statków, to nie jest aż tak duża siła do pilnowania planety tych rozmiarów. Mój plan polega na tym, aby wykonać nocne lądowanie na jakimś pustym obszarze, a potem przesunąć powoli statek do któregoś z większych miast, i tam go ukryć. Możemy przeprowadzić zwiad przy pomocy skuterów, żeby ustalić czy w mieście nie ma nikogo z floty. Jeśli ktoś będzie, przeniesiemy się dalej, jeśli nie – możemy zacząć poszukiwania. Nie ma różnicy gdzie zaczniemy, dopóki nie zdobędziemy jakiegoś pojęcia o historii cywilizacji Dragboran.

— To takie beznadziejne! — Phyfe szaleńczo pokręcił głową. — Przebadanie i przeanalizowanie takich ruin, jak te na dole, to mógłby być projekt dla tysiąca archeologów na sto lat, a tutaj proponuje nam pan, aby setka z nas zrobiła to w kilka tygodni – w tym samym czasie kryjąc się przed śmiertelnym wrogiem. To jest zupełnie niemożliwe.

— Jestem nieco innego zdania — odparł Underwood. — Szukamy tylko jednej rzeczy. Wiemy, że jest to broń. Dosyć rozsądne wydaje się założenie, że pisma i historia Dragbora mogą się do niej szeroko odnosić, jako że była ona środkiem do zniszczenia rywalizującego z nimi imperium. Jedynym prawdziwym problemem jest ta flota, ale myślę że będziemy w stanie pracować im pod nosem, przez dosyć długi okres czasu.

— Jesteś nieuleczalnym optymistą — stwierdził Terry.

— Tak samo, jak i reszta z was, inaczej nigdy byście się nie puścili w tę podróż.

— Skłonna jestem z tym się zgodzić — przyznała Illia. — Chciałabym zasugerować tylko jedną rzecz. Jeśli ten księżyc w ogóle nadaje się do życia, to uważam, że powinniśmy wziąć sobie dzień czy dwa wolnego i rozprostować trochę nogi na dworze, żeby złapać odrobinę słońca.

Co do tego nie było żadnego sprzeciwu.

Świt na księżycu planety Dragboran niemal odpowiadał końcowi ich okresu snu. Przeprowadzono analizę panujących na zewnątrz warunków. Atmosfera okazała się odpowiednia, chociaż rzadka. Temperatura na zewnątrz była wysoka, tak jak się spodziewano na podstawie niewielkiej odległości od słońca.

Kiedy Underwood rozkazał uniesienie pola siłowego i otwarcie włazu, spotkało go tak wstrząsające zaskoczenie, że aż głośno krzyknął. Illia, która szła kawałek za nim, natychmiast do niego podbiegła:

— Co się stało, Del?

Jego palec wskazał, na grupę postaci u podstawy statku. Z wyglądu były one zupełnie humanoidalne – w taki sam sposób, jak Demarzule. Wyżsi niż Ziemianie, miedzianoskórzy, obserwowali właz wejściowy i nisko się skłonili przed Underwoodem i Illią.

Tubylców było czworo, zgrupowanych wokół piątej postaci, leżącej na noszach.

— Może powinniśmy zrezygnować z wychodzenia poza statek — powiedział z wątpliwością w głosie Underwood. — Po co nam wplątywać się w kłopoty z przesądnymi tubylcami. Nie mamy na to czasu.

— Nie, zaczekaj Dell. Ten leżący na noszach jest ranny — odparła Illia. — Chyba przynieśli go tutaj, żeby się z nami zobaczyć. Może będziemy mogli coś dla niego zrobić.

Underwood wiedział, że nie ma sensu przeciwstawiać się jej chęci niesienia pomocy. Powiedział więc tylko:

— Wezwijmy Dreyera. Może on będzie w stanie dogadać się z nimi.

Dreyer, Phyfe i Nichols już zbliżali się całą grupą do włazu. Byli bardzo podekscytowani informacją Underwooda.

— Oni mogą być odgałęzieniem, albo nawet potomkami dragborańskiej lub sireniańskiej cywilizacji — stwierdził Phyfe. — W obydwu przypadkach może uda nam się znaleźć coś użytecznego dla nas.

— Ci tutaj sądzą, że jesteśmy bogami. Chcą, żebyśmy wyleczyli ich rannego — skrzywił się Underwood. — Raczej nie ma szansy uzyskania czegoś użytecznego od tak pierwotnego społeczeństwa jak to.

Semantyk wyjrzał z włazu i popatrzył na niewielką grupę. Nagle wydał z siebie coś przypominającego serię chrząknięć o zmieniającej się modulacji. Jeden z tubylców, kobieta, wstała i wygłosiła dłuższą przemowę, zupełnie niezrozumiałą dla Underwooda. Ale Dreyer stał z napiętą uwagą, tak jakby rozumiejąc z trudnością każde słowo obcego języka.

W tym momencie Underwood przypomniał sobie zasłyszane od Dreyera stwierdzenie, że prawdziwy semantyk powinien być w stanie rozumieć i rozmawiać w każdym obcym języku, już od pierwszej chwili gdy go usłyszy. We wszystkich językach występują dźwięki i intonacje, niosące ze sobą fundamentalną oraz identyczną zawartość semantyczną. One właśnie, jak twierdził Dreyer, mogą zostać zidentyfikowane i wykorzystane w rekonstrukcji języka w gotowym strumieniu rozmowy, jeśli oczywiście rozmówca posiada dostateczne po temu umiejętności. Underwood zawsze uważał, że to zwykłe przechwałki, ale teraz widział to na własne oczy.

Dwie kobiety spośród tubylców i jeden z mężczyzn, wydawali się zupełnie zatopieni w postawie pełnej czci, ale czwarty z nich, stojący nieco z boku miał wygląd niemal buntowniczy. Przemówił krótko i gwałtownie.

— Ten facet wykazuje zdrowy sceptycyzm — wyjaśnił Dreyer. — Chętnie zaakceptuje nas jako bogów, ale żąda dowodu, że nimi jesteśmy. Może nam spłatać niezłą sztuczkę, żeby się tego dowiedzieć.

— Nie możemy zawracać sobie nim głowy — odparł Underwood. — Niczego tu nie znajdziemy.

— Może tak być — powiedział Dreyer. — Powinniśmy jednak pozwolić Illii, żeby zobaczyła co może zrobić dla tego rannego.

Underwood nie naciskał na nich. Pozwolił Dreyerowi pokierować tubylcami, aby wnieśli swojego towarzysza na statek. Tam, w pokoju zabiegowym, Illia przyjrzała się jego obrażeniom. Ranny okazał się być człowiekiem wiekowym, ale miał w twarzy tyle radości i energii, że Underwood poczuł, iż niemal mu zazdrości.

Illia jednak pokręciła głową.

— To beznadziejne — stwierdziła. — Nic nie możemy dla niego zrobić.

Podała fluoroskop Underwoodowi, by sam mógł zobaczyć. Przejechał nim po całym ciele, a potem zawołał:

— Illia! Te dziwne organy pod przeponą…

Ostro wciągnęła oddech.

— Identyczne jak u Demarzule. To musi być ta sama rasa!

Dreyer rozmawiał z towarzyszami rannego, wyjaśniając im, że ocalenie życia starego człowieka jest niemożliwe.

Odpowiedź buntowniczego tubylca przypominała niemal dziki warkot w gardle. Zwrócił się on potem delikatniejszym tonem do rannego, tak jakby wyjaśniając mu sytuację. Pogodne oblicze starca nie zmieniło się, ale oczy spokojnie się zamknęły, i Ziemianie wiedzieli już, że umarł.

Buntowniczy tubylec szybko wyciągnął z pochwy szklany nóż i rozciął zwłoki ze swobodną umiejętnością. Wyciągnął jeden z obcych organów i umieścił w pojemniku, który miał przy sobie. Nie odzywając się słowem, wyszedł, zaś dwie kobiety podążały za nim smutno i wolniej. One również nie chciały już nic powiedzieć.

Underwood obserwował jak wychodzą.

— Zdaje się, że zyskaliśmy ciało — stwierdził. — Ściągnijcie paru ludzi, żeby je stąd zabrać i pogrzebać. Terry, zajmiesz się tym? W każdym razie zastanawiam się, co to wszystko znaczy. Czy to są pozostałości sireniańskiej cywilizacji?

Snute przez niego spekulacje, zostały nagle przerwane przez ryk interfonu.

— Doktorze Underwood, rozpoznanie melduje, że cała ziemska flota startuje z planety Dragboran!

Grupa w pokoju zabiegowym popatrzyła po sobie nawzajem w nagłym milczeniu.

— **T**o nie ma sensu — w końcu przerwał ciszę Terry.

— Ma — powoli powiedział Underwood. — Jeśli odszukali i zniszczyli to, co mieliśmy nadzieję znaleźć.

— Także jeśli chcieliby nas wyciągnąć z ukrycia — dodał Dreyer.

— Lepiej więc odczekajmy parę dni, a potem zobaczymy co robić. Jeżeli będą zdecydowanie kontynuować swój lot, możemy przesunąć się na planetę, mając za plecami słońce, tak by nie mogli nas wykryć. Myślę jednak, że powinniśmy co najmniej dwa dni poczekać, tak więc jeśli ktoś chce się rozejrzeć po tym księżycu, jest na to szansa.

Terry był zachwycony możliwością zbadania księżyca. Wyglądało na to, że mógł tutaj przetrwać odprysk cywilizacji o tysiącletniej historii, która przy normalnym rozwoju sytuacji, powinna być już martwa dawno temu, ale jednak jakoś przetrwała katastrofy, które zmiotły jej ojczyste cywilizacje.

Illia również paliła się do wyjścia ze statku. Razem z Terrym przekonali Underwooda, żeby przyłączył się do nich, w badaniach na skuterach otaczającego ich terenu. Phyfe i Dreyer także lecieli, ale Mason musiał pozostać na statku, jako jego techniczny dowódca.

Za trawiastą równiną rósł gęsty las. Skuterowa wyprawa wzbiła się wysoko w powietrze, żeby przelecieć nad zalesionym obszarem o zniknęła z oczu ludziom na pokładzie „Lavoisiera”.

Przez dłuższy czas lecieli na poziomie wierzchołków drzew, spoglądając poza niego na pustynne piaskowe bezmiary, rozciągające się aż po odległy horyzont.

Nagle Terry wskazał ręką na dół:

— Droga!

Błyszczący pas przebiegał przez las, niemal pod kątem prostym do ich obecnego toru lotu. Zniżyli lot do leśnego kanionu, aby go przebadać. Underwood zatrzymał się tuż ponad powierzchnią drogi. Potem nachylił się i dotknął jej ręką.

Dreyer spoglądał na jego zaintrygowaną twarz, nieustannie produkując słup dymu z cygara.

— Szkło, co?

— Z wyglądu i dotyku wydaje się że tak, ale szklana autostrada…!?

— Ograniczenia materiałowe — stwierdził Dreyer. — Księżyc bez cienia wątpliwości pozbawiony jest zasobów mineralnych, ponieważ zbudowany jest głównie z niemetalicznych krzemianów. Szklany nóż naszego przyjaciela, użyty do rozcięcia ciała, wskazuje na głód metalu. Autostrada dopełnia obrazu sytuacji, pokazując, że tubylcy posiadają wysoce rozwiniętą technologię pracy ze szkłem. Dlatego bardzo zdecydowanie twierdzę, że nie stoimy w obliczu pierwotnej cywilizacji, tak jak przypuszczaliśmy wcześniej. Lepiej uważajmy na każdy nasz krok, ponieważ nasz przyjaciel zdawał się być pozbawiony złudzeń, po naszej porażce przy próbie ratowania życia jego rannego towarzysza.

Wybrali kierunek wzdłuż autostrady i podążali nią kilka cali ponad powierzchnią. Lecieli przez jakieś dwadzieścia minut, nie napotykając żadnej przerwy w otaczającym ich lesie, ani w lśniącej autostradzie pod sobą.

Nagle w oddali dostrzegli jakąś postać. Poruszała się szybko. Terry zmrużył oczy i nagle zawołał:

— Przelecieliśmy diabli wiedzą ile lat świetlnych, szukając supercywilizacji, a znaleźliśmy rowerzystów!

Phyfe roześmiał się.

— Nie widzę w tym niczego dziwnego. Bez wątpienia, rower jest dosyć oczywistym środkiem lokomocji w umiarkowanie zmechanizowanej cywilizacji. Może, ale wcale nie musi, oznaczać braku pojazdów z własnym napędem.

— Rozpoznajecie panowie tego gościa? — spytał Underwood.

Lecieli naprzód, na spotkanie szybko zbliżającego się rowerzysty. W końcu byli w stanie wyraźnie rozpoznać rysy jego twarzy, stwierdzając że to ten buntowniczy osobnik z porannego spotkania.

— Ciekawe, czy on jedzie z powrotem, żeby jeszcze raz spotkać się z nami? — zastanawiał się Terry.

— Nasze spotkanie jest bardzo fortunne — stwierdził Dreyer. — Chciałbym się dowiedzieć, co on zrobił z tym organem wyciętym ze zwłok. Podczas moich badań etnologicznych nigdy wcześniej nie natknąłem się na coś podobnego. Podejrzewam, że może to być jakiś rytuał związany z wiarą w to, iż organ ten jest siedliskiem życia, dokładnie tak samo jak traktowane jest u nas serce.

Zwolnili, kiedy zbliżyli się do jadącego człowieka – ponieważ każdy chciał trochę przemyśleć to co o nim było wiadomo. On również się zatrzymał i obdarzył ich złowrogim spojrzeniem. Wyrzucił z siebie pełne furii zdanie:

— Shazer na jourli!

Dreyer zmarszczył brwi i powoli wymamrotał kilka usłyszanych sylab. Obcy powtórzył rozwścieczone słowa.

— **O**n mówi, że nie jesteśmy bogami — przetłumaczył Dreyer.

— Tyle to i sami moglibyśmy mu powiedzieć — sucho stwierdził Underwood.

Konwersacja w nieznanym języku trwała dalej, aż w końcu Dreyer ponownie odwrócił się do swych towarzyszy.

— Ten człowiek nazwał się Jandro, i twierdzi, że fakt posiadania przez nas metalowych rzeczy, ciągle nie przekonuje go do tego, że jesteśmy bogami, przy czym opinia ta pozostaje w sprzeczności z sądami jego współbraci. Czy to ma dla was jakiś sens?

Phyfe wykrzyknął:

— To ma fenomenalny sens! Pozbawiony metali glob, a jednak zamieszkały przez wysoce inteligentną rasę. Korzystają technologicznie najlepiej jak tylko potrafią z materiałów, które mają do dyspozycji, ale skądś wiedzą o istnieniu i właściwościach metali. Cóż może być bardziej naturalnego od tego, że zbudowali religię wokół bardziej szczęśliwych, korzystających z metalu bogów?

Dreyer przekazał Jandro:

— Nie jesteśmy bogami. Nie przybyliśmy do was jako bogowie, lecz jako goście. Pochodzimy z miejsca zwanego Ziemią.

To przyznanie się, zdawało się stanowić dla Jandro ogromny szok, ponieważ wyraz jego twarzy znacznie się zmienił.

— Bardzo przepraszam — oznajmił — jeśli oskarżałem was o roszczenia, które nie miały miejsca. Ale nie rozumiem, co przed chwilą powiedzieliście. Jeśli pochodzicie z Niebiańskiego Świata, zabierzcie mnie tam i pomóżcie wrócić z tajemnicami, aby przenieść mój lud tam na górę.

— „Niebiański Świat"? — zmarszczył brwi Dreyer.

Jandro wskazał ręką w stronę horyzontu, gdzie jak wielki srebrzysty dysk wisiała planeta Dragbora.

— Dlaczego nazywasz ją „Niebiańskim Światem"?

Jandro, zanim odpowiedział, popatrzył do góry zarówno z tęsknotą jak i goryczą.

— Nie przybyliście stamtąd?

— Nie.

— Ale możecie tam się dostać w swoim metalu?

— Tak.

— Zabierzecie mnie tam?

— Takie rzeczy nie zależą ode mnie, ale może uda mi się przekonać innych. Powiedz mi, dlaczego chcesz tam się udać, i dlaczego nazywasz to miejsce „Niebiańskim Światem"?

— Dawno temu — wyjaśnił Jandro, — zanim ludzie zaczęli żyć na Trear, żyli razem z bogami na Niebiańskim Świecie. Ale po buncie i nieposłuszeństwie zostali stamtąd wygnani i zrzuceni tutaj, na dół. Trear był pustynnym księżycem, pozbawionym życia i surowców. Po wielu dekara, ludziom udało się rozmnożyć malutkie ziarenka życia, które ze sobą przywieźli i wyhodować z nich wielkie lasy. To dało nam drewno, a pustynia dała nam szkło. I tak zbudowaliśmy swój świat, tutaj na jałowym Trearze, i wyglądaliśmy chwili kiedy bogowie zabiorą nas z powrotem na górę, na Niebiański Świat.

— Taką historię opowiedzieli na ojcowie, ale ja w nią nie wierzę — zakończył Jandro. — Nie wiem w co wierzyć, poza tym, że pragnę tego aby dziedzictwo naszego ojczystego świata zostało nam przywrócone.

Dreyer zrelacjonował historię swoim towarzyszom.

— To brzmi niemal na pewno, jakby przodkowie Jandro byli jakąś grupą uchodźców, która uciekła z planety przed katastrofą, jaka zniszczyła atmosferę.

— Czyli, on chce lecieć z nami — podsumował Underwood. — Zastanawiam się tylko, czy on nam może jakoś pomóc w odkryciu tajemnic planety.

— Chciałbym go trochę nacisnąć, żeby się z nim potargować — powiedział Dreyer. — Z wielką chęcią dowiedziałbym się dlaczego on wyciął ten organ zmarłemu i co z nim zrobił. Takie chirurgiczne umiejętności, które okazał, nie mogły mieć charakteru instynktownego.

— Dla mnie, to brzmi w porządku — zgodził się Underwood.

Dreyer zwrócił się ponownie do Jandro.

— Jest tak, możesz lecieć na planetę razem z nami. Jest tylko jedna rzecz, którą chcielibyśmy w zamian – informację dlaczego rozciąłeś zwłoki swojego towarzysza i usunąłeś tamten organ.

— Oczywiście, dla discara. Och! Czy to znaczy, że chcecie wyrazić skruchę? — Na jego twarzy zderzyły się uczucia nagłego zrozumienia i ekstremalnego zainteresowania.

Dreyer na chwilę się zamyślił.

— Skrucha? Tak, oczywiście! Chcemy wyrazić skruchę.

— Doskonale. Bądźcie gośćmi w moim domu. Mój ojciec będzie zadowolony.

Jandro wykręcił rowerem i pomknął drogą. Dreyer opowiedział pozostałym co się stało i wprawił w ruch swój skuter, w kierunku wybranym przez obcego.

Komentarz Terry'ego był bardzo impulsywny.

— O co, u diabła, chodzi z tą skruchą? — dopytywał się. — Nie wiemy jak im ją wyrazić ani komu z nich ją wyrazić. Wpakujecie nas w niezły bajzel, jeśli zaczniemy grzebać w religijnych rytuałach tych amatorów chirurgii!

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Underwood rozmyślał o Dreyerze. Za bierną zewnętrzną maską tego człowieka krył się mózg, którego nieustająca aktywność często płynęła jakimiś niesamowicie okrężnymi kanałami. Jakie były przyczyny tego zainteresowania osobliwościami obcej cywilizacji? Underwood był pewien, że kryło się za tym znacznie więcej, niż pojawiało się na powierzchni.

To fakt, że każdy organ stanowił dobry cel dla odpowiedniej broni. Czy Dreyer wpadł na pomysł zbadania właściwości tych nieznanych organów, w nadziei znalezienia broni, na którą byłyby wrażliwe?

Las zmienił się w trawę i znaleźli się na otwartym terenie, który jaśniał w świetle słońca jak basen mydlanych baniek.

Stojące tam domy i ulice, zbudowane były z wielobarwnego szkła, skrzącego się jakby swoim własnym światłem. Ziemianie wiedzieli już na pewno, że przed nimi nie stoją jacyś ludzie pierwotni, ponieważ miasto zaplanowane było z artyzmem gigantycznej korony klejnotów.

Na ulicach i w alejach parkowych było wielu wysokich, miedzianoskórych ludzi. Widząc ich tutaj razem, w ich własnym otoczeniu, Underwood był pod wrażeniem ich gracji i zwykłego piękna. W ich twarzach oraz wdzięku sposobu bycia, widać było spokój i satysfakcję.

Ziemianie, siedzący w siodełkach skuterów, jadący w tajemniczy sposób ponad powierzchnią drogi, szybko ściągnęli na siebie uwagę. W powietrze wzbiły się okrzyki, a po drodze dziesiątki ludzi biło im pokłony.

Jandro zatrzymał się i skinął ręką Ziemianom, aby także stanęli. Potem wygłosił do swoich rodaków mowę, zbyt szybko aby nawet Dreyer mógł zrozumieć co powiedział. Semantykowi udało się wychwycić tylko tyle, że Jandro oznajmił, iż Ziemianie przybyli tutaj, aby wyrazić skruchę jego ojcu, oraz że sam Jandro wybrany został aby udać się dla swego ludu na Niebiański Świat.

Wśród zebranych ludzi byli tacy, którzy zdawali się przyjmować słowa Jandro ze zdumieniem i niedowierzaniem, oraz inni, którzy pokłonili się przed nim tak samo, jak przed Ziemianami. Ale kiedy cała grupa ponownie ruszyła naprzód, ludzie podnieśli się i stali w milczeniu oraz bojaźni.

Zatrzymali się przed dużym, jednopiętrowym sześcianem w kolorze pomarańczowym. Jandro zsiadł z roweru i stanął z boku, czekając na nich aby weszli do środka.

— Czynicie honor mojemu domowi — powiedział.

Underwood z wysiłkiem próbował zrozumieć coś z tego języka, ale mógł jedynie domyślać się o co chodzi. Phyfe i Terry Bernard pojmowali z

niego większość, ale nie ze sprawnością Dreyera. Semantyk pewnie ruszył w stronę budynku, a potem zatrzymał się w wejściu i z wahaniem popatrzył na swoje cygaro. W nieskazitelnych ogrodach i parkach nie było go gdzie wyrzucić. W końcu odgasił je o but i wsadził postrzępionego niedopałka do kieszeni.

Wnętrze domu wyposażone było z prostym luksusem. Wszędzie padały niezliczone jasne smugi, z kolorowych pryzmatów dekoracyjnych przejrzystych paneli, tworzących ściany, przenoszących promienie naturalnego światła z zewnątrz.

Niemal natychmiast do pomieszczenia z przeciwległego wejścia weszła dwójka kobiet. Jedna z nich była starsza, ale druga, przynajmniej z wyglądu, młodsza niż Jandro.

Ziemianie od razu je rozpoznali – były to te same kobiety, które dzisiaj rano pojawiły się razem z Jandro na statku.

Na widok Ziemian wyrwały im się mimowolne okrzyki. Jandro pośpiesznie wyjaśnił ich obecność, oraz przekazał ich zaprzeczenia, że nie są bogami. Stopniowo podekscytowanie obu kobiet opadło i Jandro przedstawił je Dreyerowi, który przekazał wszystko reszcie Ziemian.

— Panie przygotują nam posiłek, zanim stąd odejdziemy — powiedział Jandro. — Teraz jednak, chcecie zobaczyć discara mojego ojca i wyrazić skruchę. Proszę, tędy.

Poprowadził ich przez dom do innego pokoju, z zamkniętymi drzwiami. Nawet słynny spokój Dreyera opuścił go, kiedy zastanawiał się, co się stanie jeśli nie uda mu się natychmiast domyślić, czego od niego oczekiwano.

Jandro nagle otworzył szeroko drzwi i wpuścił ich do środka.

— Pragniecie pewnie zostać sami — oznajmił. — Będę na was czekał na zewnątrz.

I zamknął za nimi drzwi.

Nikt z nich nie domyślał się wcześniej, co tam zobaczą. Nie byli w stanie nawet sobie wyobrazić widoku, który stanie im przed oczyma. Pomieszczenie było duże, a jego ściany pokryte były półkami, od podłogi do samego sufitu, jak w jakiejś fantastycznej bibliotece.

Ale to przedmioty na półkach przede wszystkim przyciągnęły ich uwagę. Całe miejsce zajęte było przez kwadratowe szklane słoje, zupełnie identyczne, a w każdym z nich znajdował się czerwonawo-brązowy organ, dokładnie taki sam jak ten zabrany przez Jandro ze zwłok, na pokładzie ich statku. Organy zanurzone były w czystym, przezroczystym płynie ochronnym, w szczelnie zamkniętych pojemnikach.

Na niewielkiej pustej przestrzeni pośrodku, stał stół, na którym spoczywał pojemnik ze świeżo wyglądającym egzemplarzem organu. Instynktownie domyślili się, że to był właśnie ten, który tego ranka wycięty został na ich oczach.

Terry wypuścił całe powietrze z płuc.

— No cóż, to jest coś. Kostnica dla martwych wątróbek, urządzona przez amatora chirurgii, który jeździ do pracy na rowerze. Co, u diabła, o tym myślicie?

Illia dokładniej przyjrzała się przechowywanym organom.

— Nie wszyscy byli aż tak dobrymi chirurgami jak Jandro. Większość z nich wygląda jakby została odrąbana rzeźnickim toporem. Niektóre z nich sprawiają wrażenie, jakby były tutaj od zarania wieków.

— Coś w rodzaju kultu przodków — stwierdził Underwood. — Skrucha musi być jakąś formą obrzędu społecznego, składanego przodkom przyjaciół. Wszystko to może jest interesujące, ale zupełnie nieprzydatne w dla naszych obecnych celów.

— To chyba nie jest aż tak proste — nie zgodził się semantyk. — Niech pan weźmie pod uwagę fakt, że nawet jeżeli Jandro rozumie, iż jesteśmy z innej planety, to uważa, że to wszystko nie jest nam obce. Co oznacza, że uważa on, iż te sprawy znane są wszystkim istotom humanoidalnym. Mogą za tym stać poprawne naukowo powody.

— Jakie? — spytał Underwood.

— Nie wiem, ale mam zamiar się tego dowiedzieć.

Kiedy wyszli z pokoju, Jandro przez cały czas na nich czekał. Pokazał im drogę do stołu, gdzie czekał przygotowany posiłek.

Dla Underwooda i Illii był to dziwny posiłek, ponieważ w najmniejszym stopniu nie byli w stanie komunikować się z gospodarzami. Phyfe i Terry, stopniowo wciągnęli się w wymianę zdań.

Wszyscy czuli się trochę niezgrabnie, z powodu zbyt dużych mebli, naczyń i sztućców, ale obie strony uprzejmie poczyniły tolerancyjne ustępstwa. Obie kobiety miały problemy z odrzuceniem swej sztywnej rezerwy, jednak pod koniec posiłku zdawały się zapominać, że Ziemianie nie byli starymi znajomymi, którzy złożyli im wizytę.

Mniej więcej w tym czasie Jando zaproponował:

— Przypuszczam, że chętnie byście obejrzeli nasze resa oraz instalację abasa?

Nie okazując śladu niezrozumienia, Dreyer powtórzył pytanie.

— Chętnie zobaczę wszystko, co tu jest do zobaczenia — zauważył Underwood. Chociaż trochę się niecierpliwił, zdawał sobie sprawę, że muszą dać ziemskiej flocie nieco więcej czasu na odlot.

Wyszli z domu i ruszyli pieszo przez miasto. Jandro poprowadził ich w kierunku jednego z głównych klejnotów w tym skrzącym się skarbcu. Był to wielki budynek z krwisto-czerwonego szkła, stojący w pewnym oddaleniu od innych budowli.

— Powinienem wyjaśnić — powiedział Jandro. — To tutaj właśnie wykonuję swoje obowiązki. Jestem instalatorem. Dzisiaj nie pracuję, ale operacje są wykonywane, tak więc będziecie mogli być świadkami naszych metod, jak też zobaczycie mięsień macierzysty abasa.

Poprowadził ich krętymi korytarzami wspaniałej szklanej budowli. Jakimś sposobem, zauważył Underwood, błyszczące podłogi miały wysoki współczynnik tarcia, nie tracąc nic ze swego blasku. Niespodziewanie weszli do wielkiej sali, z galerią widokową, zbliżoną pod wieloma

względami do podobnych galerii w salach operacyjnych ziemskich szpitali. Niemal ze wstrząsem zorientowali się, gdzie się znajdują.

Zajęli siedzenia przy barierce zabezpieczającej. Pod nimi, na stole przy którym pracowała para chirurgów, leżało małe dziecko z szeroko rozciętym brzuchem. Jeden z chirurgów wyciągnął małą, mięsistą rzecz ze stojącej koło niego wanienki z płynem fizjologicznym i zręcznie wsunął ją przez rozcięcie. Ziemianie obserwowali z przemożnym zdumieniem, jak organ został wszyty we właściwe miejsce, malutkie naczynka krwionośne odpowiednio połączone, a nerwy odcięte od przyległych organów, doprowadzone do nowego fragmentu ciała.

Illia chwyciła Underwooda za rękę. Wyszeptała:

— Oni wszczepiają te dziwne organy, których nie potrafiliśmy zidentyfikować. Wcale się z nimi nie rodzą!

— Pytanie tylko, skąd je biorą? — wymamrotał Terry. — Może to właśnie dlatego usuwają je po śmierci – żeby z nich skorzystać ponownie. Nie, to niemożliwe, przecież oni je marynują. Poddaję się. Jak dla mnie, to zdecydowanie zbyt wiele.

Oczy Ilii utkwione były tylko w sprawnych dłoniach na dole, które czyniły takie cuda z żywymi organizmami. W pewnej chwili spojrzała na bok, na spokojną twarz Jandro, i przypomniała sobie jego wcześniejszą uwagę, że jest „instalatorem". Jeśli potrafił robić takie rzeczy, mógłby stanąć ramię w ramię z największymi chirurgami na Ziemi.

Operacja była długa. Kiedy obaj chirurdzy w końcu zamknęli rozcięcie, rozpoczęli podobną operację u podstawy mózgu, wszywając tam fragment bezkształtnego ciała.

Ziemianie nie byli w stanie zrozumieć jak dziecko jest w stanie wytrzymać wstrząs tak radykalnego zabiegu chirurgicznego. A jednak jeśli wierzyć wszelkim oznakom, wykonywany był on na każdym urodzonym na księżycu dziecku.

Jandro oznajmił:

— Zobaczyliście naszą technikę. Jak ma się ona do waszej?

Dreyer skinął niezobowiązująco głową.

— Bardzo podobnie, poza tym, że uważamy za godne polecenia rozważenie opóźnienia operacji mózgu. To łagodzi wstrząs i wydaje się pomagać w szybszym powrocie do zdrowia.

— To oznacza, tri-abasa? A więc, takie jest wyjaśnienie. Będę szczery. Próbowałem wykryć wasze epthalia już od chwili waszego przybycia. Zastanawiałem się nad powodami tego krycia się, ale oczywiście, to jest wasza sprawa. Jednak wydawało się niemożliwe, że możecie powstrzymać mnie przed ich wykryciem.

— Tak — odparł mądrym tonem Dreyer.

Przekazał treść rozmowy swoim towarzyszom.

— Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli długo zatrzymać to dla siebie, ale uważam także, że wyjawienie braku tych organów nie byłoby dobrym pomysłem. Jandro przyjmuje, że wszystkie humanoidalne istoty muszą je

posiadać. Gdyby się dowiedział, bardzo możliwe, że uznałby nas za podludzi.

Underwood skinął głową.

— A więc, powiedz mu, że zostaniemy przy naszych metodach.

To bezcelowe, pomyślał. Nie wiedział, czego Dreyer oczekiwał po ich przypadkowej wizycie u tych ludzi, ale o ile Underwood był w stanie to dostrzec, niczego nie osiągnął. Jednak Underwood polubił Jandro, podczas tych paru spędzonych razem godzin, wyczuwając w nim odrobinę tego samego buntu przeciwko konwencjom swego świata, którą on sam czuł na Ziemi. Być może w czasie podróży na planetę Dragboran, poznają się lepiej.

Jandro wyprowadził ich z sali.

— Musicie zobaczyć mięsień macierzysty. To zajmie tylko kilka chwil. Nigdy w przeszłości nie obumarł, i obecnie jest znacznie starszy niż nasze zapisy historyczne.

Ziemianie ponownie ruszyli za nim krętymi korytarzami, dochodząc do drzwi, które otworzyły się dopiero po wpisaniu skomplikowanego systemu kodów, a potem wsunęły się całkowicie do wnętrza. Kiedy przechodzili przez wejście zauważyli, że ściany mają niemal cztery stopy grubości i zbudowane są z mocnego szkła o ołowiano-szarej barwie.

— Te środki ostrożności są niezbędne, do ochrony mięśnia macierzystego przeciwko zaburzeniom naturalnym i okazjonalnie zdarzającym się między nami nieszczęśnikom, którzy chcą go zniszczyć. Żadna znana nam siła nie jest w stanie przebić się przez tę barierę.

Zainteresowanie Underwooda, co do natury tajemniczego mięśnia matczynego, zaczęło narastać. Podejrzewał coś na podstawie nazwy, ale charakter tej rzeczy był niemożliwy do domyślenia się.

Pomieszczenie do którego weszli było bardzo duże i wyposażone zostało jak laboratorium, z drewnianymi i szklanymi przyrządami z każdej strony.

Centralnym elementem pomieszczenia był jednak wielki, nakryty kopułą pojemnik, mający około dwudziestu stóp średnicy. W jego środku znajdowała się bezkształtna masa mięśnia, sięgająca mniej więcej połowy wysokości, w większej części szarawa, ale poznaczona jaskrawymi smugami czerwieni. Pulsowała ona miarowo, jakby posiadała jakieś ciche, uśpione życie.

— To jest nasz mięsień macierzysty — wyjaśnił Jandro.

Illia na ten widok lekko zadrżała.

— Wygląda niemal jak ogromny guz rakowy — powiedziała.

Zerknęli do środka kadzi, podstawa góry mięsa skryta była w gęstej, przypominającej zupę cieczy.

Kiedy zbliżyli się do kopuły, podszedł do niej również technik. Niósł ze sobą przyrząd o długiej rączce, który przed chwilą wyciągnął ze sterylizatora. Przyglądali się, jak otwiera okienko w kopule i szybko wbija przyrząd w górę mięsa, przekręcając go. Masa zadrżała i cofnęła się, ale

przyrząd został wyciągnięty, zabierając ze sobą fragment ciała pobrany z głębi mięśnia. Powoli rana zasklepiła się i gęsta ciemna krew przestała płynąć.

Technik wpuścił kawałek mięśnia do pojemnika i zaniósł go na drugą stronę pomieszczenia, do jednej z kilkuset klatkowatych szafek.

— A więc, tak to wygląda — podsumował Jandro. — Kawałek pradawnego mięśnia zostaje odcięty i umieszczony w pojemniku formującym, gdzie manipulacje chirurgiczne i promieniowanie, spowodują uformowanie się wyspecjalizowanych komórek, które przekształcą go w jedno z trzech abasa.

— Mogłabym przysiąc, że to jest tkanka nowotworowa — powiedziała Illia. — Niezależnie od celu w jakim tworzone są z niej te dziwne organy, może być tak, że tym ludziom udało się udoskonalenie procesu mutacji, przy pomocy którego natura działa na Ziemi od tysięcy pokoleń.

— Ale jaki może być cel tego wszystkiego? — dopytywał się Underwood. — Jakie zdolności mogą im dawać te organy, których my jeszcze nie posiedliśmy? Nie wiedzę żadnych oznak w Jandro, tak samo jak i w Demarzule, które mogłyby wskazywać na efekty działania tych organów.

— Kto wie? — stwierdził Dreyer. — Ale uważam, że pani Illia może mieć rację. U nas guzy nowotworowe stanowią potwierdzenie faktu, że proces mutacji oszalał, ale wydaje się, że natura bardzo mocno upiera się przy tym rozwiązaniu. Może kiedy będziemy mieli na pokładzie Jandro, uda nam się dowiedzieć, do czego służą te organy.

Wrócili do domu Jandro. Tam Jandro powiedział do widzenia swojej matce i siostrze. Obie wydawały się dziwnie mało poruszone wydarzeniem, które musiało mieć niesamowite znaczenie w ich historii, jak sobie pomyślał Underwood.

Jandro usiadł na skuterze za Underwoodem. Unieśli się wysoko w powietrze i wzięli kurs prosto na miejsce w którym znajdował się „Lavoisier”. Jandro w żaden sposób nie okazywał na zewnątrz, że ta podróż jest dla niego czymś niezwykłym.

Po paru minutach lotu dostrzegli statek, i grupy członków załogi znajdujące się na zewnątrz, w odległości mniej więcej mili, dwóch. Zrobili kółko wokół „Lavoisiera” i wylądowali, zostawiając skutery w śluzach.

Mason wyglądał jakby poczuł wielką ulgę po ich powrocie.

— Ludzie niepokoją się tym czekaniem — powiedział. — Flota Demarzule definitywnie wraca na Ziemię, jeszcze szybciej nawet, niż lecieli tutaj. Wydaje się, że nie ma powodów do dalszych opóźnień.

Underwood poszedł do sterówki, żeby sprawdzić obserwacje. Potężna flota na jego oczach roztapiała się w głębinach kosmosu, zmierzając w kierunku Ziemi. Sprawdził ich szybkość i zmarszczył brwi. Jaki cel mogło mieć to nagłe wycofanie się? Czy oznaczało ono jakąś pułapkę, która została przygotowana na naukowców na planecie Dragboran?

Nie było sposobu, żeby się tego dowiedzieć – ani sposobu by walczyć z nieznanym.

Underwood wstał znad płyt wizyjnych i skinął głową.

— No to, lećmy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Jakby czekając na dokończenie ostatniego kroku w swej długiej drodze ku przeznaczeniu, Jandro obserwował gwiazdy przesuwające mu się przed oczyma, kiedy „Lavoisier” ostro skręcił, aby pozostać w cieniu planety, chroniąc się przed dostrzeżeniem ze statków floty.

Underwood przyglądał się obcemu osobnikowi, próbując przeniknąć tajemnicę Jandro oraz jego ludu. Czy w ich mitach o zrzuceniu z Niebiańskiego Świata, w które sam Jandro przyznawał, że nie wierzy, tkwiło ziarno prawdy? Skąd się wzięła ta dziwna masa mięsa, z której tworzyli tamte nieznane organy, umieszczając je we wnętrzu swych ciał? Underwood rozmyślał, czy Illia miała rację, że było to wykorzystanie bliżej nieznanej mutacji nowotworowej, która wystąpiła dawno temu u jakiegoś zapomnianego już osobnika i została udoskonalona dla całej rasy.

I najważniejsze ze wszystkiego, czy Jandro i jego rodacy mają jakieś pojęcie o rozwiązaniu problemu, który poprowadził naukowców przez otchłanie kosmosu?

Underwoodowi wydawało się to mało prawdopodobne. Przybyli tu w poszukiwaniu dziwnej i śmiercionośnej broni, prowadzeni wyłącznie przez skąpe informacje sprzed pół miliona lat. Rodacy Jandro nic nie wiedzieli o szerokiej dziedzinie produkcji metalowych przyrządów i urządzeń. Byli czarodziejami szklanych technologii i chirurgii, ale wątpliwe było, aby wiedzieli o istnieniu elektryczności.

Podróż z księżyca na planetę była tylko kwestią godzin, ale naukowcom tłumnie zebranym wokół płyt skanerów, ustawionych na maksymalną czułość, wydawała się ona najdłuższą częścią całej wyprawy.

Z odległości jednej czwartej miliona mil, na wielkich ekranach zaczęły być widoczne nawet drobne szczegóły antycznych miast. Ostrość z jaką się rysowały, budziła grozę, ponieważ tylko brak powietrza na planecie pozwalał na osiągnięcie tak doskonałej klarowności obrazu. Nie było tam niekończących się wiatrów, które na innych planetach szybko skrywały dzieła człowieka pod wydmami piasku. Wyglądało, jakby mieszkańcy zaledwie wczoraj dokonali szybkiego, uporządkowanego exodusu, pozostawiając ogromne miasta temu, kto by je zechciał.

Wydawało się, że Phyfe niemalże wpadł w ekstazę.

— Marzenie archeologa — oświadczył. — Doskonale zachowana starożytna cywilizacja.

— Nie rozumiem, w jaki sposób mogła ulec zniszczeniu atmosfera, bez żadnych widocznych śladów na powierzchni planety — powiedział Underwood. — To nie wydaje się możliwe. Zaraz… tam coś jest!

Na horyzoncie pojawiła się ogromna blizna, wyglądająca jakby zajmowała co najmniej jedną ósmą jej powierzchni planety. Wydawała się względnie płytka, chociaż zdawali sobie sprawę z tego, że pośrodku musiała mieć całe mile głębokości. Wyglądało to, jakby w tym miejscu została przytknięta jakaś płonąca pochodnia, która w jednym potężnym rozbłysku ognia pożarła wszystkie gazy atmosfery planety. Na przestrzeni setek mil wokół niej, miasta i równiny stanowiły jeden obraz zniszczenia. To tylko na przeciwległej stronie planety wydawało się, że dzieło jej pradawnych mieszkańców uniknęło zagłady.

— A więc, to jest przyczyna — stwierdził Underwood. — Wydaje mi się, że znajdziemy niewiele tylko miast, wolnych od znacznych zniszczeń, ale to i tak więcej, niż miałem nadzieję. Jeśli gdzieś tutaj pozostały ślady tej broni, może będziemy w stanie jeszcze ją odnaleźć.

Okrążali planetę zasłonięci przed wzrokiem odlatującej floty, robiąc mnóstwo zdjęć mijanych w dole ruin, do dalszych badań. W najdalej oddalonym miejscu od centrum destrukcji, położone było jedno z największych niezniszczonych miast. Miało niemal pięćset mil kwadratowych powierzchni, a niemal w samym jego środku, znajdował się obszar wyglądający jak lądowisko dla statków. Właśnie tam Underwood rozkazał sprowadzić „Lavoisiera” na powierzchnię planety Dragbora.

Zgodnie z uprzednio ustalonym planem, Phyfe miał teraz objąć kierownictwo prowadzonych przez nich działań archeologicznych. Już wcześniej naszkicował im metodę postępowania. Mieli się przemieszczać w małych grupach ku granicom miasta, sporządzając w drodze jego mapę. Ich pierwszymi celami powinny być biblioteki i laboratoria, ponieważ głównym zadaniem na początek, było opanowanie języka dragborańskiego.

Kiedy Jandro spojrzał na pozbawioną życia planetę, na jego twarzy po raz pierwszy pojawiły się oznaki emocji. Wpatrywał się w opustoszałe ruiny, a jego wargi poruszyły się.

— Niebiański Świat! — wyszeptał.

Dreyer podszedł i stanął za nim.

— To była po prostu planeta żywych ludzi — powiedział. — Coś się wydarzyło dawno, dawno temu, co spowodowało niemożność dalszego zamieszkiwania tutaj twoich rodaków. Niewielka część z nich najwidoczniej uciekła na księżyc i podtrzymała dalej waszą cywilizację. Tym właśnie jest Niebiański Świat z waszych legend.

Jandro powoli skinął głową.

— A to znaczy, że nigdy nie będziemy mogli ponownie objąć naszej planety w posiadanie. Myślałem, że mógłbym sprowadzić tutaj z powrotem moich rodaków, że będę pierwszym, który zażąda praw do naszego dziedzictwa – ale tu nie ma czego żądać. Już na zawsze pozostaniemy na naszym jałowym szklanym księżycu, zaś Niebiański Świat posiadać będą jedynie duchy bogów!

— Przecież ty nie wierzysz w bogów, a już na pewno w ich duchy — otwarcie przypomniał mu Dreyer.

Jandro nadal stał przy iluminatorze, nie odzywając się.

Dreyer mówił dalej:

— Twoi rodacy i tak by tutaj za tobą nie poszli, nawet gdyby planeta była spełnieniem twych marzeń. Wiesz o tym, nieprawdaż?

Jandro obrócił się, zaskoczony, tak jakby semantyk czytał mu w myślach. Dreyer udawał, że tego nie zauważył.

— W każdej cywilizacji są tacy, którzy marzą o lepszym bycie dla siebie oraz otaczającego ich świata. Czy ulży ci, jeśli powiem, że na wszystkich planetach, znalezionych przez Ziemian podczas ich wędrówek w kosmosie, na których żyją ludzie, nigdzie nie ma rasy tak wysoko cywilizowanej jak wasza?

— Świat zbudowany z kawałków szkła?

— Świat w którym doskonałość każdej osoby jest najważniejszym zadaniem społeczeństwa. Ale przecież ty to wszystko wiesz. Chodź z nami na zewnątrz, zobacz jak wyglądał twój Niebiański Świat, kiedy żyli tutaj ludzie.

Odziani w skafandry kosmiczne, Ziemianie zaczęli wysypywać się ze statku. Phyfe i Underwood kierowali wyborem tras przez małe grupy eksploracyjne, które miały wyruszyć radialnie we wszystkich kierunkach. Chociaż niewielu ludzi posiadało wykształcenie w zakresie metod archeologicznych, wszyscy na tyle dobrze rozumieli charakter ich celów, że mogli pomagać we wstępnej identyfikacji odpowiednich ośrodków oraz w zbieraniu informacji.

Jedna po drugiej, kolejne grupy wzbijały się w niebo na skuterach, jak pszczoły wylatujące rojem z ula. Underwood postanowił pozostać w pobliżu lądowiska, razem z Phyfem Terrym i Dreyerem. Illia i Jandro również byli członkami tej grupy, która miała zająć się przeszukiwaniem budynków w najbliższym sąsiedztwie obszaru lądowiska.

Underwood był ciekaw, jakie myśli kłębią się w głowie obcego, po raz pierwszy spoglądającego na ruiny Niebiańskiego Świata. Tutaj, gdzie powinno być pełno światła słonecznego, ogrodów i życia, można było znaleźć tylko szaleńczy kontrast oślepiająco jasnych płaszczyzn i cieni przerażającej ciemności, z której mogły w każdej chwili wychynąć duchy śmierci sprzed pół miliona lat.

Od chwili wyjścia ze statku w pośpiesznie zmodyfikowanym skafandrze, ledwie pasującym do jego masywnego ciała, twarz Jandro nosiła pytający wygląd, zmieszany z wyrazem oczekiwania, tak jakby spodziewał się, że Ziemianie coś zrobią i nie do końca rozumiał czemu to odkładają na później.

Underwooda zainteresowało to niezwykłe oczekiwanie, ale chwilowo miał zbyt wiele innych spraw na głowie. Skierował uwagę pozostałych na gmach wznoszący się co najmniej dwa tysiące stóp w niebo, jakąś milę poza terenem lądowiska, ale połączony z nim długą rampą czy też drogą.

— Rzućmy na niego okiem — zasugerował.

Jandro otworzył z wahaniem usta, jakby chcąc się odezwać, ale po chwili zacisnął je mocno, a na jego twarzy pojawił się nowy wyraz lęku. Underwood był tym ogromnie zaintrygowany, lecz chwilowo wyrzucił zagadkę z myśli.

Powiódł oczyma po ogromnej budowli, wznoszącej się tuż nad ich głowami. Wzbił się do góry i obleciał ją dookoła. W ogromnych pozbawionych cech charakterystycznych ścianach, nigdzie nie było okien, ani innych otworów.

Opadł z powrotem na poziom gruntu i znalazł swych towarzyszy czekających na krawędzi ogromnej rampy, wiodącej na dół, w głębiny piwnic pod budynkiem.

Zaważył, że jest ich tam tylko czworo.

— A gdzie jest Jandro?

Terry rozejrzał się szybko dokoła.

— Myśleliśmy, że jest z tobą.

— Nie. Prawdopodobnie poszedł szukać czegoś, co będzie wyglądało dla niego znajomo. Myślę, że się nie zgubi. Statek jest wielki i dobrze widoczny na środku lądowiska. To co, zobaczymy co tam jest na dole?

Dreyer wskazał na podjazd prowadzący z dołu.

— Możliwe, że to jakiś podziemny hangar dla statków, może terminal załadunkowy, z którego statki były wyciągane na miejsce startu.

Underwood ruszył manetką skutera i powiódł ich w dół rampy, lecąc zaledwie parę stóp nad jej powierzchnią. W polu, oświetlonym przez reflektor skutera zobaczył, że otwór wejściowy na dole miał niemal sto pięćdziesiąt stóp średnicy.

Pozostali ostrożnie podążali za nim. Na dole zatrzymali się, zerknęli do tyłu, oceniając odległość na jaką zagłębili się pod ogromny budynek. Potem Underwood poprowadził ich powoli naprzód, w ciemności starożytnego terminala.

Nagle, w świetle jego reflektora pojawił się odblask jakichś metalowych powierzchni. Szybko ruszył do przodu, omiatając dokoła światłem. Po chwili uświadomił sobie, że znaleźli się pośrodku podwójnego rzędu metalowych ścian.

Skupił światło w ostrzejszą wiązkę.

— Statki! — zawołał. — Miał pan rację, Dreyer! To nie może być nic innego.

Hangar wypełniony był stojącymi rząd za rzędem potężnymi statkami, wyrastającymi w górę elipsoidalnymi kształtami, których wierzchołki ginęły w mroku, gęstszym niż zupełna ciemność. Ale długie, lśniące kadłuby statków wyglądały jakby były gotowe do lotu, na natychmiastowe polecenie.

Ziemianie zsiedli ze skuterów i skierowali się w stronę najbliższego statku, szukając wzrokiem włazu.

— To cudowne znalezisko z archeologicznego punktu widzenia — stwierdził Terry, — ale mało prawdopodobne, żeby miały one na pokładzie naszą broń, ponieważ wyglądają bardziej na statki handlowe, a nie okręty bojowe.

— Tego nie możemy powiedzieć z góry — zauważył Underwood. — Jeżeli wtedy panował w Galaktyce tak znaczny niepokój, jak na to wskazuje konflikt między Sirenianami i Dragbora, mogło tak być, że statki handlowe również były uzbrojone.

— Czy to jest właz wejściowy? — spytał Phyfe, wskazując nagle w górę.

Underwood popatrzył w kierunku wskazywanym przez światło latarki archeologa. W tej samej chwili kiedy to zrobił, ze wszystkich zakątków terminala strzeliły ich stronę strugi światła z wielu reflektorów. W odbitym na boki blasku widać było biegnące niewyraźne postaci ludzkie.

Ziemianie obrócili się dokoła, z nagłym zdumieniem i strachem. Skoczyli w stronę skuterów, ale stanęli jak wryci.

W ich uszach zabrzmiał szorstki głos:

— Stać i rzucić broń, w imieniu Demarzule, Wielkiego!

Ogrom popełnionego błędu przytłoczył wszystkich jednocześnie, z mocą kruszącą umysł. Przeanalizowali wszystkie możliwe zagrożenia – oprócz tego, że ziemska flota pozostawiła na planecie garnizon.

Jeszcze raz nie docenili Demarzule!

Underwood zawołał pośpiesznie do mikrofonu, zwiększając moc sygnału, żeby dosięgnąć innych grup eksploracyjnych, i tych, którzy jeszcze pozostali na statku.

— Tu Underwood! Zostaliśmy zaatakowani przez garnizon Demarzule! Brońcie…

Przerwał mu głośny śmiech.

— Pewnie mieliby ochotę na to żeby się bronić, nie ma wątpliwości, ale reszta z was jest równie bezradna jak wy tutaj. Czy myślicie sobie, że jesteście w stanie przechytrzyć wszystkowiedzący umysł Wielkiego? Z radością ujrzy przed sobą tych, którzy ośmielili się z nim równać. A jeszcze bardziej będzie zadowolony, że to jego słudzy zmusili was do powrotu.

Underwood nie widział mówcy, ponieważ oślepiał go pierścień świateł, w tej jednak chwili, jedna z postaci w skafandrach kosmicznych wyszła do przodu, stając w miejscu oświetlonym przez pozostałe reflektory, i władczo skinęła ręką.

— Wracacie na wasz statek! — zakomenderowała. — Lecimy na Ziemię natychmiast kiedy wszyscy zostaniecie wyłapani. I nawet nie myślcie o ucieczce. Tylko w tym mieście przewyższamy was liczebnością w stosunku dziesięć do jednego, a ci z nas, którzy stoją na straży w innych miejscach, wkrótce do nas dołączą. Nasza flota już została powiadomiona o odniesionym sukcesie, i natychmiast zawróci, żeby odeskortować nas za Ziemię.

W głosie mówiącego nie było słychać niczego co by go jakoś specjalnie identyfikowało, poza tym że należał on do Ziemianina, ale brzmiało w nim coś, czego żaden z ich semantycznie wyszkolonych umysłów nigdy jeszcze nie słyszał, coś co zmroziło i przeraziło wyczulonego Dreyera.

Underwood także to wyczuł i jego mózg pracował na najwyższych obrotach, żeby ocenić konsekwencje tego faktu. Głos należał do człowieka, który miał przed oczyma, wielką i potężną przyszłość dla siebie samego oraz dla swej rasy, tym bardziej jasną i cudowną, że nieograniczaną przez rzeczywistość. I w tym ogromnym lecz złudnym śnie, wszystkie stworzenia inne niż on sam i wybrany przez niego bóg, traciły zupełnie wszelkie znaczenie.

Był to głos i marzenie szaleńca.

Żaden z pozostałych się nie odezwał, ale kiedy naukowcy zostali zmuszeni do marszu w górę długiej rampy, pozostawiając skutery na dole, wszyscy poganiali ich jak gorliwi pasterze.

Kiedy znaleźli się z powrotem na powierzchni, zobaczyli, że wokół nich jest co najmniej dwa tuziny Wyznawców Wielkiego, nierozróżnialnych w kosmicznych ubiorach. Rozmieszczenie jednostek garnizonu w strategicznych punktach, które naukowcy z największym prawdopodobieństwem powinni wybrać jako pierwsze do eksploracji, zostało zaplanowane z widoczną starannością, niewątpliwie przy pomocy map dostarczonych przez Demarzule.

Underwood miał nadzieję, że może niektóre z pozostałych grup, miały więcej szczęścia niż jego, ale było to mało prawdopodobne, ponieważ naukowcy byli zupełnie nieprzygotowani na atak. Kiedy zobaczyli wycofującą się z kosmosu flotę, przyjęli że zagrożenie z tej strony zniknęło razem z nią.

Maszerowali powoli między czarnymi i lśniącymi płaszczyznami miejskich murów, w kierunku „Lavoisiera", widząc po drodze jak inne grupy naukowców prowadzone są do niego z przeciwnej strony lądowiska.

Statek był już opanowany. To nie było trudne, jak przypuszczał Underwood. Każdy zbliżający się do niego człowiek musiał być wzięty za wracającego naukowca. Kiedy napastnicy wyskoczyli z bronią gotową do strzału ze śluz powietrznych, naukowcy znajdujący się na statku, mieli niewielkie szanse.

Underwood wraz ze swoją grupą, zostali wprowadzeni do śluzy, mając za plecami czterech ze swych pogromców, z wycelowaną bronią. Naukowcom rozkazano zdjąć skafandry kosmiczne. Po otwarciu wewnętrznych wrót śluzy, odprowadzono ich do innych, czekających już na nich na pokładzie. Ludzie, którzy wzięli ich do niewoli, wrócili na zewnątrz.

Oczy Underwooda przeszukiwały twarze tych, którzy opanowali statek, tak jakby w próbie znalezienia oznak jakiejś wyższości, dzięki której naukowcy zostali schwytani w pułapkę. W twarzach tych nie było jednak

niczego takiego, tylko fanatyczny ogień świecący im z oczu ponurym blaskiem.

Underwood poczuł się chory, spoglądając za Illią, wyprowadzaną aby uwięzić ją w jej własnej kabinie. Mężczyźni zostali zapędzeni razem do innego pomieszczenia, a odgłos zamykających się za nimi drzwi, zabrzmiał jak ostateczny cios zadany ich nadziejom.

Przez chwilę spoglądali po sobie w milczeniu. W końcu Terry uśmiechnął się niewyraźnie:

— Zdaje się, że tym razem nieźle wpadliśmy, co? Nawet gdyby jakoś nam się udało wydostać z tej pułapki, to nad głową wiszą nam okręty zmierzającej tu floty.

Z innych części statku dochodziły jakieś przytłumione odgłosy, ale nie potrafili zidentyfikować żadnego z nich. Przypuszczali, że to inne grupy, sprowadzane są na statek i zamykane. To wszystko zostało przygotowane tak, jakby ktoś posiadał wiedzę z góry o ich posunięciach. Underwood zastanawiał się niemalże, czy Demarzule nie posiadał takich mocy.

Podszedł do krzesła w rogu pomieszczenia i usiadł na nim, aby spróbować pomyśleć. Jego myśli krążyły tylko po okręgach, które zdawały się robić coraz mniejsze i mniejsze, aż w końcu był w stanie koncentrować się tylko na jedynym, niezaprzeczalnym fakcie ich uwięzienia.

Zastanawiał się, jakie myśli płynęły przez głowy innych. Phyfe leżał oklapły na pryczy, zdawało się, że opuścił go gwałtowny, jasny duch, towarzyszący mu przez cały czas, w obliczu stających przed nimi przeszkód. Terry kręcił się niespokojnie. Dreyer usiadł ciężko w przeciwległym do Underwooda kącie, chmura dymu z cygara zasłaniała go niemal zupełnie.

Na czole Dreyera można było jednak dostrzec głębokie bruzdy zmarszczek, a w twarzy wyraz ogromnej samotności, której Underwood nigdy wcześniej u niego nie widział – tak jakby wszyscy osobiści bogowie Dreyera opuścili go w jednej chwili.

Underwood wiedział, że umysł Dreyera musi zmagać się raczej z problemem odpowiedzialności za poniesioną przez nich porażkę, niż z problemem ucieczki. Dla semantyka istotną sprawą musiało być określenie, czy zawiedli ludzie, czy ich wiedza naukowa. Prawdopodobnie wyeliminował kwestię ich ucieczki, oceniając ją jako niemożliwą.

Podczas gdy myśli Underwooda krążyły w niekończącej się procesji, jego zmysły wyczuliły się na falę dźwięków przenoszących się po metalowych ścianach i szkielecie statku. Stwierdził, że z całej mocy usiłuje określić i powydzielać poszczególne dobiegające do niego odgłosy.

Pośród nich był jeden, bardziej natarczywy od innych, i nie było to szuranie nóg po stalowych podłogach, ani walenie otwierających i zamykających się włazów. Raczej brzmiało to jak szmer głosu, tak bardzo odległego, że ledwie słyszalnego.

Dobijał się on do progu jego świadomości już na wiele minut przedtem, zanim przyznał sam przed sobą, że to coś więcej niż tylko wyobraźnia. Przebiegł wzrokiem kolejno po wszystkich towarzyszach niedoli, zastanawiając się, czy oni go również słyszeli. Po chwili, po raz pierwszy rozróżnił słowa.

— Ludzie z Ziemi — zawołał odległy głos.

Underwood nagle wstał. Terry wstrząsnął głową.

— Ty też to słyszałeś? — spytał.

Underwood skinął głową.

— Mógłbym przysiąc, że ktoś w tym pomieszczeniu coś powiedział. Słuchajcie teraz – mówi coraz głośniej.

Kiedy uwięzieni ludzie, spoglądali pytająco po sobie, na środku pomieszczenia pojawiło się nagłe drżenie światła. Popatrzyli na panel oświetleniowy, ale działał zupełnie normalnie. Po chwili zaburzenie świetlne pomiędzy nimi, przyjęło mglisty kształt. Falował i kręcił się, tak jakby był to obraz skrawka papieru niesionego przez wiatr. Potem zaczął przyjmować pozory chwiejnej trwałości.

Byłą to humanoidalna postać, wyższa od ludzi, o miedzianej skórze.

— Jandro! — zawołał Underwood.

Obraz na chwilę zniknął i ponownie zaczął drżeć.

— Jak to możliwe? — wymamrotał Phyfe.

Underwood wiedział, że obraz nie może być realną rzeczą. Był niczym więcej niż tylko iluzją w ich mózgach, a jednak jego wygląd wydawał się jednakowy dla wszystkich. Ten Jandro próbował w jakiś dziwny sposób skomunikować się z nimi. Underwood nie miał co do tego wątpliwości, ale środki przez niego użyte, przekraczały jego zdolności pojmowania.

— Nie wiem, czy mnie słyszycie, czy nie — głos Jandro przemówił w ich głowach. — Posłuchajcie mnie, jeśli jesteście w stanie. Ja widzę was i słyszę, a wasze zachowanie wskazuje na to, że jesteście świadomi mojej obecności. Komunikuję się z wami za pośrednictwem zmysłów abasa. Teraz już wiem, że ani nie posiadacie, ani nie rozumiecie działania organów abasa. Zastanawiało mnie, że wcześniej nigdy ich nie używaliście.

— Nie wiem czym, albo kim jesteście. Nie jesteście oczywiście ludźmi, ponieważ ludzie nie mogą żyć bez abasa. Dowodem na to, że ich nie posiadacie, jest fakt, iż daliście się złapać w pułapkę i wziąć do niewoli. Nie mogłem tego zrozumieć, dlaczego nie wykryliście swoich wrogów już w chwili, kiedy wasz statek dotknął powierzchni planety.

— Nasze pradawne mity i legendy opowiadają o takich stworzeniach jak wy, zwierzętach, które były w stanie przetrwać bez abasa, ale nigdy nie wspominały o tym, że mogły one mieć tak wysoki poziom inteligencji, jaki wy okazujecie. Niezależnie od tego jak to zrobiliście, obaliliście naszą największą legendę – metal nie jest zarezerwowany wyłącznie dla nieistniejących bogów, może być również używany przez stworzenia takie jak wy.

— Dlatego chcę dobić z wami targu. Nauczę moich rodaków treści i wartości starożytnej wiedzy naukowej oraz cywilizacji metalu, która była

dla nich niedostępna. Wy mi w tym pomożecie w zamian za moją pomoc w pokonaniu waszych wrogów. Czy zgadzacie się na to?

— Gdzie jesteś? Jak możesz coś takiego zrobić? — dopytywał się Underwood.

— Możesz zrozumieć myśli, które wypowiadam, ale ja nie rozumiem twojego języka — odparł Jandro.

— Jest tylko jedno rozwiązanie — powiedział Dreyer do swoich towarzyszy. — Czy wszyscy się na to zgadzają?

Skinęli głowami, i Dreyer przemówił szybko w języku Jandro.

— Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

— Czuję, że jesteście wystarczająco inteligentni, żeby dotrzymać słowa — stwierdził Jandro. — Kiedy jeden z waszych wrogów wejdzie do pomieszczenia, opanuję go, a wy będziecie mogli zabrać mu broń i wyjść stamtąd. Będę z wami później, chociaż nie będziecie mnie widzieć. Teraz odwiedzę innych.

Obraz i głos nagle zniknęły, zaś czterech mężczyzn popatrzyło na siebie, jakby obudzili się właśnie ze snu, który w cudowny sposób dzielili między sobą.

— A więc, te organy dają im zdolności telepatyczne — podsumował Terry. — To zabawne, że nie stało się to dla nas oczywiste od samego początku. Ale to dlatego, że on przez cały czas używał języka mówionego. Albo może czytał nam w myślach?

— Nie, ani nie czytał, ani nawet nie mógł tego robić — odparł Phyfe. — Przypomnij sobie to co powiedział, że musimy mówić do niego na głos, żeby mógł otrzymywać od nas odpowiedzi. To sugerowałoby, że odrębną kwestią jest wpływanie na nasze umysły w celu przekazania wiadomości, a zupełnie inną detekcja naszej mowy. A co do używania od początku języka mówionego, to pewnie zrobił to, ponieważ jesteśmy obcymi i zgodził się uprzejmie byśmy to my wybrali środek komunikacji. Jak myślisz, Dreyer?

Semantyk skinął głową.

— Myślę, że byliśmy świadkami działania co najmniej dwóch oddzielnych funkcji wszczepionych Jandro organów. I wydaje mi się, że niedługo zobaczymy działanie jeszcze jednej, jeśli dotrzyma swojej obietnicy odnośnie opanowania pierwszego z Wyznawców, który zajrzy do naszego pomieszczenia. Poza tym nie zapominajcie o implikacjach semantycznych abasa, dla Jandro. Zgodnie z jego sposobem myślenia, on jest człowiekiem, a my jesteśmy zwierzętami niższego poziomu. Zmiana tego przekonania, może być nawet niemożliwa. Powinniśmy działać w odpowiedni do tego sposób.

Na chwilę zapanowało milczenie, tak jakby zaczynało w nich narastać napięcie, wywołane wyczekiwaniem. Nagle w tej ciszy rozległo się szczęknięcie zamka u drzwi i jeden z Wyznawców wszedł do środka.

Stanął przy wejściu, mierząc ich wzrokiem, mężczyzna w średnim wieku, o wyprostowanej postawie, ewidentnie zawodowy wojskowy. Oznajmił sztywno:

— W imieniu Wielkiego, macie zostać doprowadzeni do Dowódcy na przesłuchanie. Pójdziecie za…

Nagle jego oczy zrobiły się szkliste, a przez twarz przeleciał mu wyraz niewysłowionej udręki. Jego sztywna, arogancka postać zamarła w zupełnym bezruchu. Potem, powoli, osunęła się na podłogę.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Underwood złapał broń wypadającą z rozluźniających się palców, zanim jeszcze uderzyła o podłogę. Uniósł ją szybko do pozycji strzeleckiej i ostrożnie podszedł do otwartej przesłony w wejściu. W tym momencie, korytarz był pusty.

— Pan i Dreyer zostajecie tutaj — powiedział do Phyfe'a. — Terry i ja spróbujemy przedostać się do sterówki, czy gdzie tam ten tak zwany dowódca, urządził sobie kwaterę główną. Jeśli uda nam się go schwytać i odzyskać kontrolę nad statkiem, powinniście otrzymać od nas wiadomość w przeciągu godziny. Jeśli nie, będziecie wiedzieć, że przegraliśmy, i wtedy wy spróbujecie kolejny raz.

Starsi mężczyźni skinęli głowami. Po cichu Underwood i Terry wyślizgnęli się przez wejście.

Pozostałe przesłony w drzwiach wzdłuż korytarza były pozamykane. Underwood nacisnął przycisk otwierający, przy sąsiadujących z ich niedawnym więzieniem. Płyty przesłony rozsunęły się natychmiast na zewnątrz, i w wejściu pojawili się Roberts, jeden z chirurgów, oraz trzej mężczyźni którzy tworzyli jego grupę.

— Underwood! — wykrzyknął Roberts. — Co się stało?

Underwood ostrzegł go, żeby był cicho, i krótko objaśnił sytuację.

— Znajdźcie jakąś broń, jeśli wam się uda. Powinno być jej trochę w szafkach na korytarzach. Przejdźcie się po nich i poopróżniajcie je. Spróbujcie przejąć śluzy, tak by nie wpuścić na pokład więcej Wyznawców, zanim nie przejmiemy kontroli wewnątrz statku. Nie mamy pojęcia, ilu może ich tu być.

Mężczyźni skinęli głowami, ciesząc się z możliwości podjęcia działania przeciwko nieprzyjacielowi. Underwood wiedział, że broń powinna być w szafce na korytarzu, w niewielkiej odległości w stronę rufy. Z przodu powinna być kolejna szafka, dzięki której on i Terry będą mogli wzmocnić swoje własne uzbrojenie.

Następne pomieszczenie, którego spróbowali, było puste. Myśleli już, że kolejne za nim, także jest puste, ale kiedy mieli ruszyć dalej, Terry zawołał:

— Patrz! Tam, na podłodze!

Jeden z ich ludzi leżał bezwładnie, tył jego koszuli pokryty był krwią i spalonym ciałem.

Underwood i Terry weszli do środka i zamknęli za sobą przesłonę w drzwiach. Mężczyzna spojrzał w górę i uśmiechnął się słabo, kiedy do niego podeszli.

— Cześć, Doc — powiedział.

To był Armstrong, jeden ze statkowych inżynierów.

— Co się stało? — zapytał się Terry. — Czy próbowaliście im się stawiać?

Inżynier odparł boleśnie.

— Nie, to było coś w rodzaju lekcji poglądowej. Tak mi się wydaje. Dowódca – nazywali go Rennies – poświęcił mi swoją osobistą uwagę. Ale, czy odzyskaliście statek?

Underwood pokręcił głową.

— Właśnie się wydostaliśmy i udało nam się uwolnić paru innych. Wytrzymasz, zanim nie sprowadzimy pomocy?

— Taaa, pewnie. Nie zawracajcie sobie mną głowy.

— **W**iesz może, ilu ich jest na pokładzie?

— Na początku uderzyło na nas ze dwudziestu. Byliśmy trochę zdziwieni, że tak wielu z was wraca jednocześnie. Sessions i Treadwell zostali zabici na miejscu, w maszynowni, a paru kolejnych chłopców dostało paskudne postrzały, kiedy próbowali stawić opór. To jedyni, o których coś wiem, poza mną. Ostatnie co słyszałem, to że Rennies i jego banda urządzili sobie kwaterę główną w sterówce. To mniej więcej wszystko, co mogę wam powiedzieć.

— To bardzo nam pomoże — podziękował Underwood. — Dwudziestu damy radę załatwić, jeśli uda nam się dobrze zorganizować. Spokojnie, stary, wrócimy do ciebie z pomocą.

Inżynier uśmiechnął się i oczy mu się zamknęły.

Underwood i Terry pośpiesznie wyszli z pomieszczenia, zamykając za sobą przesłonę drzwi. Pośpieszyli do szafki magazynowej i z ulgą stwierdzili, że napastnicy nie usunęli z niej broni. Underwood wziął drugi pistolet, Terry zabrał dwa.

— Szkoda, że nie słyszymy nic nowego od Jandro — powiedział Terry.

— Może pomaga grupie przy śluzach. Wydaje się, że tutaj panujemy nad sytuacją.

Dotarli do końca korytarza, rozdzielającego się na obydwie strony, tworząc U wokół sterówki, ponieważ urządzenia nawigacyjne musiały być ulokowane na osi statku.

— Rozdzielmy się — zaproponował Underwood. — Stworzy nam to szansę ataku z dwóch stron. Może ich strażnicy nie będą jakoś specjalnie czujni, ponieważ nikt się nas tu nie spodziewa, nie ma więc powodu żeby się pilnowali.

— Dobry pomysł — zgodził się Terry. Sprawdził czas na swoim zegarku i Underwooda. — Zacznij strzelać dokładnie za sześćdziesiąt sekund!

Rozdzielili się i ruszyli szybko w różnych kierunkach.

Kiedy Underwood zbliżał się do ostrego zakrętu, który prowadził w prostej linii do drzwi sterówki, zatrzymał się i wsłuchał się w dobiegające zza niego odgłosy. Kroki, niedbałe i wolne. Tylko jedna osoba, pomyślał Underwood; a więc przed drzwiami sterówki musi być jeden Wyznawca. Istniała pewna niezbyt prawdopodobna możliwość, że to któryś z jego

ludzi uciekł niezależnie i już wcześniej dotarł pod sterówkę. Musiał podjąć ryzyko.

Obszedł narożnik i wystrzelił.

Strzał trafił człowieka – na szczęście Wyznawcę – prosto pierś. Nagłość zaskakującej śmierci nie zapobiegła szaleńczemu wrzaskowi, który wyrwał mu się z gardła. Underwood przeskoczył nad leżącym ciałem, zanim Wyznawca znieruchomiał.

We wnętrzu sterówki wybuchło zamieszanie pełne zaskoczonych okrzyków i rozkazów. Underwood zobaczył dwie postaci biegnące ku otwartej przesłonie drzwi. Wystrzelił dwukrotnie, a następnie przypadł do podłogi. Pierwszy z ludzi upadł martwy pod nogi drugiemu, ale tamten był tylko lekko ranny. Nawet padając, wymierzył w stronę Underwooda.

Ze swej skulonej pozycji, Underwood znowu wystrzelił. Wyładowanie chybiło i na chwilę rozpaliło do czerwoności fragment dalszej ściany pomieszczenia.

Underwood nie śmiał się nawet ruszyć. Znalazł niewielką osłonę w kąciku, gdzie okrągły otwór wejściowy do sterówki nie w pełni pasował do prostokątnego korytarza, ale to było wszystko co miał.

Strzały z wnętrza sterówki zaczęły teraz padać coraz bliżej niego. Czuł gorąco rozgrzewanej przez nie metalowej podłogi. Kiedy próbował bardziej się wcisnąć w zasłonięty kącik, jego wzrok napotkał kolejnego człowieka w środku. Byłą to imponująca, wojskowa postać, bez wątpienia dowódca Rennies, ponieważ jego ostry, arogancki głos wykrzykiwał rozkazy do jednego z ludzi, żeby wezwał pomoc z innej części statku.

W tym momencie, nagle, dowódca zesztywniał. Nawet Underwood dostrzegał jego nieobecne oczy, wyglądające jakby zrobiono je z polerowanego szkła. Jandro?

Pozostali w pomieszczeniu widzieli je także, tak samo jak usłyszeli huk ciężkiego ciała padającego na podłogę.

Ta katastrofa dla wyznawców na mgnienie oka zakłóciła ich atak. To wystarczyło Underwoodowi, żeby unieść pistolet w górę i wystrzelić prosto w swego przeciwnika. Mężczyzna drgnął i odwinął się z wyrazem zaskoczenia na twarzy, na chwilę przedtem zanim umarł.

Wtedy, z przeciwległej strony pomieszczenia padł kolejny strzał, zaskakując jednego z nieświadomych obrońców. W końcu pojawił się Terry!

Underwood odetchnął głęboko z ulgą. Obawiał się, że Terry został schwytany. Najwidoczniej archeolog także napotkał opór, ale w końcu udało mu się go pokonać.

Terry i Underwood zaatakowali jednocześnie. Tylko jeden z Wyznawców był w stanie jeszcze stawiać opór. Wyładowania z dwóch pistoletów przecięły pomieszczenie i skąpały go w śmiertelnym rozbłysku.

Ostrożnie Underwood przesunął się do przodu, nie do końca pokonawszy jeszcze otwór wejściowy.

— Terry, to ty? — zawołał.

— Zgadza się. Wpadłem na jednego z nich na korytarzu.

— Odsuń się trochę, Mam zamiar wpaść tam, strzelając w twoją stronę, na wypadek gdyby któryś z tych fanatyków jeszcze tam się krył.

— W porządku, jeśli za jakieś pięć sekund nie usłyszę twojego okej, wejdę tam w ten sam sposób.

Underwood ustawił pistolet na niską, ale ciągle śmiertelną intensywność i pociągnął wystrzeliwaną wiązką góra-dół, przesuwając płaszczyznę ruchu coraz bliżej ściany, za którą mógłby się kryć ewentualny napastnik. Nie odsłaniając się, wyciągnął rękę i pociągnął strzałem dokoła, upewniając się w ten sposób, że pomieszczenie zostało oczyszczone, a jeśli nawet ktoś się w nim chował, to musiał dostać.

Potem wskoczył do środka i zawołał Terry'ego. Rudowłosy archeolog wszedł uśmiechnięty od ucha do ucha, ale jego prawą rękę, od ramienia w dół, pokrywały smugi krwi.

— Terry! Jesteś ranny!

— Nie dorwałem go wystarczająco dobrze swoim pierwszym strzałem. Nic mi nie będzie. Co teraz robimy?

— Możemy oczyścić statek wpuszczając chloryl triptanate do systemu dostarczania powietrza. Ale nawet wtedy, nie będziemy mogli nawet polecieć na księżyc, żeby odwieźć Jandro do jego rodaków – to sprowadziłoby im na głowy całą flotę.

— Coś wymyślimy — stwierdził optymistycznie Terry. — Jeszcze niedawno nie spodziewaliśmy się, że uda nam się zajść choć tak daleko. Zastanawiam się, co się stało z tym Jandro. Wiesz może, gdzie on właściwie w tej chwili jest?

— Nie. Ewidentnie zabił Renniesa, ale nie słyszałem od niego ani słowa.

— Przyniosę ten triptanate i trochę mesarpiny na odtrutkę. Jeśli nie wrócę za pół godziny, to będziesz miał problem.

— Zostajesz tu na straży — odparł Underwood. — Lepiej sobie trochę wyluzuj, z tym twoim ramieniem.

— Ty jesteś tutaj ważniejszy niż ja. Wrócę za pięć minut.

Terry zniknął za drzwiami zmierzając w stronę gabinetu zabiegowego.

Underwood usiadł ze zmęczeniem – i nagle zdał sobie sprawę z utkwionego w nim martwego spojrzenia Renniesa, który leżał na podłodze.

Jego nazwisko było Underwoodowi jakoś mgliście znajome, a teraz przypomniał sobie skąd. Rennies osiągnął sporą sławę na polu wojskowości międzygwiezdnej. Był zdolnym dowódcą, dobrze wykształconym, szeroko oczytanym, inteligentnym, uzdolnionym taktykiem – a jednak jego umysł okazał się równie mało odporny na Demarzule, jak najbardziej ciemnych Wyznawców.

Nagle Underwood zdał sobie sprawę z powolnego ruchu na podłodze. Ostatni z Wyznawców, którego postrzelił, nie był martwy. Jego wargi wykrzywiły się w nienawistnym warknięciu.

— Głupcy! — Wyznawca splunął. Spomiędzy warg płynęła mu krew. — Myślicie, że jesteście w stanie zatrzymać Wielkiego? Ludzka rasa czekała dziesięć tysięcy lat na tego zbawcę. Z nim jako przywódcą, Człowiek stanie się największy w całym Wszechświecie. Złóżcie hołd Wielkiemu, tak jak wszystkie Galaktyki będą składać hołd nam!

Underwood zapytał go:

— A, dlaczego?

— Ponieważ my jesteśmy najwięksi!

Popatrzył na leżącego człowieka z ciekawością. Zabrzmiało to tak, jakby wiedza o semantyce nigdy nie istniała, a przecież przez tysiąc dwieście lat semantycy powoli odrzucali antyczne fałszywe rozszerzenia, które utrudniały ludziom myślenie i ograniczały ich aparat pojęciowy.

Demarzule rozbił to wszystko w puch, wyłącznie przez swoją obecność. Underwood stwierdził, że zastanawia się, czemu w ogóle przejmować się tą sprawą.

Wiedział jednakże, że jako członek ludzkiej rasy, musi przez cały czas mieć nadzieję, że przywrócony zostanie kierunek ewolucji, prowadzący do czegoś większego niż tylko nieustanny konflikt i niebezpieczeństwo. Był ślepy, kiedy próbował uciec. Nie było ucieczki; widział to teraz bardzo jasno.

Nagły odgłos na korytarzu zaalarmował jego zmysły. Jego broń lekko się przesunęła, żeby kontrolować oba wejścia.

Po chwili jednak do środka wpadł Terry, z pojemnikami ze środkami chemicznymi, z laboratorium medycznego.

— Zrobione! — oznajmił. — Jakieś kłopoty, tutaj?

— Nie, tylko jeden z nich ożył na chwilę, żeby sobie trochę pogadać. Teraz jest już martwy. — Mężczyzna leżał nieruchomo na podłodze, w kałuży własnej krwi. — A jak tam sprawy wyglądają na zewnątrz?

— Spory harmider od strony śluzy powietrznej. Musi tam toczyć się walka. W pobliżu tego końca, nie widziałem zupełnie nikogo.

Mówiąc to, Terry nachylił się i zwilżył pasek materiału oderwany od swojego ubrania, w jednym z przyniesionych płynów. Przytrzymał go przez chwilę przy nozdrzach i przekazał Underwoodowi. Potem otworzył odpływ zaworu powietrza i wlał do niego zawartość drugiej butelki. Wysoce lotny płyn szybko wyparował i przeszedł do wentylatorów centralnego obiegu powietrza, które rozprowadziły go po wszystkich pomieszczeniach na statku. Po dziesięciu minutach uśpił każdego człowieka na pokładzie, z wyjątkiem dwóch, którzy wdychali antidotum.

Kiedy czekali, Underwood popatrzył z namysłem na martwego Renniesa.

— Zastanawiam się, jak Jandro zabija — powiedział. — Czy może istnieć jakaś obrona przeciw takiej cichej sile? Pomyślałeś, co to oznacza dla rodaków Jandro i społeczeństwa w którym żyją?

Terry skinął głową.

— Nie myślałem prawie o niczym innym, od czasu kiedy po raz pierwszy zobaczyłem, jak on zabija tego strażnika w naszej kabinie. Cywilizacja, w której każdy człowiek trzyma nad głową swojego sąsiada, cichą, potajemną broń. To niewiarygodne, że coś takiego mogłoby istnieć.

— Ale zaistniało i ciągle istnieje, i założyłbym się, że Jandro jest pierwszym z nich od pokoleń, który użył tej mocy.

— To z pewnością implikuje stabilność i osobiste poczucie odpowiedzialności, jakie nigdy nie istniało u nas. I wątpię, aby kiedykolwiek się pojawiło.

— Pewnego dnia, mogłoby.

— Nas już wtedy nie będzie na świecie.

— Jest jeszcze coś — powiedział Underwood. — To być może jest dla nas wyjście. Mogłoby być.

— O czym mówisz?

— Przypuśćmy, że ktoś z nas ma moc Jandro. To byłaby broń przeciwko Demarzule, jaka jest nam potrzebna!

Terry zawahał się.

— Mało prawdopodobne, żebyśmy zdobyli tę moc – z nawet gdyby to się udało, nigdy nie uda nam się dostać tak blisko Demarzule, byśmy mogli jej użyć.

— Nie? A przypuśćmy, że ta flota złapie nas i zabierze z powrotem na Ziemię. Tak sobie myślę, że Demarzule chce nas żywych. Przyjemność z naszego upadku będzie większa, jeśli będzie świadkiem naszej klęski. To pasuje do jego charakteru. Tak więc, zostaniemy sprowadzeni na Ziemię, jako więźniowie. Potem, wystarczy już tylko załatwić go tak, jak Jandro zrobił to z Renniesem.

— Zapominasz, że Demarzule ma te same organy i te same moce. Nie wiesz, jakiego rodzaju środki obronne mogą zostać użyte przeciwko nim – może oni są odporni na tego rodzaju ataki. To mogłoby wyjaśniać tajemnicę dragborańskiej cywilizacji. Niewykluczone, że Demarzule potrafiłby wykryć, czy ktoś z nas posiada te organy. No i w końcu nie mamy absolutnie żadnej możliwości ich zdobycia.

Twarz Underwooda pociemniała.

— To jedna z rzeczy, których jeszcze nie wymyśliłem, ale musi być jakiś sposób. Wygląda, jakby to była jedyna nadzieja jaka nam została na zniszczenie obcego. Żebyśmy mogli dalej szukać broni Dragbora, musielibyśmy pokonać całą flotę, a na to nie ma szansy.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz. No dobrze, środek usypiający miał sporo czasu, żeby zadziałać. Chodźmy budzić naszych ludzi i zabrać się do roboty.

Sprawdzili swoją broń i wyszli ze sterówki. Na całym statku panowała głucha cisza, przerywana tylko odgłosem ich kroków po korytarzach. Idąc w kierunku śluz, otwierali jedną po drugiej kolejne kabiny. Podtykali pod nos każdemu ze swych towarzyszy szmatki zwilżone środkami cucącymi.

Na pierwszy ogień poszli Dreyer i Phyfe. W kolejnej kabinie w stronę rufy, znaleźli Masona i jego ludzi. Szybko wyjaśnili im sytuację, i świeżo ocuceni zajęli się przywracaniem do życia kolejnych.

W kabinie Illii, znaleźli ją leżącą spokojnie na swoim łóżku. Przez chwilę, patrząc na jej niezmąconą twarz, Underwood zapomniał o ogromnej pilności, czekających go zadań. Próbował tylko sobie przypomnieć, dlaczego chciał poświęcić życie, które Illia i on mieli nadzieję dzielić razem – poświęcić, z tego powodu, że ona wierzyła w ludzi, Underwood zaś chciał jedynie uciec przed ciśnieniem nieuporządkowanego i chaotycznego społeczeństwa. Z pewnością, gdyby kiedyś widział swoje wybory, tak jak widzi je dzisiaj, nigdy by tego wspólnego życia nie odłożył. Czy było już za późno, żeby mieć nadzieję na zapobieżenie wiszącej im nad głowami zagładzie? Nie śmiał odpowiadać na to pytanie.

Delikatnie przywrócił jej świadomość.

— Miałam wspaniałe sny — powiedziała. — Wiedziałam, że opanowałeś sytuację, kiedy tylko pierwsze powiewy triptanate dotarły do kabiny.

— Daleko nam jeszcze do opanowania sytuacji. Za kilka godzin przyleci główna flota i przyprze nas do muru. Większość z naszych została obudzona, z wyjątkiem dużej grupy koło śluz. Pójdziesz udzielić pomocy temu inżynierowi, Armstrongowi? Leży w B05 i jest ciężko ranny. Do tej pory nie byliśmy w stanie nic dla niego zrobić.

Illia skinęła głową.

— Zaraz się nim zajmę. Jeszcze jacyś ranni?

— Terry. — Machnął ręką w stronę zakrwawionego ramienia Terry’ego. — Ale jego musiałabyś związać, żeby nad nim popracować. Może jakoś da radę funkcjonować, dopóki się nie zorganizujemy.

Rozdzielili się na korytarzu i Underwood pośpieszył w kierunku śluz na rufie. Kiedy się tam zbliżał, zobaczył kawałek przed sobą dużą grupę zebranych ludzi. Obawa popchnęła go do ruszenia biegiem, wąskim przejściem. Ludzie odwrócili się kiedy usłyszeli odgłos jego kroków i zrobili mu przejście.

Przed nim roztaczała się scena zagłady. Na podłodze leżały obok siebie ciała naukowców i Wyznawców. Był tu Roberts, chirurg, Parker i Muth, dwu chemików. Trzech innych było nierozpoznawalnych. Zginęło sześciu jego ludzi i pięciu Wyznawców, zanim gaz przyniósł natychmiastowe i bezkrwawe zakończenie tej bitwy.

Odwrócił się. Żałował, że nie było żadnego innego sposobu niż poświęcić tych ludzi, ale gdyby naukowcy nie utrzymali śluzy, Wierni mogliby zachować dalszą kontrolę nad statkiem.

Kiwnął na Terry’ego, który razem z Masonem sprawdzał listę załogi.

— Doliczyłeś się już wszystkich?

— Peters, Atchison i Markham wydają się być tymi trzema, których nie możemy zidentyfikować — odparł Terry. — No i, oczywiście, Jandro. Nikt o nim nie słyszał, ani go nie widział, od czasu kiedy zabił Renniesa.

— Jandro! — Underwood nagle ze strachem uświadomił sobie nieobecność Jandro. — Musimy go znaleźć. Nie ma sensu, żeby ktokolwiek z nas stąd odlatywał, jeżeli tego nie zrobimy.

— Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że widziałem go na płytach wizyjnych w śluzie, minutę temu — wtrącił kapitan Dawson. — Trudno go rozpoznać, poza tym jego przerośniętym skafandrem, ale chyba leży na ziemi, koło statku.

— Jeśli zginął… — Underwood pobiegł do najbliższej stacji wizyjnej.

Włączył ją i obejrzał teren wokół statku. Wyznawcy kręcili się bezładnie, wahając się bez rozkazu dowódcy użyć swoich karabinów Wiązki Atomowej, żeby dostać się na pokład.

Dawson wskazał ręką:

— W stronę rufy – tam!

Bez żadnej wątpliwości był to Jandro, chociaż strzał osmalił górną prawą część jego skafandra kosmicznego i widoczną w nim dziurę.

— Jeśli zadziałały samo-uszczelniacze, może jeszcze nie leżał za długo na zewnątrz — ponaglającym tonem powiedział Underwood. — Dawson, niech pan odepchnie ten tłum, przy pomocy dużej Wiązki Atomowej, a potem proszę ustawić za Jandro pole siłowe, tak żebyśmy mogli go stamtąd zabrać.

Dawson wybiegł pośpiesznie, wzywając po drodze do sterówki swoich marynarzy i inżynierów. Underwood nadal obserwował na płycie, co się dzieje na zewnątrz. Nagle Wyznawcy odwrócili się i pierzchli w panice. Niebieski ogień Wiązki Atomowej zalśnił wokół statku, oczyszczając przestrzeń poza leżącym Jandro. Potem widok na całe starożytne miasto i uciekających Wyznawców nagle zniknął, kiedy statek otoczyła nieprzenikniona skorupa pola siłowego. Mason wraz z dwoma marynarzami, założyli już skafandry i czekali w śluzie. Otworzyli ją w chwilę po ustabilizowaniu się pola siłowego.

Jandro leżał w słońcu. To mogło go uratować, pomyślał Underwood, to że skafander zaabsorbował energię wiązki promieniowania.

Trójka ludzi dotarła do Dragboranina i ostrożnie go podniosła. Kładąc go delikatnie na noszach i przenosząc na statek, nie wiedzieli czy żyje, czy umarł.

Underwood dostrzegł Akersa, chirurga, którego umiejętności ustępowały tylko Illii i który polecił przygotowanie sali operacyjnej. Underwood zostawił swój posterunek i poszedł szukać Illii. Jandro, jeśli jeszcze żył, będzie potrzebował całej jej wiedzy i umiejętności. Zastanawiał się tylko, czy inżynier, Armstrong, także ma jakieś szanse.

Underwood znalazł ją nadal w pomieszczeniu, w którym leżał Armstrong. Kiedy wszedł, wstała z kolan.

— Nic nie można było dla niego zrobić — powiedziała Illia. — Zostałam przy nim, dopóki nie umarł. Potrzebujesz mnie gdzie indziej?

— Tak. Jandro został postrzelony koło statku. Akers przygotowuje się do operacji, ale wolałbym żebyś ty to przejęła. Jandro jest kluczem do naszego sukcesu tutaj. Jeśli żyje, musimy go utrzymać przy życiu.

Ilia spojrzała na niego pytająco.

— Zrobię co się da — zawołała.

Akers, kiedy zobaczył Jandro, z dużą ochotą przekazał go Illii. Rana wyglądała okropnie, przebiegając przez całą szerokość klatki piersiowej.

Kiedy Jandro był na sali operacyjnej, Underwood zwołał ogólne zebranie. Wszyscy szybko przeszli do sali konferencyjnej, ale ich znużone i napięte twarze wyglądały niemalże tragicznie.

— Straciliśmy szansę zdobycia jakiejkolwiek broni Dagbora, którą moglibyśmy znaleźć w tych ruinach — oznajmił Underwood bez żadnych wstępów. — Jesteśmy bezbronni – poza polem siłowym – i nieprzyjaciel przewyższa nas liczebnie. Nie możemy uciec, ponieważ flota może lecieć szybciej, i nie możemy zostać tutaj na zawsze, zablokowani. Przychodzi mi do głowy tylko jedno wyjście.

Pozostałym nie trzeba było przypominać beznadziejności ich sytuacji, ale ich oczy rozbłysły zainteresowaniem po usłyszeniu ostatniego zdania. Potem Underwood zarysował pokrótce ideę pozyskania organów i zdolności posiadanych przez Jandro, a następnie pozwoleniu by nieprzyjaciel ich schwytał i zabrał przed oblicze Demarzule.

— To brzmi nieźle, jak na zagranie ostatniej szansy — stwierdził Mason. — Ale nie wyjaśniłeś nam, w jaki sposób mamy dostać się z powrotem na księżyc, byśmy mogli otrzymać te organy od Dragbora.

— To jedyne brakujące ogniwo planu — odparł Underwood. Potem dodał gwałtownie: — Ale musimy znaleźć jakieś rozwiązanie! To dlatego was tutaj wezwałem. Nie wiem jak to zrobić, ale razem może nam się to udać. To nasza ostatnia szansa powstrzymania Demarzule.

Mason zerwał się na nogi.

— Powinniśmy mieć parę godzin, zanim flota tutaj dotrze. Może wystarczy nam czasu, żeby przygotować nowy generator pola i ustawić go na zmyłkę, tak by Wyznawcy uwierzyli, że kryjemy się pod nim, podczas gdy w rzeczywistości wystartujemy na księżyc.

— To jest to! — zawołał Underwood. — Musimy tylko oblecieć planetę dokoła, żeby uniknąć wykrycia przez miejscowy garnizon. Ale, to się może udać!

Zadzwonił interfon. Odezwała się Illia.

— Jesteśmy skończeni, Underwood. Jandro żyje, ale umrze w ciągu godziny. Jeśli chcesz z nim porozmawiać, lepiej przyjdź tu natychmiast.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Underwood ruszył w stronę drzwi bez chwili namysłu.

— Spróbujemy zrealizować twój plan, Mason. Zajmij się nim. Dreyer, Phyfe – proszę, pójść ze mną.

Pośpieszyli do pokoju koło sali operacyjnej, gdzie leżał w łóżku Jandro, nieruchomy, z zamkniętymi oczyma. Razem z nim byli tylko Illia i Akers.

Na widok tej nieruchomej postaci, Underwood poczuł ukłucie smutku i żalu, które przez chwilę zdominowało wszystkie jego myśli. Czuł, że tylko on spośród wszystkich Ziemian, był w stanie zrozumieć głębokie pragnienie buntu, marzenia i nadzieje, stanowiące siłę napędową życia Jandro. I to był nędzny koniec takich wspaniałych marzeń – śmierć z rąk oszalałych fanatyków na Niebiańskim Świecie, który jak się okazało, wcale takim nie był.

Underwood pomyślał o zielonym, błyszczącym księżycu uchodźców Dragbora, na którym ludzie żyli w pokoju między sobą. Księżycu, którego Jandro już nigdy nie zobaczy.

Powieki Jandro poruszyły się. Powoli otworzył oczy i stopniowo pojawił się w nich wyraz rozpoznania. Dreyer powiedział miękkim tonem:

— Bardzo nam przykro. Gdyby było w naszej mocy, aby cię odwieźć na twój księżyc, do twoich rodaków, z pewnością byśmy to zrobili. Mam nadzieję, że to wiesz.

— Oczywiście — odparł powoli Jandro. — Chciałbym, żeby moja seaa-abasa spoczęła razem z należącymi do mych przodków, czekając na dzień, w którym powróci życie. Myślę jednak, że to ostatnie może nigdy nie nastąpić. To tylko złudzenie, tak jak nasze marzenie o bogach. A co do śmierci, to jedyna pewna rzecz w życiu każdego człowieka. Jak lub kiedy ona nastąpi, to nie jest ważne. To dziwne, tak widzieć smutek zwierząt za człowiekiem. To dziwne…

— Czy nie wydaje mu się, że były czasy, kiedy Dragbora nie mieli mięśnia macierzystego i nie znali tajemnicy abasa? — spytał Underwood, a Dreyer przetłumaczył jego słowa.

— Naturalnie — odparł Jandro. — Byliśmy wtedy tylko zwierzętami, tak jak wy jesteście teraz. Kiedy przybyliście w waszych metalowych statkach, wszyscy z nas myśleli, że to na pewno bogowie powrócili do nas z Niebiańskiego Świata. Uczyniliście nam wielką przysługę, pokazując nam jak bardzo myliły się nasze legendy i marzenia. Ale dopóki nie przylecieliśmy na tą planetę, ciągle myślałem, że jesteście wyższymi istotami, ponieważ nie potrafiłem wykryć waszych epthalia. Nikt z nas nie ma zdolności skrywania ich przed innymi.

— Ale dowiedziałeś się o wszystkim, kiedy zostaliśmy zaatakowani? — spytał Dreyer.

— Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie działacie tak, by pokrzyżować szyki waszym wrogom, których obecność była dla mnie oczywista. Wtedy zdałem sobie sprawę, że to dlatego, iż nie posiadacie abasa. Byłem wystraszony, ponieważ nie wiedziałem co robić. W całym swym życiu nigdy nawet nie marzyłem o tym, że spotkam stworzenia, które mogłyby być bogami, ponieważ posiadają metal, a jednak były na niższym poziomie niż ludzie, ponieważ nie mają abasa. Nie rozumiałem tego.

— **W**ielu rzeczy nie rozumiemy o sobie nawzajem — powiedział Underwood, — ale może ty nas rozumiesz na tyle dobrze by wiedzieć, że potrzebujemy twojej pomocy przeciwko naszym – i twoim – wrogom.

— Wiele setek tysięcy lat temu, istniała rasa nazywana Sirenianami. Byli oni śmiertelnymi wrogami twojej rasy Dragbora. Podobnie jak wy posiadali abasa, ale zamiast żyć w pokoju, wyruszyli na podbój wszystkich światów i Galaktyk. W końcu zostali pokonani przez twój lud, który miał jakąś tajemniczą broń, przebijającą się przez wszystkie środki obronne Sirenian. Przylecieliśmy na waszą starożytną planetę, aby znaleźć wskazówkę odnośnie tej broni, ponieważ jeden z Sirenian zdołał przetrwać do obecnych czasów, i wyrwał się na wolność na naszej planecie. Przejął kontrolę nad naszym ludem i przygotowuje się do skąpania Galaktyk we krwi. Z czasem znajdzie także i wasz mały świat. Cywilizacjom wielu Galaktyk grożą wieki regresu.

— Nie znaleźliśmy broni, po którą tu przybyliśmy, a teraz nie ma już na to szans, ponieważ flota Sirenianina Demarzule, niemalże nas dogoniła. Pozostała nam tylko jedna nadzieja. Sądzimy, że jeśli im na to pozwolimy, jego ludzie nas schwytają i zabiorą nas do niego. Gdybyśmy stanęli przed jego obliczem, mając do dyspozycji niszczącą potęgę, która leży w abasa, może bylibyśmy w stanie go pokonać.

— Czy moglibyście – czy zechcecie – umożliwić nam to, wszywając na waszym świecie kilku z nas abasa?

Dreyer tłumaczył pośpiesznie wypowiadane przez Underwooda słowa, tak szybko jak to było możliwe, podczas gdy Jandro leżał z zamkniętymi oczyma, tak jakby spał pozbawionym sennych marzeń snem. Minął dłuższy czas, zanim Dreyer skończył, a wtedy Jandro ponownie powoli otworzył oczy.

Jego głos był tak cichy, że Dreyer musiał się nachylić nad nim, aby wychwycić słowa.

— Historia, którą mi opowiedzieliście, jest bardzo dziwna — powiedział, — ale mam wrażenie, że słowa które przed chwilą usłyszałem, są prawdziwe. Co do waszej prośby – nie. To całkowicie niemożliwe, byście mogli otrzymać świeże abasa, tak jak dzieci z naszej rasy. Nie chodzi o to,

że nie mógłbym tego umożliwić dla części z was – bardzo niewielu – ale abasa może zostać zainstalowana tylko u bardzo młodych osób.

— Korzystanie z abasa jest bardzo podobne do używania organów ruchu, czy mowy. Organy muszą się rozwinąć ze swej bardzo podstawowej postaci, poprzez wieloletnie ich użytkowanie, a umiejętności postępowania z nimi przychodzą dużo wolniej, niż inne powszechne umiejętności. Chociaż instalowane są one w nas w wieku niemowlęcym, większość z nas jest już w pełni dojrzałych, zanim osiągnie odpowiednią zręczność w ich stosowaniu. Już tylko z tego powodu, wyposażenie was w te organy byłoby niemożliwe.

Spojrzenie Underwooda napotkało po drugiej stronie łóżka wzrok Illii i patrzyli na siebie przez niekończącą się chwilę. Underwood próbował znaleźć w niej siłę, aby wytrzymać to miażdżące rozczarowanie. Spojrzenie Illii niosło niewzruszone przekonanie, że uda się jeszcze znaleźć jakiś sposób.

— Wasza rasa z czasem rozwinie się i nauczy się korzystania z abasa — mówił dalej Jandro, — ale dopiero za wiele setek pokoleń. Z tego co widziałem u waszych rodaków, zastanawiam się jak wasz świat by wyglądał, gdyby każdy z was posiadł moc zabijania na życzenie, po cichu, bez możliwości wykrycia. Nie znam odpowiedzi na to pytanie, ale proszę was, byście sami sobie na nie odpowiedzieli. Już sam fakt, że do tej pory nie stworzyliście abasa, stanowi dowód na to, że jeszcze nie jesteście na nie gotowi.

— Dragbora żyją w pokoju nie dlatego, że posiedli taką straszliwą moc. Mogą żyć z taką mocą, ponieważ wcześniej nauczyli się, w jaki sposób człowiek powinien żyć u boku innego człowieka. Nie potraficie zrozumieć, dlaczego potęga śmierci jest nierozłącznie związana z abasa. To tylko jedna z nieuniknionych funkcji, towarzszących większym i bardziej pożytecznym mocom, o większości których, oczywiście, nigdy nawet się nie dowiecie. Gdybyście wiedzieli, to zastanawiam się, czy pragnęlibyście abasa dla waszej rasy, nawet gdyby możliwe było ich posiadanie przez was — zakończył Jandro.

— **D**la naszej rasy? Nie! — Underwood zadrżał na myśl, że każdy na Ziemi posiadałby natychmiastową, niewykrywalną moc zadania śmierci swemu sąsiadowi. — Masz rację, Jandro. Niezależnie od tego jakie jeszcze inne zdolności mogłyby oferować abasa, nie moglibyśmy z nimi żyć. Ale Demarzule jest czynnikiem całkowicie zewnętrznym, nie uwzględnionym przez naszą ewolucję. Nie mamy żadnych środków do obrony przed nim. Gdyby śmiertelna potęga abasa mogła zostać użyta do jego zniszczenia, dałoby to naszej rasie jedyną szansę oddalenia tego niebezpieczeństwa.

— A jednak mówisz, że to jest niemożliwe. To oznacza, że nie mamy żadnej nadziei na stawienie czoła barbarzyństwu, które zniszczy naszą cywilizację i zbrutalizuje naszych rodaków, nie wspominając tego, co to oznacza dla innych cywilizacji Galaktyki – włączając w to także twoją.

W pomieszczeniu nie było słuchać niemal żadnych innych dźwięków poza oddechami ludzi, zaś Ziemianie próbowali uniknąć nawzajem swoich spojrzeń, patrząc w dół na zamknięte oczy Jandro.

— Twój lud nie zasługuje na przekleństwo Demarzule i sireniańskiej żądzy supremacji — powoli powiedział Jandro. — A to co mówisz o reszcie Wszechświata, także jest prawdą. W pewnym sensie, Dragbora są za to odpowiedzialni. Demarzule jest wytworem sireniańsko-dragborańskiej cywilizacji. Moi przodkowie powinni się upewnić, że sireniańska gałąź na pewno wygasła. Być może jednak jest pewien sposób, w który mógłbym wam pomóc.

— Mógłbyś nam pomóc? — spytał Underwood z niecierpliwością i niedowierzaniem.

— Nie zostało mi już zbyt wiele czasu. Dobrze byłoby spróbować, w ciągu tej godziny, która mi pozostała, dokończenia zadania wygaszania gałęzi sireniańskiej – a przynajmniej umożliwienia tego wam. Jeśli ktoś z was zechce podjąć ryzyko, zrobię co będę mógł.

— Żadne ryzyko nie jest zbyt duże! Ale co możemy zrobić?

— O ile wiem, tego nigdy wcześniej nie próbowano, ale może moją abasa da się przenieść w ciebie.

Dreyer przetłumaczył ofertę Jandro, jego spojrzenie wędrowało od Illii do Underwooda. Cień nadziei zdawał się ponownie pojawiać mu w oczach.

Underwood ostro wciągnął powietrze.

— Zestaw w pełni rozwiniętych abasa, przeniesionych do mojego ciała! To pozwoliłoby jednemu z nas stawić czoła Demarzule na równych warunkach. Illia…

Jej twarz zrobiła się nagle zupełnie biała.

— To niemożliwe, Del! Nie mogłabym dokonać takiej operacji, bez wcześniejszych studiów ich anatomii. Nie mogę tego zrobić!

— Musisz to zrobić, Illio. Zaryzykuję powierzenie się tobie i twoim umiejętnościom.

— To po prostu śmieszne. Nie mam żadnych umiejętności przydatnych w tego typu przypadku. Niech pan mu to powie doktorze Dreyer. Nie może oczekiwać ode mnie aż tyle.

— Nie wiem, pani Illio — odparł semantyk. — Wydaje mi się, że wprowadza pani do tej analizy, swoje osobiste emocje. W takich warunkach nie jest pani w stanie tego poprawnie ocenić.

Przygryzła wargi, jakby chcąc powstrzymać dalsze słowa. W końcu powiedziała:

— Del, nie proś mnie o rzeczy niemożliwe. W trakcie operacji, którą oglądaliśmy, widziałam w jaki sposób oni rozdzielali nerwy. Tego nie da się zrobić bez długich ćwiczeń. A już zupełnie nie mogłabym tego zrobić na tobie.

Tak jakby wyczuwając sens ich dyskusji, Jandro nagle oznajmił:

— To prawda, że będziecie mieli duże trudności z wykonaniem udanej instalacji, ponieważ nie jesteście zaznajomieni z anatomią abasa, ale ja mogę wam w tym pomóc. Mogę wam doradzać i kierować waszymi rękoma do samego końca przecięcia nerwów do tri-abasa. Jeśli pozwolicie mi sobą pokierować, powinno wam się udać.

Underwood bez przerwy wpatrywał się w Illię. Twarz dziewczyny zrobiła się równie biała jak jej lśniące włosy.

— Spróbuję, Del — powiedziała w końcu.

Wieści o projektowanym eksperymencie szybko rozeszły się po statku, a ich treść przyjęto z pełnym obaw niezrozumieniem, tak jakby Underwood nagle wstąpił spomiędzy nich w jakąś mglistą krainę, znajdującą się poza ich zasięgiem. Ich strach powiększany był przez świadomość, że to mogło równie dobrze oznaczać śmierć.

W kilka minut po podjęciu decyzji, asystenci przetoczyli stoły z ubranymi na biało Underwoodem i Jandro, do sali operacyjnej.

Dziwny spokój, coś w rodzaju ekstazy, wydawał się spłynąć na Jandro. Underwood słyszał już i widział rezygnację w obliczu śmierci, ale nigdy jeszcze takiego ogromnego spokoju, jaki cechował Jandro. Miało to także uspokajający efekt na Underwooda, który odepchnął od siebie myśli o swej własnej możliwej śmierci lub okaleczeniu, w wyniku tej niecodziennej operacji. Myślał jedynie o misji, którą będzie miał do wypełnienia, kiedy posiądzie moce Dragbora.

Jeśli Illia miała jakiekolwiek wątpliwości, zniknęły one, kiedy stanęła przed Underwoodem. Sterylna biel chirurgicznego stroju zamaskowała jej osobiste poglądy i uczucia, pozostawiając jedynie bezimiennego chirurga, posiadającego odpowiednią wiedzę i umiejętności.

Underwood uśmiechnął się do niej szeroko, kiedy wstrzyknięto mu środek usypiający.

— Kiedy się obudzę, powiem ci, jak to jest czuć się jak Dragboranin.

Na sąsiednim stole operacyjnym, Akers przygotował Jandro do wstępnej czynności odsłonięcia organów abastycznych.

Po zakończeniu przygotowań, wszyscy biorący udział w operacji odebrali polecenie bez słów, aby oddali swoje umysły Jandro. To było niesamowite, nieziemskie doświadczenie. Udostępnili swe zmysły Dragboraninowi i stopniowo, z jego mózgu popłynęły do nich, impulsy kierujące ich działaniami.

Przez ułamek sekundy Illia zadrżała, dotykając elektronicznym skalpelem ciała u podstawy ogolonej czaszki Underwooda. Skóra została przecięta a jej nerwy zmieniły się w żelazne postronki.

Z narastającą szybkością, Akers i Illia zaczęli operować leżące przed nimi ciała. Ich dłonie poruszały się pewnie, tak jakby Jandro widział ich oczyma i korzystał z ich rąk.

Na głowie Underwooda pojawiło się głębokie rozcięcie, odsłaniające pulsujący mózg. Illia przez chwilę koncentrowała się, odbierając całą falę instrukcji napływających od Jandro. Potem skalpel szybko wyciął sobie bezkrwawo drogę we fragmencie nieużywanej tkanki.

Przeszła do sąsiedniego stołu i zajrzała w cięcie które Akers wykonał w głowie Jandro. Wstrzymała się, kiedy dotarły do niej jego kolejne słowa:

— To ostatni wspólny krok. Dalej już nie mogę pójść z wami. Od tej chwili trzymajcie się moich instrukcji, a uda się wam tego dokonać.

W jednej chwili jej umysł zalany został jakimiś niepojętymi informacjami – niemożliwymi do zapomnienia obrazami pozostałej części obecnej operacji, oraz tej następnej, w której miały zostać przeniesione organy znajdujące się w jamie brzusznej. Illia wiedziała, że każdy z tych obrazów przywołany zostanie w odpowiednim czasie, aby pokierować jej rękoma po nieznanych ścieżkach.

— Kontynuujcie! — rozkazał nagle Jandro. — Ja idę spocząć do seaa-abasa. Żegnajcie!

Napływ obrazów ustał i Illia nagle poczuła się samotna, jak dziecko w obliczu potężnej burzy. Od tej chwili nie było już nikogo, na kim mogłaby się oprzeć i musiała polegać tylko na swych umiejętnościach oraz telepatycznych instrukcjach.

Na chwilę zwątpiła i wyszeptała imię:

— Del… Del!

Akers czujnie ją obserwował, kiedy stała wpatrując się w obcy, nieziemski organ znajdujący się w mózgu martwego Dragboranina.

Ale on nie był już taki obcy. Znała jego skład, anatomię i złożone przyłącze nerwowe, które łączyło go z mózgiem. Wszystko było równie jasne, jakby studiowała te zagadnienia przez wiele lat.

Przepełniła ją fala zadowolenia i pewności siebie. Stała przed tym zadaniem samotnie, tak, ale to już nie miało żadnego znaczenia. Tylko ona posiadała umiejętności do przeprowadzenia tej operacji, a świat czekał na jej wyniki.

Jej skalpel wsunął się w ciało Jandro i wykonał precyzyjne cięcie, które oddzieliło tkankę od delikatnych, białych kanałów nerwowych, obsługujących organ abastyczny.

Przez pełną godzinę, a potem następną, Akers obserwował z pełną niedowierzania fascynacją jak Illia uwalnia dwanaście oddzielnych włókienek nerwowych obsługujących abasa, a potem przecina arterię krwionośną i napełnia ją roztworem chemicznym, który odżywiać będzie komórki organu, dopóki przez niego nie popłynie krew Underwooda.

W końcu pozostało jej już tylko zajęcie się tkankami łącznymi, utrzymującymi organ na miejscu. Illia przecięła je i zanurzyła dłonie w ochronnym płynie sterylizującym, przygotowanym na podstawie instrukcji Jandro. Rozprowadziła go po organie, a potem wyjęła go i szybko włożyła do odpowiedniego rozcięcia prowadzącego do mózgu Underwooda.

Ta faza operacji, nie kończyła nawet jej pierwszej połowy. Trzeba było przygotować naczynia krwionośne, tak by mogły służyć nowemu organowi w ciele Underwooda, oraz podłączyć dwanaście nerwów do układu współczulnego, do którego przedtem żadne tego rodzaju nerwy podłączone nie były.

Minęły kolejne dwie godziny, zanim ostatnie szwy zamknęły ranę na głowie Underwooda.

Kiedy Illia w końcu odłożyła igłę, dłoń jej nagle zatrzęsła się, i dreszcz przeszedł przez całe ciało.

— Może chcesz na razie odłożyć kolejną operacje? — spytał Akers. — Chyba nie dasz rady zrobić jeszcze drugiej tak trudnej jak ta.

— Niestety, jeśli będziemy mieli opóźnienie, tkanki zbyt mocno się zdegenerują. Gdybym tylko była taka szybka jak chirurdzy dragborańscy. Co to muszą być za ludzie! Przynieś mi zastrzyk neostrene i lepiej sobie też zrób. Zaraz jedziemy dalej.

Akers nie wyraził sprzeciwu, ale nie wierzył, że Illia będzie w stanie wytrzymać dłużej tak wymagające zabiegi. Jednak po chwili odpoczynku i zastrzyku środka stymulującego, podeszła z powrotem do stołów operacyjnych, aby przeprowadzić operację jamy brzusznej. Akers także i tym razem wykonał wstępne cięcia.

W sterówce, grupa przywódców oczekiwała na informacje, pozostając w dręczącej bezczynności. Terry Bernard krążył wokół pomieszczenia, jego ogniste, rozwiane włosy unosiły w powietrzu jak flara sygnałowa. Phyfe stał przy jednym z paneli obserwacyjnych, przyglądając się nieubłaganemu postępowi floty Demarzule. Dawson na swym fotelu kapitańskim wodził palcem po nieaktywnych przełącznikach na znajdującym się przed nim panelu. Najbardziej spokojny ze wszystkich, Dreyer, siedział po prostu na fotelu nawigatora i palił cygara w tak niemiłosiernych ilościach, że aż obciążyło to system wentylacyjny statku.

Terry zerknął z niepokojem na zegar na ścianie i przerwał swój marsz wokół sterówki.

— Minęło już trzynaście godzin, odkąd Underwood znalazł się tam w środku. Nie myślicie, że powinniśmy zapytać Illię…

— Są tylko dwie możliwości — przerwał mu Dreyer. — Sukces albo porażka. Nasze nagabywanie jej, nijak się nie przyczyni do sukcesu. Najlepiej będzie, jeśli nie będziemy przeszkadzać.

Mason obserwował z niepokojem postępy floty. Nikt nie wiedział, co się może wydarzyć, kiedy okręty przybędą na miejsce i otoczą „Lavoisiera", ale nie będą musieli długo czekać. Statki dzieliło od planety niewiele więcej niż minuty.

Jak gdyby kierowane jedną myślą, statki powoli skręciły na czarnym niebie, kiedy ich nawigatorzy i obserwatorzy dostrzegli ich, oraz ustawili kurs na podświetloną bańkę, oznaczającą pole siłowe, kryjące w swym wnętrzu „Lavoisiera".

Dla marynarzy oglądających wszystko z wnętrza bańki, był to przerażający widok. Panorama dwudziestu potężnych okrętów nagle przechodzących do lotu nurkującego, skierowanego w ich stronę. W jednej chwili w bańkę zostało wycelowanych całe mnóstwo straszliwych Atomowych Wiązek, ewidentnie nie w bezsensownej nadziei przebicia się przez ochronę pola siłowego, ale po to by zniszczyć niewielkie sondy z sensorami i uniemożliwić statkowi odlot z planety.

W walce w kosmosie, gdzie statek mógł wykonywać dowolne skręty i obroty, oraz bronić się, zniszczenie sond nie było takie łatwe. Ale w przypadku nieruchomego statku, spoczywającego na powierzchni planety, strumienie niesamowicie potężnego ognia zalały każdy milimetr kwadratowy osłony, penetrując, niszcząc i uszkadzając mnóstwo przekaźników na „Lavoisierze”, zamykając cienkie jak włos prześwity w polu siłowym, po wypaleniu obsługiwanych przez nie sond.

Mason odszedł od płyt widokowych, kiedy ich segmenty, jeden po drugim zaczęły gasnąć, a po chwili nie było już widać niczego, co się dzieje w świecie zewnętrznym.

Odwrócił się do reszty i machnął ręką w kierunku ciemnych płyt.

— I to by było na tyle.

Urok, który na nich padł, przełamany został dopiero kilka minut później, przez nagły głos Illii w interfonie.

— Operacja zakończyła się.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Świadomość Underwooda powracała, tak jakby w odpowiedzi na uparty głos jakiegoś niewidzialnego mówcy. Wyrwał on go z głębin wieczności istnienia, przywracając do królestwa konfliktu i rzeczywistości. Ciekawe, że brzmiał on jak głos Jandro.

Otworzył oczy. Koło niego czekała Illia, z bladą i napiętą twarzą. Ale kiedy spojrzał na nią, jej niebieskie oczy rozbłysły, a ona nachyliła się nad nim.

— Dell! Och, Dell…!

Koło łóżka stali Terry, Phyfe, Mason i Akers, patrząc na niego z zaniepokojonymi twarzami.

Ból zaczynał się ujawniać, piekącymi igłami, ale udało mu się szybko przybrać uśmiech dla otaczających go przyjaciół.

— Wygląda, jakby wszystko dobrze poszło — powiedział. — Ciekaw jestem, co mogę teraz robić przy pomocy tych gadżetów. Jak myślisz, Illia, będą działać?

Wstała, znowu zachowując się energicznie i rzeczowo.

— Na razie raczej się tego nie dowiesz. Zamierzam posłać cię na dobre dwadzieścia cztery godziny w objęcia Morfeusza. Daj mi rękę.

Sięgnęła po strzykawkę ze środkiem usypiającym, leżącą na stole koło łóżka.

Na początku, było to trochę jak potykanie się na oślep w ciemności, próbując ucieczki przed jakimś niewidocznym prześladowcą. Ale nagle, w jednej chwili Underwood zorientował się, że w ogóle nie musi uciekać. Środek usypiający zablokował aparat zmysłowy we wszystkich innych częściach jego ciała, ale nie był w stanie oddziaływać na organy abastyczne, jeżeli on tego nie chciał. Zaprzestał ucieczki i zaczął przyglądać się, jak zwykłe części jego ciała poddają się narkotykowi, podczas gdy on sam stał z boku, będąc w pełni odporny. Czuł że mógłby wyjść ze swego ciała i patrzeć na siebie spoza niego.

I, nagle, dokładnie to zrobił!

Widział całe pomieszczenie, obserwujących naukowców i Illię uważnie kontrolującą akcję jego serca i oddech. Widział nawet siebie samego, leżącego nieruchomo, z zamkniętymi oczyma. Ciekawe, że nie mógł jakoś zidentyfikować punktu z którego patrzy. Przez chwilę wydawało mu się, że znajduje się gdzieś w górze, pod sufitem, patrząc na dół, ale nie miał racji, ponieważ widział cały sufit równie dobrze jak i podłogę, tak samo każdą z czterech ścian. Wszystko wyglądało jak zdjęcie zrobione przy pomocy

obiektywu o stałym kącie widzenia, równym trzystu sześćdziesięciu stopniom.

Ciekawiło go, czy może wyjść poza ograniczoną przestrzeń pomieszczenia szpitalnego. Spróbował i stwierdził, że było to dosyć proste. Odczuwał pewne opory, z powodu braku odpowiedniego doświadczenia i uwarunkowania, które zatrzymało go przed ścianą, gdzie przeżył chwilę klaustrofobicznego strachu, że zostanie uwięziony pomiędzy metalowymi panelami, ale po chwili to minęło i bez trudu przez nią przeszedł. Ruszył w stronę sterówki i stwierdził, że w środku jest tylko Dreyer, który spokojnie siedział w fotelu nawigatora, paląc cygaro.

Underwood chciał skomunikować się z semantykiem, tylko nie był pewien jak to zrobić. To było jak próba rozmowy z ustami pełnymi suchych krakersów.

Dreyer jednak nagle popatrzył z zaskoczeniem wokół siebie. Wyjął cygaro z ust i z niedowierzaniem rozglądał się za niewidocznym mówcą.

— Dreyer, słyszy mnie pan?

— Underwood! Udało się panu!

— Mniej więcej. Jak na razie, przypomina to przedzieranie się przez głębokie błoto, ale stopniowo zaczynam się do tego przyzwyczajać.

— To cudowne – cudowne! — Dreyer odetchnął. — Nie śmiałem nawet marzyć, że kiedyś usłyszę jeszcze pański głos. Gdzie pan jest?

— To trudne pytanie. Teoretycznie, leżę uśpiony w ambulatorium, a zastrzyk neo-morfiny powinien mnie wyłączyć na dwadzieścia cztery godziny. Ilia i pozostali siedzą tam, pilnując mnie. Zmysły abastyczne nie zostały jednak dotknięte przez narkotyk. Zdaje się, że mogę sobie chodzić gdzie chcę, po całym statku. Zabawne, że nie potrafię uchwycić punktu, z którego patrzę. Wydaje się on być wszędzie i nigdzie. W każdym razie, moje zmysły odbierają odległe dźwięki i obiekty - włączając w to moje własne ciało.

— Czy może pan wykrywać moje myśli, kiedy nie mówię? Jandro chyba nie był w stanie tego robić.

Underwood roześmiał się.

— Nie wiem, czy mogę to robić, czy nie. Próbuję, ale odbieram tylko rozmyte zakłócenia. Jestem pewien, że te organy mają mnóstwo funkcji, o których wcześniej nawet nie marzyliśmy. Mam nadzieję, że uda mi się je wszystkie opanować.

— Co pan teraz planuje? Czy potrzebuje pan trochę czasu na ćwiczenia i badania?

— Trochę, ale znacznie mniej niż potrzebowałbym, gdyby nie wszczepiono mi dojrzałych organów Jandro. Jednak jest coś, o czym wcześniej nie pomyśleliśmy.

— Co takiego?

— Możemy ciągle szukać broni Dragbora, po którą tu przylecieliśmy. Korzystając z tych nowych zmysłów, mogę wyjść poza statek. Nie wiem, czy będę w stanie pokryć obszar całej planety, ale nawet jeśli nie, możemy się przemieszczać żeby zwiększyć mój zasięg. To będzie szło bardzo wolno, ponieważ tylko ja jestem w stanie jej szukać, ale stopniowo możemy przyśpieszać, w miarę jak będę mógł poruszać się coraz szybciej.

— Zastanawiam się tylko, czy będzie to możliwe w obecności floty – chyba. że nie wiedział pan o ich przylocie? — Dreyer wskazał ręką w kierunku ciemnych płyt wizyjnych.

— **N**ie wiedziałem. Co oni tam robią?

Underwood uświadomił sobie natychmiast absurdalność tego pytania. Dreyer nie mógł wiedzieć na ten temat więcej niż on, ponieważ cała komunikacja z zewnętrzem została przerwana.

Z całą siłą, jaką był w stanie zebrać, wyrzucił swoje nowe moce poza statek, na zmagające się kontrasty gorąca i zimna bezludnej planety. Poczuł się tak, jakby wystrzelił w kosmos, ponieważ przed jego oczyma roztaczała się szeroka panorama planety Dragbora i pracowicie działającej floty Demarzule.

Wszystko w Underwoodzie zbuntowało się na widok, który zobaczył. Całe otoczenie statku zmieniło się w morze niszczącego ognia. Wielkie miasto Dragbora obrócone zostało przez dwadzieścia ziemskich statków w stopione zgliszcza. Okręty floty krążyły powoli po spirali, z potężnymi promieniami Wiązki Atomowej, skierowanymi na znajdujące się pod nimi budynki. W chwili, kiedy Underwood to obserwował, zakończyły one niszczenie tego i zaczynały się przenosić w kierunku kolejnego wielkiego miasta, położonego niecałe sto mil stąd.

Jaki cel miała ta radosna demolka, Underwood nie był w stanie pojąć. Być może teraz, kiedy naukowcy zostali zamknięci pod osłoną pola, Ziemianie mieli nadzieję zniszczyć super-broń, która mogłaby wysadzić z siodła Demarzule.

Za kilka godzin, główne miasta tej planety zmienią się w bezkształtne kopce zastygłej lawy.

Zastanawiał się nad próbą wdarcia się na pokład tych statków i pokonania ich załóg. Natychmiast rozsądek powiedział mu – nie, ponieważ nadal był nowicjuszem w korzystaniu z nowych zdolności, które posiadł. Ale stały za tym również poważniejsze powody. Gdyby się odsłonił, wykonując takie ataki, statki powiadomiłyby o tym Ziemię, a Demarzule bez trudu zidentyfikowałby metody użyte przeciwko jego ludziom i przygotowałby się na nie. Underwood wiedział, jak to niszczenie archeologicznych skarbów wpłynęłoby na Phyfe'a i Terry'ego, ale ważniejsza była utrata wszelkich szans podjęcia poszukiwań broni.

Skierował swoje zmysły ku bąblowi osłony, kryjącemu „Lavoisiera". Jej lśniąca skorupa, była jedyną rzeczą w całym rozległym mieście, której nie spowijały dymy zniszczenia.

Kiedy Underwood na nią spojrzał, wstrząs zrozumienia niemalże go powalił. W radosnej beztrosce swego lotu ponad planetę, przeoczył element najbardziej istotny ze wszystkich.

On – a przynajmniej jego zmysły – pokonały nieprzeniknioną skorupę pola siłowego.

Z tą wstrząsającą świadomością, zmieszał się nagły lęk. Czy zdoła przez nią wrócić? Przede wszystkim, w jaki sposób przedostał się przez barierę? Matematycznie niemożliwe było, żeby można przez nią przetransmitować jakąkolwiek materię, czy energię.

Czy jego zmysły stanowiły reprezentację nicości?

Odepchnął się w kierunku skorupy pola, czekając na zderzenie – i nic nie poczuł. Po chwili przeszedł przez nią, spoglądając na jej wnętrze i znajdujący się w jego środku statek.

Kiedy wpadł do sterówki, jego umysł kipiał z emocji wobec znaczenia odkrycia, którego właśnie dokonał. W międzyczasie do siedzącego tam Dreyera przyłączyli się inni. Mason wraz z kilkoma swoimi ludźmi usiłowali zastąpić część sond, teraz kiedy atak na statek chwilowo ustał.

— Znaleźliśmy ją! — zawołał Underwood. — Mamy broń, którą Dragbora skierowali przeciw Sirenii!

Illia podskoczyła z krzykiem, na nagły wstrząs dla jej steranych komórek nerwowych.

Mason okręcił się wokół siebie ze strachem i zawołał:

— Underwood! Gdzie jesteś?

— Możemy ich zniszczyć, gdziekolwiek by się nie schowali! — oznajmił Underwood. — Nieważne dokąd Demarzule spróbuje uciec, dopadnę go. Nie ma miejsca w całym Wszechświecie, w którym mógłby się przede mną ukryć!

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Fizyczne ciało Underwooda powoli doszło do siebie po ciężkim wstrząsie, jakim była dla niego operacja. Nie czuł, jednak, będącego jej skutkiem bólu, ponieważ posiadanie zmysłów abastycznych, zbliżone było do posiadania drugiego ciała. Mógł zamknąć wszystkie normalne kanały percepcji, i istnieć działając swoją świadomością wyłącznie przez zmysły abastyczne.

Kiedy flota krążyła wokół planety po swej drodze bezsensownego zniszczenia, Underwood spędzał czas na ćwiczeniu korzystania ze swych nowych zdolności.

Stopniowo zyskiwał zrozumienie ich właściwości oraz niektórych funkcji. Tri-abasa był to organ sensoryczny, zlokalizowany u podstawy mózgu, potrafiący odbierać odległe, możliwe do skupienia doznania, które mogły zostać wykryte przez któryś z jego pięciu normalnych zmysłów. Były one, jednak, możliwe do kontrolowania odnośnie do ich subiektywnych efektów, jak stwierdził kiedy wyszedł poza statek. Chociaż był świadom zimna przestrzeni międzygwiezdnej, nie miało ono żadnego subiektywnego efektu na jego ciało, ani aparat czuciowy.

Dor-abasa był organem komunikacyjnym, ale działającym w połączeniu z tri-abasa w celu przekazywania i odbioru doznań zmysłowych. Funkcjonowało to tak, że ich wspólne działanie, mogło transmitować nie tylko w znaczeniu zwykłej komunikacji, ale przenosić faktyczne odczucia ciepła, zimna, światła, dźwięku.

No i, oczywiście, te same dwa organy były zdolne do zadawania szybkiej i cichej śmierci.

Jak to działało, była to największa tajemnica, którą musiał rozwiązać Underwood. Eksperymentował uderzając swymi mocami w sztuczny układ nerwowy, przygotowany w formie sieci przewodów. W przewodach zdecydowanie pomierzono powstawanie silnego pola elektrycznego, ale miało ono właściwości przekraczające całe uprzednie doświadczenia fizyków. Pomimo tego Underwood kontynuował swoje ćwiczenia i stwierdził, że za każdym razem był w stanie zwiększyć siłę tego pola. Chociaż niezbędne, pełne zrozumienie tego jak niszczyło ono tkankę nerwową, mogło poczekać do czasu kiedy zrealizują swoje cele na Ziemi.

Trzeci organ seaa-abasa, był najdziwniejszy ze wszystkich. Aczkolwiek powiązany ściśle kanałami nerwowymi z pozostałymi dwoma, tym niemniej nie miał on żadnych oczywistych funkcji. Jandro mówił o nim, jako o gnieździe życia. Wydawało się, że zgodnie z wierzeniami Dragbora, wszystko co reprezentowało indywidualną osobowość, mogło zostać przesłane do seaa-abasa, kiedy nadchodziła śmierć.

Wiedza o sztucznej rekonstrukcji nowych ciał, w których można było umieścić organ, proces realizacji dosłownego zmartwychwstania, została utracona eony temu, ale Dragbora żyli z nadzieją odzyskania tej zapomnianej sztuki. W ten sposób wyjaśniali zwyczaj przechowywania seaa-abasa. Każda rodzina posiadała ogromną kolekcję organów swych przodków, sięgającą wstecz do czasów ucieczki z ich ojczystej planety.

Naukowcy nie wiedzieli, czy były jakieś faktyczne podstawy do podtrzymania tej teorii. Ewidentnie takiego zmartwychwstania nigdy nie udało się osiągnąć, a jednak po śmierci każdego człowieka seaa-abasa były skrupulatnie usuwane i przechowywane.

Underwood czuł się jak jakiś starożytny gladiator, trenujący przed walką na arenie, ale nigdy w historii żaden gladiator nie walczył o taką stawkę. Nikt nie wiedział lepiej niż on, że w chwili kiedy stawi czoła Demarzule i rzuci wyzwanie Sirenianinowi, może stanąć przed równymi mu, a może nawet większymi mocami destrukcji, ponieważ Demarzule miał ogromne doświadczenie.

Był sposób obrony przeciwko temu wszystkiemu, i na niego właśnie Underwood zwrócił swoją uwagę, ponieważ był on trudny w użyciu. Dor-abasa miało zdolność do absorbowania i przechowywania niszczących energii. Underwood odkrył to niemalże przez przypadek, kiedy technicy Masona przygotowali urządzenia do powielenia niszczącej siły tak dokładnie, jak to tylko jest możliwe. Była ona słaba i zupełnie nieskuteczna, ale zadziałała na dor-abasa, a organ mimowolnie ją pochłonął.

Był absolutnie pewien, że udało im się odnaleźć wielką broń, po którą tutaj przybyli. Starożytna cywilizacja dragborańsko-sireniańska ewidentnie stosowała do ochrony pole siłowe. Słowa Toshmere stwierdzały to wyraźnie, ale nie zrozumieli ich konsekwencji, kiedy powiedział: „Znaleźli sposób przejścia przez barierę pola. Nasi ludzie padają jeden po drugim."

Wyszkoleni w myśleniu o charakterze fizycznym, przeoczyli wszystkie tego rodzaju możliwości, jak moce wyższego rzędu dragborańskiego abasa.

Była jednak pewna sprawa, która niepokoiła Underwooda. Chodziło tu o możliwość tworzenia efektów broni abastycznej, przy pomocy środków elektronicznych. Chociaż naukowcy zawiedli niemal kompletnie, próbując tego dokonać, ale zastanawiał się czy Ziemianie i Demarzule nie mogli w tym zakresie odnieść większych sukcesów.

Na korzyść naukowców działał jednakże fakt, że chociaż Demarzule posiadał ogromne zasoby wiedzy naukowej, był on jednak tylko dyktatorem, politykiem. Nie był naukowcem.

Trzeciego dnia po operacji, Underwood był już w stanie przejść kilka kroków po statku, ale za pośrednictwem zmysłów abastycznych przez cały czas aktywnie nadzorował prace w laboratorium.

Czuł, że jego zdolności potęgują się niemal z każdą godziną, a panorama nowego świata fizycznych i mentalnych mocy, w który wkraczał, była niemalże przytłaczająca. Wyczuwał istnienie nowych, niewypróbowanych jeszcze właściwości organów, z którymi jednak jeszcze nie odważył się interesować. Będzie na to czas, kiedy dotrą na Ziemię.

Flota z Ziemi znajdowała się pod dokładną obserwacją. Jej radosna demolka starożytnych miast skończyła się, zanim jeszcze Underwood był w stanie fizycznie wstać z łóżka. Obserwatorzy zameldowali, że statki zawracają i kierują się z powrotem w stronę „Lavoisiera".

— Lepiej zabierajmy się w kosmos — stwierdził Underwood. — Nie ma sensu czekać tu dłużej, a nie chciałbym, żeby znowu popalili nam wszystkie sondy, skoro możemy temu zapobiec. Mogą próbować wysłać nam w ten sposób wezwanie do poddania, albo coś podobnego, ale lepiej będzie jeśli stanie się to w kosmosie, gdzie będziemy w stanie manewrować.

„Lavoisier" uniósł się z powierzchni planety i wziął kurs na Ziemię, położoną ponad dziewięćdziesiąt milionów lat świetlnych stąd.

Otaczająca go osłona pola siłowego błyszczała w kosmosie jak nowa gwiazda, i obserwatorzy na pokładzie dostrzegli poprzez sondy, że flota szybko zmieniła swój kurs na pościgowy.

Underwood opuścił statek i pozwolił swym zmysłom powędrować przez otaczający ich kosmos. Pozostał w przestrzeni jak jakiś wszechmocny obserwator, podczas gdy lśniący bąbel pędził po niebieskich szlakach. Za nim podążało dwadzieścia potężnych okrętów bojowych, z przyspieszeniem na tyle dużym, by doścignąć „Lavoisiera". Impulsywnie, Underwood podryfował w kierunku najbliższego z nich i przeszedł przez kadłub.

Był to gigantyczny statek flagowy, „Creagor". Wyznawcy, tworzący siły zbrojne, wyglądali jak ludzie odrodzeni. Nie było śladu zmanierowanego nastroju rozczarowania, przeważającego na Ziemi przed przybyciem Demarzule. Zastąpiła go atmosfera natchnionej żarliwości, przerażająca Underwooda. Było w niej coś fanatycznego, desperackiego i niezdrowego.

Spróbował wyobrazić sobie narody na Ziemi, pełne takich ludzi kierowanych przez te same niegodziwe podszepty. Doprowadzało go to do mdłości, ponieważ nawet jeśli Demarzule zostanie zniszczony, Ziemia przez całe nadchodzące dziesięciolecia nie będzie miejscem, w którym rozsądny człowiek będzie mógł znaleźć pokój. Dzięki swej śmierci, Demarzule może stać się męczennikiem, i żyć mocniej niż wcześniej w umysłach swych zwolenników.

Kiedy Underwood przemieszczał się w ten dziwaczny sposób, miał okazję usłyszeć kilka uwag dotyczących „Lavoisiera" i znajdujących się na nim naukowców. Bluźniercy i niewierni, były to najłagodniejsze określenia, jakimi ich obdarzano.

Dotarł do sterówki, w której admirał naradzał się właśnie z kapitanem statku flagowego.

— Mamy nowe rozkazy, kapitanie Montrose — mówił właśnie admirał. — Zniszczenie statku i jego załogi ma być całkowite.

— Czyli zastępuje to rozkaz wzięcia ich do niewoli?

Admirał skinął głową.

— Rozkazy mają zostać natychmiast przekazane na wszystkie okręty. Przeprowadzimy skoordynowany atak, przy pomocy nowego dyzruptora pola siłowego.

Underwood zamarł słysząc te słowa. Czy Demarzule sprowadził ze sobą jakieś straszliwe środki przebijania się przez skorupę pola siłowego, sprawiające że stanie się ono bezużyteczne? To był absolutnie jedyny środek obrony, jaki posiadał „Lavoisier". Jego własne emitery Wiązki Atomowej będą nieskuteczne przeciw dwudziestu otaczającym go statkom.

Underwood usłyszał wydawane rozkazy. Cały statek flagowy wypełniła atmosfera niemalże elektrycznego napięcia. Był to pierwszy raz, kiedy próbowano tej broni na nieprzyjacielu, jak przypuszczał Underwood. Marynarze aż kipieli budzącą mdłości żądzą zabijania.

Underwood ruszył szybko przez statek, próbując zlokalizować maszyny, które miały zostać obrócone przeciwko bezbronnemu statkowi laboratoryjnemu. Nadal nie do końca wierzył, aby cokolwiek mogło się przebić przez skorupę pola siłowego. Ale kiedy zobaczył tę broń, wiedział że dla cywilizacji, która nawykła polegać do obrony na skorupie pola siłowego, nadeszła chwila klęski.

Obserwował marynarzy siedzących przy skomplikowanych pulpitach, które kontrolowały dopływ mocy i skupiały emitery na odległym celu.

Underwood popędził natychmiast na dalekiego „Lavoisiera", żeby zobaczyć jakie skutki ma to uderzenie. Skorupa pola siłowego wokół statku laboratoryjnego jaśniała delikatną, różowawą aurą wywołaną przez skupione na niej dwadzieścia promieni.

Kiedy dotarł na miejsce, nie było żadnych widocznych efektów ich działania, natychmiast błyszcząca skorupa osłony zaczęła zmieniać kolor na czerwony w miejscach, w których pole siłowe słabło.

Widząc to, Underwood zrozumiał sposób działania dyzruptora. On nie przebijał skorupy pola. Byłoby to niemożliwością. Ale zakłócał równowagę sił, które utrzymywały pole w formie skorupy i powodował, że zaczynało ono się obracać. To zaś z kolei, wywoływało potężne przepływy energii przez generatory na pokładzie „Lavoisiera" i wkrótce doprowadzi do ich spalenia, pozostawiając statek bezbronną ofiarą Wiązek Atomowych.

Nie było czasu by wejść na pokład „Lavoisiera", aby ich ostrzec. Underwood wrócił ze swą bezcielesną prędkością na „Creagora".

Tam, w czeluściach statku, odnalazł głównego operatora, który kierował te promienie na „Lavoisiera". Z całą mocą swych organów abastycznych wypuścił niszczycielską falę energii w kanały nerwowe tego człowieka.

Dla kogoś nieprzyzwyczajonego do zabijania, rezultat był wstrząsający. Mężczyzna poderwał się do góry przed swym panelem, znieruchomiał niepewnie i padł jak długi w labirynt przełączników.

Underwood nie miał czasu na rozważania na temat swego pierwszego bezlitosnego zabójstwa. Skomplikowana maszyneria dyzruptora zatrzymała się z jękiem, pośród klekotania przekaźników.

Underwood przemieścił się do innego sektora statku, gdzie potężne emitery Wiązki Atomowej oczekiwały na swą ofiarę. Ostrożnie wysunął nieco moce dor-abasa. Miał wrażenie, że może wyczuć drogę ich uderzenia wzdłuż kanałów nerwowych umysłu operatora, aż do głębin jego mózgu. Potem wyrzucił je do przodu jednym nagłym, gwałtownym rozkazem.

Operator bez wahania przekręcił koła, które ustawiały promienniki. Spoczęły one wycelowane w stronę najbliższego ze statków floty.

— Ognia! — rozkazał Underwood.

Palce operatora zamknęły się na przełącznikach. Wiązka Atomowa strzeliła przez przestrzeń, rozdarła wnętrze braterskiej jednostki i wyrzuciła jej fragmenty daleko w kosmos. Niektóre z nich uderzyły w inne okręty, bombardując je, wyrzucając z kursu.

Przez chwilę po tej katastrofie, dowódcy floty zostali sparaliżowani, nie będąc w stanie zareagować, podczas gdy ich szeregi ogarnęło zamieszanie. Pomieszczenie wypełniły histeryczne wrzaski operatora.

— Ja tego nie zrobiłem! — krzyczał. — To coś mnie zmusiło…

Część statków nadal atakowała „Lavoisiera”. Underwood nie wiedział, jak długo jeszcze będzie on w stanie wytrzymać. Popędził na kolejny ze statków, na którym panowało łagodniejsze, ale nie mniej destrukcyjne zamieszanie, kiedy wieści o niewytłumaczalnej katastrofie dotarły do astronautów najniższego stopnia.

Underwood znalazł kabinę kontroli ognia. Pokonał drogę wzdłuż kanałów nerwowych operatora i obrócił emitery. Tym razem celem był potężny statek flagowy.

Operator aż sapnął ze zgrozy, kiedy tytaniczny kadłub znalazł się prosto na celownikach, ale z nieomylną precyzją jego dłonie ustawiły promienniki tak, by skupiły się dokładnie na celu.

Palce operatora nacisnęły przełączniki.

W miejscu, w którym znajdował się kosmiczny lewiatan, rozbłysnął bezgłośnie kłąb płomieni. Płyty wizyjne na statkach floty poczerniały w ochronie przez ogromnym przeciążeniem. Kiedy ponownie pojawił się na nich obraz, pokazały one dryfujący, bezradny kadłub tylnej jednej trzeciej statku.

Bezpośrednie cele zostały osiągnięte. Promienie dyzruptorów zniknęły, zaś osiemnaście statków zbierało się wokół poczerniałych wraków, starając się ocalić wszystkich możliwych rozbitków.

Underwood wykorzystał ten moment i rozproszył swoje moce, tak że objęły one całą flotę. Przemówił, a jego głos mógł usłyszeć każdy z ludzi na tych potężnych statkach.

— Ludzie z Ziemi! Poprzysięgliście wierność Sirenianinowi Demarzule, z powodu jego potęgi. Teraz przysięgniecie wierność mocy, która jest na tyle duża, aby zetrzeć Demarzule z oblicza cywilizacji. Zabiłem waszych towarzyszy pomiędzy wami i zniszczyłem wasze dwa najsilniejsze statki – a nikt z was nawet mnie nie widział. Nie wiecie w jaki sposób wdarłem się między was, ani jak to się dzieje, że każdy człowiek na każdym statku równocześnie, może słyszeć mój głos.

— Zdradziliście swoją rasę dla obcego, który zniszczył wiele planet i zrujnował wiele Galaktyk. Jesteście winni najwyższej zdrady wobec ludzkości. Czymże moglibyście zetrzeć taką plamę na honorze?

— Możecie dołączyć do sił, które zmiażdżą potwora Demarzule! Możecie przyjąć przywództwo większej mocy – albo zostaniecie zniszczeni. Wybierajcie!

Przez chwilę na pokładach okrętów zapanowała głuche milczenie, a potem wybuchnął gwar głosów, nie cichnący przez długie minuty.

Underwood wycofał się z floty i powrócił do sterówki „Lavoisiera". Tam zastał chaos rozpaczy. Mason poprawnie zdiagnozował rodzaj broni, który flota skierowała przeciwko ich statkowi.

Chociaż jego fizyczne ciało ciągle jeszcze leżało w izbie chorych, jednak wszyscy na pokładzie przyzwyczaili się już do nieoczekiwanego głosu w swych umysłach. Szybko opowiedział im, czego dokonał. Kiedy skończył, spytał:

— Mason, jakie ponieśliśmy uszkodzenia, jeśli w ogóle jakieś były?

— Zostały nam tylko dwa niepewne generatory. Nie wytrzymamy kolejnego takiego uderzenia. Skąd oni wzięli te maszyny?

— Nie wiem. Możliwe, że to jest coś, co właśnie zaczął tworzyć Toshmere. Może też któryś z naszych ludzi opracował je na podstawie wskazówek udzielonych mu przez Demarzule. Trudno powiedzieć. W tej chwili najważniejsze jest, że złapaliśmy tygrysa za ogon. Na razie nad nim panujemy, ale nie jestem pewien co się stanie, kiedy oni trochę się pozbierają. Jeśli nie przyjmą mojego ultimatum, możemy być w kropce.

— A jeżeli to zrobią – to co my zrobimy z całą flotą fanatyków i naiwniaków?

— Będziemy potrzebować każdego sojusznika, jakiego uda nam się znaleźć. Bez wątpienia, wiadomości o tej katastrofie pomknęły już z powrotem na Ziemię, zanim się do nich odezwałem. Demarzule wie, że się zbliżamy i jest świadom naszej mocy. Z pewnością wyśle znaczne siły, żeby nas przechwyciły i zniszczyły. Jeżeli zdołamy uzyskać kontrolę nad tymi statkami, możemy rzucić je przeciw wszystkim, którzy spróbują nas zatrzymać i dzięki temu może jakoś uda nam się przekraść przez obronę Ziemi. To nieważne, co się stanie z każdym z nas – istotne jest tylko abym ja dotarł na tyle blisko Demarzule, żeby go dopaść.

W tej samej chwili do Masona podszedł kapitan Dawson.

— Wiadomość od floty. Oferują bezwarunkową kapitulację.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Ze zniszczonego statku flagowego wymontowano pomocnicze silniki. Po zainstalowaniu ich na „Lavoisierze”, bez trudu podniosły jego prędkość do poziomu najszybszych statków we flocie.

Tak więc, pobita a potem przeorganizowana flota, z niewielkim laboratoryjnym „Lavoisierem”, jako statkiem flagowym, skierowała się ponownie na Ziemię. W miarę jak mijały kolejne dni w kosmosie, podczas lotu w stronę Ziemi z niewiarygodną prędkością, fizycy i inżynierowie zmienili „Lavoisiera” w naprawdę śmiertelnie niebezpieczny statek wojenny. Zainstalowane zostały nowe i znacznie potężniejsze emitery Wiązki Atomowej, w miejscach poprzednio wykorzystywanych do bardziej pokojowych celów, zbudowano także masywne jednostki dyzruptora.

A kiedy pędzili przez otchłanie kosmosu, Underwood przemieszczał się ze statku na statek przy pomocy swoich zmysłów abastycznych, testując, badając i odfiltrowując ludzi z załóg okrętów bojowych.

Gdyby mógł sobie pozwolić na litość, musiałby im rozdać wszystko co posiadał, ponieważ byli oni naprawdę godni politowania. Wiedział, że wyznawane przez nich wartości, rozsypały się jak domek z kart, przez zadaną im z jego rąk klęskę. Gdyby nie ich wiara w to, że Demarzule jest niezwyciężony, oraz tak samo niezwyciężeni są i oni, ponieważ byli Jego Wyznawcami, nie była taka wielka, pokonanie ich nie byłoby takie łatwe. Underwood był wdzięczny za tę pychę, która uczyniła ich tak mało odpornymi, kiedy porażka pojawiła się w zasięgu wzroku.

Ich wierność jemu nie była stabilna, wiedział to. Ale większość z nich była skłonna związać swoją lojalność z naukowcami, ponieważ z neurotycznym pragnieniem pożądali przywództwa, a potęga która mogła po cichu i w niewidoczny sposób zmiażdżyć dwa okręty Wielkiego, była z pewnością potęgą nakazującą szacunek. W ten sposób rozumowali w swych rozchwianych umysłach.

Underwood usunął z kluczowych stanowisk tych, którzy ciągle mieli wątpliwości, albo ochotę do buntu, i przez całą długą podróż codziennie przemawiał do wszystkich marynarzy, czasami ich przekonując, czasami rozkazując, ale zawsze okazując potęgę, którą musieli darzyć respektem. Na koniec uznał, że załogi jego okrętów są tak pewne, jak tylko Ziemianie mogli być, w tej cywilizacji wątpliwości i powszechnego lekceważenia dla zaufania i uczciwości.

Ćwiczył się stale w wykorzystaniu zdolności abasa i jego umiejętności rosły, podobnie jak szacunek dla niewielkiej odrośli kultury Dragbora, który rozkwitał na małym, niegościnnym księżycu. Zdolności jakie posiadł, dla jego własnej rasy musiałyby oznaczać samobójstwo. Czasami

zastanawiał się, czy on sam zniesie pokusy na tyle długo, aby osiągnąć swój cel. Z pewnością, po jego realizacji, trzeba będzie organy usunąć. Wywoływany przez nie pociąg do potęgi, bogactwa i władzy niemalże przekraczał wszystko co jakikolwiek ludzki umysł na tym etapie ewolucji, był w stanie znieść.

Niemal u bram Ziemi, koło orbity Marsa, pojawiły się pierwsze oznaki zbliżającej się walki. Rozpoznanie przekazało ostrzeżenia. Duża liczba szybkich statków przechwytujących, wystartowała z Ziemi, kierując się w ich stronę.

Underwood żałował, że nie poświęcił więcej uwagi sztuce wojennej. Nie śmiał zaufać żadnemu z wojowników, którzy wpadli mu w ręce drogą podboju, ponieważ pod żadnym względem nie mógł pokazać, że wie mniej od nich. Ale ani on sam, ani żaden z naukowców nie posiadał kompetencji do tego, aby dowodzić w wirze bitwy złożoną jednostką wojskową, jaką była jego flota.

Jednak musiał zrobić to co było niezbędne. Uformował flotę w potężny cylinder taktyczny, z „Lavoisierem" pośrodku i resztą statków na jego bokach. Nie będzie żadnych fantazyjnych manewrów, tylko twarda, miażdżąca siła, wykorzystująca każdy erg energii, jaki dało się wygenerować na posiadanych okrętach.

Rozpraszacze entropii już od jakiegoś czasu pracowały pełną mocą, absorbując ułamek pędu niosącego flotę przez głębiny kosmosu, ale kiedy dotarli do serca Układu Słonecznego, ich prędkość ciągle była niezmierzona, według standardów solariańskich.

Statki przechwytujące były bezradne, jeśli chodzi o dorównanie im prędkością w tak krótkim czasie, ale ich fala zbliżała się niemalże na kursie kolizyjnym, obracając na flotę pełną furię swych dyzruptorów i Wiązek Atomowych.

Efekty ich ataku były niewielkie, ponieważ flota przemknęła koło nich, zasypując ich ogniem swojej własnej broni.

To przejście, jednakże, nic nie znaczyło. Jeśli „Lavoisier" miał podejść do lądowania, nie mógł pędzić dalej z taką prędkością, ponieważ już nieomal mijał Ziemię.

Underwood jednak, kiedy otworzył swe fizyczne oczy w sterówce i odsunął abastyczne zmysły, aby powrócić do swego normalnego ja, był zadowolony.

— Jestem pewien, że mój użyteczny zakres działania tych zdolności, wynosi co najmniej osiemdziesiąt tysięcy mil. Jandro powinien być w stanie ze swojego księżyca sprawdzić planetę Dragbora za pośrednictwem abasa, ale może nie zdawał sobie sprawy z tej możliwości. Wiem, że mój zasięg stale się powiększa.

— Co zamierzasz zrobić? — zapytał Terry. — Chcesz spróbować lądowania, czy zaatakować Demarzule nie schodząc na dół?

— Uważam, że bezpieczniej będzie pozostać w kosmosie. Jeśli uda nam się wmanewrować na orbitę, jakieś pięćdziesiąt tysięcy mil od Ziemi, i zdołamy odeprzeć ataki na tyle długo, by znaleźć Demarzule, to powinno dawać nam największe szanse sukcesu. Jeśli wylądujemy, będziemy wystawieni jak na patelni.

Panowała generalna zgoda z ocenami Underwooda, chociaż nikt na pokładzie statku nie pokładał specjalnej ufności w ich możliwości odpierania ataków, których się spodziewali. Przez cały czas przypominali sobie, że ocalenie ich samych oraz ich statków, nie było ważne. Liczyło się tylko to, by dać Underwoodowi odpowiednią sposobność do uderzenia w Demarzule siłami abastycznej broni. Po tym, powinni mieć szansę, aby zająć się innymi sprawami.

Pędzące jak pociski statki, zawróciły długo po tym, jak minęły Ziemię. Rozpraszacze entropii zaabsorbowały energię lotu statków i rozproszyły ją po kosmosie, odtwarzając mikroskopijne cząsteczki, które zostały rozbite, aby tę energię otrzymać.

Kiedy flota wytraciła swój pęd i krążyła po coraz bardziej zacieśniającej się spirali, jednostki przechwytujące uderzyły po raz kolejny.

Rozpędzona masa floty, utrzymywała teraz swój kurs. Strumienie energii wyrwanej z serc niezliczonej liczby atomów, wypływały w kosmos z gardeł wielkich emiterów zamontowanych na pokładach okrętów. Trzy ze statków przechwytujących rozbiły się na tej zaporze, zanim zdążyły podnieść swe własne pola siłowe.

Rozpoczęła się fantastyczna bitwa pomiędzy niemal nieodpartymi siłami. Zarówno Wiązki Atomowe, jak promienie dyzruptorów, mogły być wystrzeliwane tylko przez luki w polu siłowym, ale taki otwór stawał się sam pożądanym celem dla ognia nieprzyjacielskich Wiązek Atomowych. Dlatego technika prowadzenia walki między podobnie uzbrojonymi siłami, polegała na raptownym przesuwaniu prowadzonego przez dany statek ognia z promiennika na promiennik, tak by dany otwór w osłonie nie istniał na tyle długo, aby wróg mógł skoncentrować swój ostrzał na tym miejscu.

Statki przechwytujące były za małe, aby można na nich zamontować wyposażenie do takiej taktyki defensywnej. Ich jedyna wartość leżała w zwrotności. Kiedy uderzały na szeregi okrętów, wysyłane przez nie promienie, mogły wstrzelić się we wzorzec promienników, z niespodziewanego kierunku. Prawa rachunku prawdopodobieństwa czasami im sprzyjały, i ich Wiązki Atomowe trafiały bezpośrednio w otwory strzelnicze w polu siłowym. Bez względu na szybkość zamykania otworu, taki przypadek był wystarczający do zniszczenia statku. Tak więc, Underwood i jego towarzysze, mogli tylko obserwować jak ich ogromne okręty, kiedy otrzymywały takie trafienie, eksplodują w nowej ognia atomowego.

Jednostka przechwytująca w chwilę później sama dostawała się w skoncentrowany ogień okrętów sąsiadujących ze zniszczonym, ale jej

strata była dla nieprzyjaciela mało istotna. Te małe stateczki były do jednorazowego użytku, możliwe do spisania na straty, ponieważ w każdej chwili kolejne ich gromady opuszczały orbitę ziemską i podejmowały pościg za flotą.

Ale to nie ich zbliżanie powodowało, że serca ludzi na pokładzie „Lavoisiera", zadrżały. Za nimi bowiem, powoli, nieubłaganie, zbliżała się straszliwa flota pięćdziesięciu pancerników o olbrzymiej sile ognia.

— Jaki jest obecnie promień naszej orbity? — gwałtownie zapytał nawigatora Underwood.

— Sześćdziesiąt tysięcy.

— Zajmij się wszystkim, Mason — oznajmił Underwood. — Ja schodzę na Ziemię.

Chwila ta uderzyła ich wszystkich, chociaż próbowali się na nią przygotować, od czasu kiedy po raz pierwszy dowiedzieli się, że nadejdzie. Nie chodziło tu o ich szacunek i przyjaźń dla Underwooda, który mógł wkrótce umrzeć na ich oczach. Nie chodziło także o ich własną zbliżającą się zagładę w ogniu niezwyciężonej floty, która wkraczała właśnie do bitwy.

Chodziło o to, że była to chwila, która miała zadecydować o kierunku rozwoju historii ludzkości.

Wszystko zależało od pewnej dziwacznej broni, którą przejęli z rąk zapomnianego ludu w niekończącym się wirze cywilizacji, którego jedynym celem istnienia mogło być przeniesienie tej broni przez otchłań czasu, do tego momentu.

I tylko jeden z nich potrafił władać tą bronią, podczas gdy pozostali musieli stać z boku, nie znając przebiegu tego konfliktu, ani nie będąc w stanie pomóc.

Underwood usadowił się w głębokim fotelu, który miał utrzymywać jego ciało w wygodnej pozycji, a jego abastyczne zmysły pomknęły w stronę Ziemi, żeby dopaść i zmiażdżyć chodzący anachronizm, kładący się cieniem na ludzkiej cywilizacji.

To było ogromna sprawiedliwość, wręcz ironia losu, pomyślał sobie. Otrzymał olbrzymi przywilej, aby odkupić część swojej winy, której jak wiedział nigdy nie zdoła w swej duszy zatrzeć, ani zracjonalizować – winy związanej z odpowiedzialnością za przywrócenie Demarzule do życia.

Ze wszystkich osób obecnych w sterówce, tylko Illia się odezwała, czy też raczej wydała z siebie na wpół słyszalny okrzyk, zduszony w gardle, zanim jeszcze został do końca wypowiedziany.

Leżał z pozoru odprężony, z zamkniętymi oczyma, w tym wielkim fotelu w sterówce „Lavoisiera", ale jego esencja życiowa, siła, która była Delmarem Underwoodem, znajdowała się sześćdziesiąt tysięcy mil stąd, unosząc się nad kopułą pola siłowego, pokrywającą Carlson Museum.

W pomieszczeniu sterówki niemal jednocześnie ze zduszonym okrzykiem Illii, rozległ się ogłuszający alarm, któremu towarzyszyła pilna, niebezpieczna wiadomość.

— Dostaliśmy! Generatory skorupy pola siłowego, numer trzy i cztery, padły!

Underwood utrzymując punkt widzenia pędzącego do przodu czoła fali postrzegania, miał wrażenie że nurkuje głową w dół, w stronę tłumu ludzi, który zebrał się jak gdyby za sprawą magii, wokół białych, świecących kolumn budynku. Jakby wiedząc o mającej się odbyć w górze bitwie, prawdziwej walce tytanów, tysiące ludzi zaczęło zbierać się wokół muzeum Carltona jeszcze zanim nad budynkiem wyrosła osłona pola siłowego, a floty wojenne wystartowały w kosmos. Obserwowali, czekając na nieznane, niespodziewane, w jakiś sposób wyczuwając, że waży się właśnie ich los.

Widok kłębiących się tysięcy ludzi zniknął z oczu Underwooda, kiedy zanurzył się pod ochronną kopułę pola nad budynkiem, przenikając przez nią tak, jakby w ogóle nie istniała. Ciemność wewnątrz osłony rozpraszana była przez blask lamp, które zalewały światłem cały teren i samo muzeum, wydające się jakimś potwornym pałacem.

Wszędzie dokoła poruszali się niepewnie wyglądający strażnicy i ludzie z obsługi, czekając co się stanie, zbierając się w grupki aby wypytywać siebie nawzajem, co może oznaczać to nagłe włączenie pola siłowego i pojawienie się okrętów. Niepojęte dla nich było, że ktoś mógłby rzucić wyzwanie Wielkiemu, ale właśnie ten zupełne niemożliwy charakter całej sytuacji wywołał u nich straszliwą konsternację.

Underwood znalazł się w budynku. Ogromne nagromadzenie urządzeń i maszyn, wypełniające główną salę kiedy widział ją uprzednio, teraz zniknęło, zastąpione przez mnóstwo obrazów, bajecznych gobelinów, znalezionych w skarbcach Ziemi.

W zasięgu wzroku nie było nikogo. Underwood kontynuował swój marsz naprzód, zanim nie dotarł do rzędu sal wystawowych, rozciągających się w głąb. Ewidentnie zostały one zmienione w biura, mające zarządzać wszelkimi kontaktami między Demarzule i rządzonymi przez niego Wyznawcami.

Następnie Underwood dotarł do centralnego pomieszczenia na tyle środkowej części budynku. Był tam Demarzule.

Kiedy Underwood zobaczył ponownie obce stworzenie, które przywrócił do życia, przeżył mimowolny wstrząs. Siedząc na podobnym do tronu krześle ustawionym pośrodku jednej ze ścian sali, Wielki wyglądał jak jakiś posąg antycznego boga zła, wykonany ze zwietrzałego brązu. Tylko wstrząsająca biel jego oczu stanowiła oznakę życia w tym monstrualnym stworze.

Underwood nie spodziewał się widoku dwudziestu Ziemian, którzy siedzieli koło Demarzule, formując półkrąg z Wielkim pośrodku, tak jakby jakąś radę. Wszyscy oczekiwali w zadumanym milczeniu. Wydawało się,

że nie padło między nimi nawet słowo i Underwood zatrzymał się, zdumiony.

Wtedy, powoli, Demarzule się poruszył. Spojrzenie jego białych oczu przesunęło się, tak jakby szukając czegoś po sali. Do uszu Underwooda dotarły jego słowa:

— A więc w końcu tutaj przybyłeś — oznajmił obcy. — Rzuciłeś wyzwanie Demarzule Wielkiemu, przy pomocy swych wątłych mocy. Znam cię, Delmarze Underwood. Powiedziano mi, że to ty mnie znalazłeś i przywróciłeś do życia. Jestem ci wiele winien i ofiarowałbym ci wysokie miejsce w moim królestwie, które ogarnie cały Wszechświat. A jednak stanąłeś przeciwko mnie.

— Jestem miłosierny. Ciągle jeszcze możesz zająć swoje miejsce, jeśli zechcesz. Potrzebuję kogoś takiego jak ty, tak samo jak potrzebowałem mózgu i dłoni Toshmere, który okazał się na tyle głupi, by sądzić że mógłby zamiast mnie podbić eony. Znasz jego los, jestem tego pewien.

Przemowa Demarzule stanowiła paraliżujący wstrząs. Underwood w żaden sposób nie ujawnił swej obecności, a jednak obcy go wykrył. Poprzez abasa wyczuwał moc i potęgę Demarzule, rozwinięte przez starożytną rasę pełne możliwości kryjące się w trzech organach, których on ledwie dotknął w trakcie krótkich tygodni eksperymentowania.

Przez chwilę ogarnął go strach przed niemal pewną porażką. Potem uderzył, z furią i z całą siłą jaką w sobie posiadał.

Nigdy jeszcze nie wyrzucił z siebie takiego niszczycielskiego ciosu. Z satysfakcją poczuł, że obrona Demarzule zachwiała się i rozstąpiła pod jego uderzeniem, ale Wielki przyjął je i po chwili wrócił do równowagi.

— **J**esteś godnym przeciwnikiem — powiedział Demarzule. — Wiele osiągnąłeś w tak krótkim czasie, ale niewystarczająco wiele, jak się obawiam. Jeszcze raz składam ci ofertę przyłączenia się do mnie. Jako mój porucznik, mógłbyś zostać gubernatorem wielu galaktyk.

Underwood milczał, zachowując siły na kolejne uderzenie, którego Demarzule już z pewnością nie przetrwa. Wyrzucił je i poczuł, że energia wypływa z niego niszczącym życie strumieniem. Brązowa twarz Demarzule uśmiechnęła się tylko sardonicznie, kiedy przyjął atak – i zaabsorbował go.

— Kiedy już będziesz zupełnie wyczerpany — stwierdził — zademonstruję ci moją własną moc – ale powoli, tak by twoja śmierć nie była taka szybka.

Wysyłanie takich fal mocy było dla Underwooda wyczerpujące, ale zdawał sobie sprawę, że organ absorbcyjny Demarzule musi wkrótce osiągnąć swą maksymalną pojemność, jeśli nie pozwoli mu w międzyczasie uwolnić z siebie energii.

Uderzył po raz trzeci. Wtedy nagle spadła na niego straszliwa świadomość, że Demarzule w ogóle nie absorbował energii. Była ona odwracana, odsuwana na bok, zanim jeszcze nawet dotarła do Sirenianina.

Z uczuciem zbliżonym do paniki, Underwood użył swych zmysłów, aby zlokalizować źródło tego odwrócenia i znalazł je w dwudziestu Ziemianach siedzących bez ruchu wokół Demarzule.

Demarzule wydawał się wiedzieć, że Underwood zorientował się w tym wszystkim.

— Tak — powiedział. — Powieliliśmy abasa. Rak występuje często pośród was. Za pięć tysięcy lat przestalibyście z nim walczyć i dowiedzieli się jak go wykorzystać. Jest nas tutaj dwudziestu. Nie przybyłbyś tutaj, gdybyś wiedział, że będziesz musiał samotnie walczyć z tak wieloma przeciwnikami, co? Teraz, jest już za późno!

Po tych słowach przez Underwooda przebiegła fala paraliżującej, niszczącej mocy. W jaki sposób na niego działała, które ze zmysłów zostały zaatakowane, nie wiedział. Wiedział tylko, że ognista tortura powoli wypala z niego życie, jakby nie chcąc dać mu szybkiej, miłosiernej śmierci.

Musi wycofać się na statek, żeby odzyskać siły. Nie ma szansy wytrzymać ataku dwudziestu jeden abas.

Underwood odprężył się i wyrzucił swoje moce z powrotem w stronę statku… i nie udało mu się!

W jednej chwili metalicznie połyskujące wargi Demarzule rozwarły się w ryczącym śmiechu, pozbawionym wesołości, a wypełnionym tryumfem.

— Nie, mój dzielny Ziemianinie. Nie możesz stąd uciec. Nie wiedziałeś o tym. Dla tych, którzy rzucają wyzwanie Wielkiemu, nie ma ucieczki. Podjąłeś decyzję i wkrótce przegrasz, i umrzesz – ale dopiero wtedy, kiedy ja tego zechcę. Twoi rodacy Ziemianie będą mieli rozrywkę, bawiąc się z tobą jak kot z myszą, zanim zadam ostateczny cios, który zniszczy twoje przerośnięte, niecierpliwe ego.

Palący ogień ataku Demarzule trwał nadal, podczas gdy Underwood walczył szaleńczo lecz na próżno, żeby się stąd wyrwać. W jaki sposób, pomimo wszystkich jego wysiłków, uniemożliwiano mu ucieczkę? Nie wiedział nawet, że abasa ma takie możliwości, a gdyby nawet był ich świadom, nie miałby pojęcia jak je odeprzeć.

Zrezygnował i odwrócił się z powrotem do nich, pozwalając by energia ataku przepływała do komórek absorpcyjnych dor-abasa. To jednak nie mogło trwać zbyt długo, ponieważ organ mógłby ulec uszkodzeniu pod taką presją.

W tym momencie, jak gdyby zgodnie z obietnicą Sirenianina o przedłużaniu agonii, atak został przerwany, a Demarzule pozwolił mu odpocząć.

— Nadmiar brawury, co? — szydził. — Jak mogłeś ośmielić się wystąpić przeciwko największej potędze Wszechświata, najpotężniejszemu umysłowi, jaki kiedykolwiek istniał, i zaatakować go swoimi słabowitymi mocami? Już same twoje założenia są bluźnierstwem przeciwko Wielkiemu!

— Kiedyś, dawno, dawno temu — odparł Underwood — sireniańskie siły zostały pobite przez Dragbora. I to właśnie Dragbora stawiasz czoła, Demarzule. Zapamiętaj to sobie, i broń się!

Underwood był zaskoczony. W niewiarygodny sposób, wydawało mu się, że to nie on wypowiadał te słowa, ale że to martwy Jandro stał u jego boku, potajemnie wspierając go, ucząc, doradzając…

Wymierzył cios, ale nie w Demarzule. Błyskawicznie uderzył w najbliższego Ziemianina. Niemal natychmiast ten nieszczęśnik zadrżał i upadł martwy na podłogę. Raz za razem zaatakował komórki nerwowe kolejnych pięciu ludzi, którzy również umarli, nie wydając dźwięku.

W białej furii i przepełniony żądzą zemsty, Demarzule odwzajemnił atak. Underwood zaabsorbował cios – i w niepojęty sposób odrzucił go z powrotem.

Poczuł się, jakby nagle zdał sobie sprawę z istnienia technik, o których wcześniej nawet nie marzył. Nie wiedział, że możliwe było zaabsorbowanie niszczącej układ nerwowy energii przy pomocy własnej dor-abasa i ciśnięcie jej z powrotem w atakującego, tak jakby złapało się i odrzuciło piłkę.

Wydawało mu się jakby nie do końca działał z własnej woli, ale jednak działał. Poczuł zaskoczenie Demarzule, i w tym momencie poznał jego tajemnicę. Ziemianie najwyraźniej posiadali tylko jeden prymitywny organ, którego nie można było nawet porównywać z abasa, ponieważ dawał on wyłącznie możliwość obrony, ale nie pozwalał na atak. Czterech kolejnych padło, po czym Underwood znowu musiał stawić czoła atakowi Demarzule.

W umyśle obcego pojawiło się teraz coś podobnego do strachu. Underwood wyczuł myśli o możliwej porażce, które zalały myśli Demarzule.

— Pamiętasz ten dzień na Vorga? — spytał Underwood. — Pamiętasz jak moce Dragbora przebiły wielką tarczę pola siłowego, którą ustawiłeś wokół planety? Pamiętasz jak twoi ludzie padali jeden po drugim, ich broń przestawała strzelać, aż w końcu tarcza pola siłowego opadła z powodu braku kontroli? Pamiętaj Demarzule, że wtedy pokonali cię Dragbora i również z Dragbora walczysz teraz. Ja nie przybyłem tutaj rzucić ci wyzwania, jako słabowity Ziemianin. Przybyłem jako Dragbora – dokończyć zadanie, niezrealizowane przez moich przodków!

Sirenianin milczał i nowa wiara we własne siły przepełniła Underwooda. Poczuł, że nie toczy bitwy samotnie, że stoi za nim cała starożytna cywilizacja dragborańska walcząca ze swym starym jak świat wrogiem, aby doprowadzić do jego wygubienia. Czuł również, jakby sam Jandro też tutaj był.

Energię zaabsorbowaną od Demarzule, obrócił przeciwko jego towarzyszom, siedzącym bez ruchu, jakby sparaliżował ich strach na widok swych kolegów padających bezładnie na podłogę w bezgłośnej śmierci.

W stanie bliskim szału, Demarzule zwiększył liczbę swych ataków. Wyprowadził zmieniający się, mylący cios, który wstrząsnął abasa

Underwooda, każdą napływającą falą mocy. Ale Underwood nauczył się już jak kontrolować takie fale, zmieniać je w swoje własne ataki, które ciągle wyprowadzał przeciwko znajdującym się w sali Ziemianom.

Po kilku chwilach wymiany ciosów, ostatnich dwu ludzi stojących u boku Demarzule, padło. Sirenianin zdawał się tego nie zauważać, ponieważ cała jego energia i koncentracja skupiona była na Underwoodzie.

Underwood szybko zaczął się męczyć. Energia wypływająca z niego, wydawała się jakby wysysać soki żywotne ze wszystkich komórek jego jestestwa. Na pokładzie „Lavoisiera" każdy spazm męczarni, mimowolnie odbijał się na jego fizycznej twarzy. Ci, którzy na niego patrzyli, cierpieli razem z nim.

Ilia siedziała w kąciku pomieszczenia, naprzeciw niego, a jej pięści odcisnęły się białymi śladami na policzkach. Nerwowa reakcja Dreyera, wyrażała się w nieustających pufnięciach i przygryzaniu końca, normalnie bezpiecznego cygara. Inni po prostu przyglądali się, z napięciem na twarzach i mocno zagryzionymi wargami.

W sali wielkiego muzeum-pałacu, tempo walki stopniowo narastało. Underwood, chociaż czuł się wyczerpany niemal do poziomu omdlenia, z wysiłkiem sięgnął po dodatkowe zasoby energii i stwierdził, że miał ją do dyspozycji. Jego dor-abasa naładowała się pod nieustannym atakiem Demarzule, energią Sirenianina, i oddała ją teraz zwiększając jego potencjał.

W każdym z nich miały miejsce te same procesy i o wyniku walki miał zdecydować ostateczny strumień nagromadzonej niszczącej mocy.

Mógłby się teraz wycofać, stwierdził Underwood. Wątpił, czy Demarzule był w stanie utrzymać na nim powstrzymujące go więzy, ale rezygnacja z walki nic by mu obecnie nie dała. Kontynuował więc, z narastającą mocą.

Nagle nastąpiło osłabienie ataków i Underwood odetchnął z ulgą. Moc Demarzule zafalowała przez ułamek sekundy, i nie było to udawanie.

— Jesteś stary i słaby — powiedział Underwood. — Pół miliona lat temu, cywilizacja cię pokonała. My cię pokonaliśmy!

Uderzył teraz niemalże bez przeszkód. Ogromna postać Demarzule skręciła się z bólu na tronie – i Sirenianin odpowiedział desperackim uderzeniem energii.

Underwood przechwycił je i bezlitośnie odrzucił z powrotem. Poczuł wolną drogę do najbardziej wewnętrznych głębin umysłu Demarzule, ruszył nią po omacku wzdłuż dróg nerwowych Wielkiego. Po drodze palił i niszczył kluczowe synapsy.

Demarzule umierał – powoli, stawiając rozpaczliwy opór – w niekończących się bólach, ponieważ nie było innego sposobu. Krzyknął na całe gardło w ostatecznej agonii, a następnie gigantyczna postać Sirenianina Demarzule – Wielkiego – zwaliła się z hukiem na podłogę.

Ulga, jaką poczuł Underwood, była bliska agonii. Szalone moce Dragbora wylewały się z niego niemiłosiernie, wypełniając całą salę swą zabójczą energią, zanim po chwili opadły.

Potem, już z większym spokojem, zdał sobie sprawę czego dokonał. To koniec, niemal nie do uwierzenia, koniec.

A jednak zostało jeszcze parę rzeczy do zrobienia. Wyszedł z budynku, odnajdywał strażników i obsługujących, szeptając im do umysłów:

— Demarzule nie żyje! Wielki umarł i z powrotem jesteście ludźmi.

Odnalazł urządzenia sterujące polem siłowym i spowodował, że operator opuścił osłonę. Potem wyszeptał:

— Wielki nie żyje — jego głos jak wiatr ogarnął ogromne tysiące zebranych wokół ludzi.

Ta niewypowiedziana wiadomość zapadła w ich umysły, ludzie zaczęli rozglądać się po swych sąsiadach, jak gdyby chcąc się zapytać, jak ją otrzymali. Naparli do przodu, niespokojny, oszalały tłum ludzi którzy przez chwilę żyli w dziecinnym, prymitywnym świecie, w którym człowiek nie musiał myśleć, a tylko wykonywać polecenia. Ruszyli naprzód i wlali się falą do budynku, obijając się o siebie, walcząc pazurami. Udało im się jednak zobaczyć ciało upadłego Sirenianina, tak więc wiadomość została potwierdzona i wkrótce szybko rozeszła się po całej Ziemi.

Underwood przyglądał się kłębiącym się, zdezorientowanym tłumom. Czy Dreyer mógł mieć rację? Czy to się kiedyś może zakończyć – bezmyślność ludzi, chwytających się każdego przywódcy, ich bezsensowne poszukiwanie królów i bogów, podczas gdy w nich samych wysychały ich własne moce? Zawsze powtarzała się ta sama historia; przywódcy wyrastali, roztaczając przed ludźmi iluzję olbrzymich, wspaniałych zapewnień, podczas gdy w rzeczywistości prowadzili ich do piekła utraconych marzeń i złamanych obietnic.

Tak, może być inaczej, powiedział sobie Underwood. Dragbora udowodnili, że wcale nie musi tak być. Ich początki przecież były równie marne jak ludzi. Musieli wstąpić na te same pełne cierpień schody do marzeń, na których był teraz człowiek, i w końcu dowiedzieli się jak żyć ze sobą nawzajem.

Człowiek przybliżył się do tego celu – znacznie przybliżył teraz, kiedy Demarzule zginął. Underwood milcząco się pomodlił, aby los był litościwy dla człowieka i nie zesłał mu kogoś kolejnego, takiego jak Demarzule.

Pozwolił sobie jeszcze na chwilę dumy, moment przyjemności, myśląc, że udało mu się odegrać właściwą rolę w tym kryzysie.

Czując na koniec litość, dla rozgrywającej się w dole sceny, pomknął w kosmos. Kiedy zobaczył co się tam dzieje, ogarnęły go mdłości i przerażenie. Jego wielka flota została zniszczona, płonąc atomowymi ogniami. Tylko dwa okręty pozostały, aby przeciwstawić się atakującym. Ale już nie próbowały niczemu się przeciwstawiać. Sygnalizowały chęć całkowitego poddania, padając łupem żarłocznych jednostek przechwytujących.

Sam „Lavoisier” dryfował pozbawiony świateł, jego pole siłowe było słabiutkie i zanikało zupełnie, pod skoncentrowanymi ciosami płomieni dyzruptorów trzech pancerników.

Underwood rzucił się w kierunku najbliższego z wrogich statków. W jego wnętrzu znalazł kanonierów i odebrał im życie, jeszcze zanim w ogóle zdali sobie sprawę z jego bezcielesnej obecności. Szybko przesunął ich emitery na pozostałych przeciwników i patrzył, jak zataczają się ciężko i znikają w nagłym wybuchu płomieni.

Teraz ruszyły naprzód inne. Ciągle pozostało ponad dwadzieścia, aby zniszczyć samotny, okaleczony statek laboratoryjny. Było to więcej mógłby pokonać na czas.

Nieprzyjacielskie okręty jednak nie otworzyły ognia. Ich osłony pozostały w górze; potem powoli zmieniły kursy i oddryfowały dalej. Nie rozumiejąc co się dzieje, Underwood zajrzał do wnętrza ich kadłubów, i już wiedział co się stało.

Dotarła do nich wiadomość o śmierci Demarzule. Jak ludzie ścigający swe złudzenia, nie potrafili znieść rzeczywistości nadchodzącej wraz ze zniknięciem ich iluzji. Ich klęska była pełna i całkowita. Na całej Ziemi upadek Demarzule stawał się upadkiem tych wszystkich ludzi, którzy nie byli jeszcze na tyle silni, aby chodzić w świetle swoich własnych decyzji, lecz rozpaczliwie czepiali się cienia iluzorycznego przywództwa.

Underwood popędził z powrotem w stronę ciemnego „Lavoisiera". Poruszał się jak duch po jego ponurych kabinach i pustych korytarzach. W pomieszczeniach generatorów, znalazł przyczynę katastrofy, widząc zniszczone resztki przeciążonych generatorów osłony siłowej. Cztery z nich musiały ulec zniszczeniu jednocześnie, przeszywając statek na całej jego długości przeciążeniem i zabójczymi falami.

Sterówka była ciemna, tak jak reszta statku, a na podłodze leżały porozrzucane ciała jego towarzyszy. Ale tliło się w nich jeszcze życie i ośmielał się mieć nadzieję, a więc przemówił do ich umysłów, rozkazując, wmuszając życie i świadomość z powrotem do ich komórek nerwowych. Zdaje się, że zyskał dostęp do tkwiących w jego jestestwie, nieznanych mu wcześniej mocy zmartwychwstania.

Misja Underwooda była zakończona. Powrócił do swego fizycznego ciała i odłożył na bok zmysły abastyczne. Siedział teraz w ogromnym fotelu w sterówce, podczas gdy otaczający go ludzie ożywali i stopniowo na martwy statek wracało życie. Nieprzyjacielskiej floty już nie było. Wylądowała ona na Ziemi, porzucając nadzieję podboju na skalę galaktyczną.

Nie wiedzieli jeszcze dokąd się udadzą, ani gdzie mogą znaleźć miejsce ucieczki. Kiedy wrakowisko zostało oczyszczone i statek znowu wrócił do życia, Underwood i Illia stali sami w zaciemnionym punkcie obserwacyjnym, patrząc na gwiazdy przesuwające się ogromnym łukiem po ekranach.

Kiedy Underwood tak się im przyglądał, pomyślał, że czuje coś z tej żądzy, która mogła drążyć mózg Demarzule, tego parcia, powodującego że posiadanie wyższych mocy mogło być nie do zniesienia nawet dla

dobrego człowieka, ponieważ nie jest on wtedy w stanie pozostać dobrym człowiekiem.

Korzystając z mocy, którą miał w sobie, dał radę zwyciężyć Wielkiego! Gdyby chciał, mógłby stanąć na miejscu Demarzule! Nie wiedział, czy jego zdolności stały się większe niż Jandro, jak roślina wzmacniająca się po przesadzeniu na nową glebę, ale z pewnością rosły one coraz bardziej. Tajemnice Wszechświata zdawały się pojawiać przed nim, jedna po drugiej.

Zwykły rzut oka na kawałek martwej materii i jego zmysły mogły zagłębić się w strukturę powiązań między jej atomami, uporządkować wiedzę na jej temat i przewidzieć jej właściwości i reakcje. Jedno spojrzenie na odległe przestrzenie poza Układem Słonecznym i czuł że jest w stanie wzbić się i polecieć przez wieczność. Tak, stawał się coraz potężniejszy jeśli chodzi o moc oraz postrzeganie, i nie śmiał nawet myśleć, do czego mogłoby to doprowadzić.

A przecież były jeszcze inne rzeczy. Inne, prostsze ambicje w których zwykli ludzie od wieków znajdowali spełnienie.

Czuł ciepłe ciało Illii w swym uścisku.

— Chciałbym, żebyś znowu stanęła za stołem operacyjnym, tak szybko jak to tylko możliwe — powiedział.

Spojrzała na niego z zaskoczeniem.

— Co chciałeś przez to powiedzieć?

— Musisz wyciągnąć ze mnie organy abastyczne. Wypełniły już swoje zadanie. Nie chcę z nimi żyć. Mając taką potęgę, mógłbym się stać drugim Demarzule.

Jej niebieskie oczy były ledwie widoczne w padającym z panelu świetle. Ale widać było, że są w niego wpatrzone badawczo. Wyczytał w nich coś takiego, co wywołało jego obawy.

— Ludzie o większej mocy i większej wiedzy od przeciętnej zawsze będą potrzebni — stwierdziła. — Rasa potrzebuje mutantów. Pojawiają się tak rzadko, że nie możemy sobie pozwolić na to, aby ich nie wykorzystywać.

— Mutantów?

— Jesteś prawdziwym mutantem, niezależnie od tego czy stworzonym sztucznie, czy nie, ponieważ posiadasz organy i zdolności, które są wyjątkowe. Rasa ich potrzebuje. Nie możesz mnie prosić, żebym je zniszczyła.

Nigdy nie myślał o sobie jako o mutancie, a jednak z praktycznego punktu widzenia, ona miała rację. Posiadane przez niego moce i zdolności postrzegania być może nie mogłyby powstać naturalnie u żadnego człowieka z jego rasy, nawet przez najbliższe tysiące lat. Pewnie mógłby użyć ich do pomocy w powolnym rozwoju ludzkości. Bogactwo nowej wiedzy naukowej, nowa siła przywództwa i doradztwa w razie potrzeby…

— Mógłbym stać się największym przestępcą świata — odparł. — Nie ma żadnej tajemnicy, żadnej należącej do kogokolwiek rzeczy, która

byłaby przede mną bezpieczna. Musiałbym tylko sięgnąć po własność innego człowieka, po władzę.

— Za bardzo się tym wszystkim przejmujesz — powiedziała lekko. — Z ciebie mógłby być taki złoczyńca jak i ze mnie.

— Skąd możesz być tego taka pewna?

— Nie pamiętasz o właściwościach seaa-abasa? Poza tym czy nie słyszałeś ostatnich słów wypowiedzianych przez Jandro? Powiedział: „idę spocząć do seaa-abasa". Wiesz, co to znaczy?

Nagle Underwood poczuł chłód. W głowie zahuczało mu mnóstwo szeptów. Chwila, kiedy po raz pierwszy obudził się po operacji, kiedy wydawało mu się, że śmierć go dopadnie, i tylko siła czyjejś natarczywej woli pomogła mu uczepić się życia. Głos, który zdawał się go przenikać i przywołał go z powrotem. Głos Jandro. A potem finalna walka w sali Demarzule.

Nowe umiejętności i nowe siły, które nagle napłynęły do niego, jakby znikąd. Był na tyle próżny, że przypisywał to swemu zwiększającemu się doświadczeniu i potędze. A jednak, czy nie mogło to pojawić się spoza jego ja? Szukał gorączkowo i pośpiesznie w obrębie swoich kanałów nerwowych, w komórkach swego własnego jestestwa i w ścieżkach do obcych organów, które ofiarowały mu te nieziemskie zmysły. Wyglądało, że nic tam nie ma, poza echem, jakby w jakiejś ogromnej pustej sali. Nie znalazł odpowiedzi na swe pytania, a jednak wydawało mu się jak gdyby wzdłuż tych kanałów percepcji, rozciągał się jakiś mroczny cień ostrożnej ofiary, która nigdy nie da się schwytać, której nigdy nie będzie można odnaleźć na tych niekończących się ścieżkach, ale która przez cały czas jest bardzo blisko.

Underwood wiedział już, że jeśli to był Jandro, to nigdy nie pozwoli on na rozpoznanie, z jakiś sobie tylko znanych powodów, może. Ale nagle poczuł głęboki spokój, jakby znalazł jakieś sekrety oczyszczenia, jakby zabrano go w jakieś wysokie miejsce, rozejrzał się po otaczającym go świecie i mógł teraz już odwrócić się do niego plecami. Uda mu się kiedyś znaleźć Jandro, czy nie, był pewien, że stróż tam czekał.

Illia mówiła właśnie:

— Nie mogę cię operować, Del. Nawet gdybyś miał znienawidzić mnie za to do końca życia, nie zrobię tego. A nikt inny na świecie nie wie, jak to zrobić. Gdybyś pozwolił komukolwiek innemu dotknąć tych nerwów, umarłbyś. Powiedz mi, że uważasz, iż mam rację.

— Powiem — odparł z radosną rezygnacją. — Ale nie zapominaj, że to również dla ciebie jest na wpół pogrzeb. Oznacza to przecież, że będziesz musiała spędzić resztę życia z mutantem.

Odwróciła swą twarz, by spojrzeć mu prosto w oczy.

— Potrafię sobie chyba wyobrazić gorszy los.

KONIEC